

Marian Golka

Podróże,
zamyślenia,
aluzje



Podróże,
zamyślenia,
aluzje

Marian Golka

Podróże,
zamyślenia,
aluzje



OFICYNA  NAUKOWA

Warszawa 2016

Projekt okładki i stron tytułowych
Ireneusz Sakowski

Na okładce posąg bogini Kybele projektu Ventury Rodrigueza
(II poł. XVIII w.), Plaza de Cibeles, Madryt, fot. Marian Golka

Redakcja
Ewa Pajestka-Kojder i Kaja Kojder-Demska

© Copyright by Marian Golka
© Copyright for this edition by Oficyna Naukowa
Warszawa 2016

prawolubni[♥]
~~~~~

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty. Szanujmy cudzą własność i prawo!

*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

**ISBN 978-83-64363-71-9**

# *Spis treści*

- 7    Wstęp
- 11   Podróżowanie  
    Podróż i wyjazd 12 • Szczeliny w czasie 13 • Tymczasowość 14 • Podróże chciane i niechciane 16 • Bagaże 17 • Turystyka 18 • Podróż po podróży 19 • Fotografie 21 • Pamięć 23 • Strzępy 24 • Gadżety 25 • Noclegi 26 • Dom i podróż 27 • Tęsknota za codziennością 29 • niespodzianki 31 • Zapatrzenie 32 • Zachwyty 33 • Arkadie 35 • Rozczarowania 36 • Podróż i ktoś bliski 37 • Podróże i obcy 38 • Podróże nieodbyte 40 • Sny 41 • Zagubienia 42 • Rozstania i nienasycenie 43 • Nieskończoność i niespełnienie 44 • Utlenienia i wyparowania 46
- 48   Miejsca  
    Domy 49 • Drzwi 50 • Patia 50 • Ogrody 51 • Pola 52 • Lasy 53 • Oazy 54 • Drogi 55 • Ulice 56 • Mosty 57 • Skwery 58 • Promenady 59 • Pasaże 60 • Windy 61 • Auta 62 • Pociągi 63 • Metro 64 • Samoloty 65 • Hotele 66 • Poczekalnie 67 • Muzea 68 • Świątynie 69 • Kawiarnie 69 • Księgarnie 71 • Fontanny 72 • Labirynty 72

- 74    Stany  
      Wychodzenie 74 • Zamyślenie 75 • Czekanie 76 •  
      Martwienie 77 • Cierpienie 78 • Zbieranie 79 • Fo-  
      tografowanie 80 • Uwodzenie 82 • Uśmiechanie 82  
      • Smutnienie 83 • Kochanie 84 • Rozstawanie 85 •  
      Kontemplowanie 86 • Uciekanie 87 • Marzenie 88 •  
      Odrzucenie 89 • Wspominanie 90 • Pamiętanie 90 •  
      Przemijanie 91 • Rozczarowanie 92 • Przepadanie 93
- 95    Sytuacje  
      Audycja 95 • Wyrzuty 96 • Rachunki 96 • Nad ra-  
      nem 97 • Rozkład jazdy 97 • Obawa 98 • Upadłość  
      98 • Noce i dnie 99 • Niepewność 99 • Prześwity 99  
      • Twórczość 100 • Przejazd 101 • Cisza 101 • Miasto  
      101 • Na skwerze 102 • A jednak 102
- 104    Postoje  
      Paryż 105 • Rzym 117
- 130    Podróże artystów
- 148    Co fotografuje turysta
- 166    Głód autentyzmu
- 183    Uroda ruin
- 200    Między małą ojczyzną a kosmopolityzmem

## Wstęp

**P**odróżujemy w różnych celach: za pracą i dla wypoczynku; po to, by zarobić pieniądze i po to, by je wydać; w poszukiwaniu zabytków i w poszukiwaniu uroków przyrody; kierowani miłością i wskutek samotności; z powodów zawodowych i dla przyjemności. Jedni szukają dla siebie raju na Północy, w Toskanii czy Prowansji; inni zwykłego ukojenia i chwilowego oderwania od własnej codzienności kilka kilometrów za miastem. I nie bardzo wiadomo, czy podróże to już znalezione szczęście, czy dopiero szukanie szczęścia, rozglądanie się za nim, poszukiwanie go.

Według Światowej Rady Podróży i Turystyki, za granicę podróżuje już ponad miliard ludzi rocznie — co siódmy mieszkaniec Ziemi. I tendencja ta ma charakter wzrostowy. A przecież nie tylko wyjazd do odległych miejsc, lecz i bliska przechadzka, spacer po parku w sąsiedztwie czy przejażdżka rowerem po niedalekim lesie też są rodzajem podróży. Można tę naszą skłonność, a nawet konieczność nazwać już nie podróżowaniem, lecz podróżeństwem.

Trudno jednoznacznie stwierdzić, skąd się biorą pragnienia podróży i marzenia o podróżach. Dawno temu mogły się brać z opowieści ludzi wędrownych, jakichś włóczęgów, zagubionych żołnierzy czy kupców. Potem mogły być inspirowane mapami i atlasami geograficznymi, które nawet kolorami oznaczającymi różne kraje inspirowały do poszukiwań dalekich krajin. Także zbieranie znaczków pocztowych, kiedyś tak popularne, wabiło do egzotycznych miejsc. A cóż powiedzieć o literaturze podróżniczej? Kiedyś dla mnie książki Jules'a Verne'a otwierały obietnice odległych lądów i ciekawych przygód. Teraz, dla nowych generacji, rolę tę pełnią filmy podróżnicze i książki pisane przez zawodowych podróżników, katalogi biur podróży, przewodniki turystyczne, Google Maps i Google Earth, portale internetowe i prywatne filmy prezentowane na YouTube.

Podróże pozostawiają różne ślady i odpryski: wrażenia, wspomnienia, fotografie. Czasem rozczarowania, ale też nowe tęsknoty i nowe zamierzenia podróżnicze. Niekiedy także opowieści. Dawniej pisano listy i wspomnienia, dziś niektórzy piszą blogi, a jeszcze inni tworzą — zwłaszcza ci którzy żyją z podróży — książki, przewodniki, filmy. Zawsze jednak wydawało mi się, że zarabianie na podróży, a więc „życie z podróży”, jest takim samym nieszczęściem, a przynajmniej nieporozumieniem, jak zarabianie na miłości. Na szczęście są tacy podróżnicy, którzy naprawdę kochają podróże i którzy pozostawiają dyskretne opisy wrażeń, nie stroniąc od wchodzenia w uliczki poezji i zaułki refleksji, wzruszeń, westchnień i zdumień. Niestety, obawiam się, że takich form jest coraz mniej,

bo coraz mniej jest też ich czytelników. Nie ukrywam, że celowo wspomniałem tu o tych uliczkach i zakamarkach, by już teraz ostrzec Czytelnika, który zabłąkał się tu przypadkowo. Ostrzec przez zwrócenie uwagi na formę niektórych zamieszczonych tu tekstów.

Sam nigdy nie musiałem żyć z podróżowania — nie licząc dojazdów do pracy (i kiedyś do szkoły). Wyjazdy, zarówno te najbliższe, rowerowe, po okolicznych polach i lasach, jak i te nieco dalsze — po Polsce — a przede wszystkim te do innych krajów i na inne kontynenty, zawsze sprawiały mi wielką satysfakcję. Tak, nie muszę żyć z podróżowania, lecz cieszę się, że mogę żyć dla podróżowania — niezależnie od tego, ile emfazy jest w tym zdaniu.

Proponowane tu szkice powstawały w różnych latach na marginesie wyjazdów i refleksji po powrocie do domu. Są to nie tyle wrażenia z podróży, ile odległe echa czy przypomnienia wywołane różnymi wyjazdami. Ich związek z tymi dalekimi miejscami jest jednak tak dyskretny, jak niewyraźne mogą być delikatne aluzje. Sam jestem zdziwiony, że zdołały się one jakoś zachować, utrwalić, pozostać ze mną. Zatrzymały się na podobieństwo szumu morza zamkniętego w zakamarkach starych łodzi pozostawionych na opuszczonym brzegu. To trafna analogia, gdyż zarówno same podróże, jak i ich wspomnianie to także poszukiwanie przeszłości. Chcę przecież wierzyć, że pamiętam miejsca, stany i sytuacje zaistniałe podczas różnych wyjazdów, choć wiem dobrze, że są one bardziej powidokami minionego czasu niż samym tym czasem.

Zaprezentowane w tej książce teksty mają różny charakter. Najpierw jest tu kilka zbiorów krótkich

wypowiedzi, które można uznać za próbę swoistej fenomenologii podróży. Raczej bez nawiązań do konkretnych faktów próbuję w nich uchwycić istotę — czymkolwiek by ona była — pewnych elementów podróży. Oczywiście, jest to „istota” dostrzeżona na odpowiedzialność, a raczej osobiste widzimisię autora, stworzona syntetycznie, choć z poetyckimi przyprawami, z różnych podróżniczych wspomnień. Drugą część książki stanowią szkice, które można przydzielić do socjologii i antropologii podróży. Także i tutaj nie ma jednak przywołań faktograficznych, lecz są próby uogólnień, a przynajmniej heurystycznych przypuszczeń odnoszących się do niektórych problemów społecznych, w ten czy inny sposób związanych z wyjazdami. Mają więc one bardziej aluzyjny niż empiryczny charakter.

A skoro jesteśmy na ścieżce przypuszczeń, to uznajmy, że może wiele z tego, czego doświadczamy i co obserwujemy w świecie, a przede wszystkim, co o nim myślimy i czujemy, to w większości swoiste reminiscencje i aluzje powstałe wskutek naszych poplątanych spacerów w czasie i zawiłych wędrówek po świecie. Podróże do „nie-teraz” i do „nie-tutaj” można odbywać nie tylko na ten sam bilet, ale i dzięki podobnym tęsknotom i marzeniom, które zazwyczaj są nieco zawoalowane. Wierzę, że dzięki pisaniu i czytaniu o nich stają się one choć trochę bardziej wyraźne.

## Podróżowanie

**D**ałoby się stworzyć jakąś typologię podróży, tylko po co? Pewnie wyjazdów może być tyle, ile sytuacji, w których żyją ludzie, i tyle, ile jest ludzkich potrzeb. Tutaj wystarczy rozróżnić konieczność i dobrowolność, przymus i własną chęć wyjazdu. To rozróżnienie nie ma jednak cech czarno-białego oddzielenia dwóch odmiennych okoliczności. Przeciwnie, jest między nimi nie tylko wiele odcieni szarości, ale i wiele tęczyowych barw. Na początek spójrzmy jednak na te dwie różne trajektorie podróży.

Tak, podróż może być zwykłym wyjazdem — z konieczności, z obowiązku, z rutyny. I takie wyjazdy mogą nieść ze sobą niespodzianki i nieoczekiwane sytuacje. Tutaj jednak bardziej interesują mnie podróże z pokusy, z pragnienia, z chęci — nawet gdyby przyniosły rozczarowanie czy niespełnienie. Oczywiście o rozczarowaniu i niespełnieniu nie myśli się przed wyjazdem, bo wtedy jest oczekiwanie, optymizm, euforia. Tak, podróże, które wynikają z pragnień, zdają się przywoływać więcej wrażeń, wzbudzać bardziej

niecodzienne wzruszenia i po powrocie przypominać się bardziej subtelnym echem. Od nich może też prowadzić więcej skojarzeń i refleksji, do nich zaś więcej wątpliwości i pytań. Tylko niektóre da się wypowiedzieć.

### *Podróż i wyjazd*

Podróżując wierzymy, że możemy mieć cały świat na własność. Ten wielki świat, znany z atlasów, globusów, albumów. Ten, który jest tak wielki, że z trudem mieści się w naszej wyobraźni.

Wierzymy, że możemy ten wielki i nierozpoznany, często nawet nieodgadniony świat zamknąć w mniejszym. Nawet w bardzo małym. W kilku wrażeniach, w kilku słowach, kilku fotografiach. W kilku dniach, tygodniach, w kilku miastach czy krajach. Wierzymy, że choć jest taki ogromny, potrafimy go objąć, przytulić, a nawet wchłonąć. Wierzymy, że potrafimy zastąpić duży, choć nie do końca rozpoznawalny świat tym małym, który mamy nadzieję ogarnąć i poznać. Zapamiętać. Uczynić choćby po części własnym. Mieć go w sobie i na każde zawołanie.

A przy tym ciągle tak naprawdę nie wiemy, po co i dlaczego wyjeżdżamy. I nie wiemy, po co i dlaczego wracamy. Ciągle nie wiemy, czy podróżując bardziej chcemy opuścić miejsce, w którym teraz jesteśmy, czy — przeciwnie — bardziej dotrzeć do miejsca, w którym nas nie ma. Podróżując, albo przed czymś uciekamy, albo za czymś gonimy; albo coś chcemy zgubić, albo coś znaleźć. Zazwyczaj siebie. Zgubić lub znaleźć

siebie jest trudno. Najtrudniej jest znaleźć wtedy, gdy tego potrzebujemy lub gdy — przeciwnie — chcemy się akurat zgubić. Częściej się znajdujemy, gdy chcemy zgubić i, niestety, gubimy się, gdy chcemy odnaleźć.

Podróże mogą dużo obiecywać, jednak nigdy niczego nie zapewniają ze stuprocentową pewnością. Nie są bankiem szwajcarskim, który solidnie i dyskretnie dba o nasze dobra. Podróże dawniej i dziś mają coś z ryzyka, z niepewności, z tajemnicy. Ich rezultaty nie zależą oczywiście od form podróży ani od miejsc, które odwiedzamy, lecz od nas samych. Wszak podróżujemy nie tylko ze sobą, ale i w siebie.

### *Szczeliny w czasie*

Choć nie wiemy, czym jest czas — rzeką, wiatrem czy snem Boga — czujemy, że zazwyczaj toczy się banalnie. Praca, codzienne sprawy, telewizja. Niekiedy niechciany mniejszy czy większy kłopot, który z tej rutyny wytrąca. I tylko podróż rozrywa tę rutynę. W jej szczelinie widać czas bardziej uśmiechnięty. Ktoś powie, że to nie czas jest uśmiechnięty. Prawda — to my, podróżując, uśmiechamy się do czasu. A skoro podróżujemy także w głąb siebie, to możemy też i do siebie się uśmiechać. To nie będzie wyraz obłędu, tylko przejaw spełnienia. Zresztą tego uśmiechu w głębi i tak nikt obok nie musi zauważyć.

Jednak są też ludzie podróżujący często i namiętnie. Może więc dla nich podróże stały się uzależnieniem. Może więc tęsknią do codzienności —

do codzienności w domu, w pracy, na zakupach. Ich szczeliny w czasie są wtedy jakieś inne — otwarte właśnie na codzienność. Dobrze, gdy smakuje im ten czas, który odnajdują w samych podróżach.

Szczeliny w czasie potrzebne są po to, by zaczerpnąć głębszego oddechu, by inaczej spojrzeć na świat i na siebie, by przewietrzyć własne myśli. I ostatecznie po to, by polubić własny czas — jakkolwiek by był.

W tych szczelinach, podczas podróży, czas lubi wyczyniać różne, niezależne od nas harce. Oto chcieliśmy, by był powolny jak żółw, a on staje się chyży jak koń i to jeszcze jak jakiś rumak na stepie. Chcieliśmy, by był zorganizowany, stabilny i uporządkowany, a on jest narowisty, niefrasobliwy i nieprzewidywalny. Chcieliśmy, by starczało go na wszystkie doznania, pragnienia i wzruszenia, a tymczasem zdarza się, że ledwo potrafimy zmieścić w nim kilkanaście spojrzeń, kilka impresji i paręnaście zadziwień.

Nie ma jednak rady: musimy zaakceptować i polubić tę szczelinę czasu podczas naszej podróży, gdyż inaczej łatwo z niej wypadniemy i zgubimy się gdzieś poza tym szczególnym czasem, a więc poza przygodą, poza doznaniem i poza odmiennymi wrażeniami. Opuszczając wyjątkową szczelinę czasu, odnajdziemy się w czasie płaskim i szarym.

### *Tymczasowość*

Poczucie tymczasowości jest urodą podróży. A czym jest, jakim czasem jest owo „tymczasem”?

Dlaczego nie jest zwykłym czasem? Bo jest czasem przerwany. Jest kawałkiem czasu wyrwanym z długiego jego ciągu. Jest też jakimś „międzyczasem”. Przed nim był czas zwykły, normalny, zazwyczaj aż za bardzo zwykły i normalny. Potem, po powrocie z podróży, znowu taki będzie.

Podróż krótka i podróż długa zawsze są „tymczasem” — są przerwaniem rytmu codzienności. Oczywiście można powiedzieć, że krótka podróż to małe „tymczasem”, podróż zaś długa musi być długim „tymczasem”. A jednak nie jest to do końca prawdziwe, bo krótka podróż może być bardziej rewolucyjna i niewiarygodna niż długi wyjazd. Gdy nasz wyjazd jest krótki, zabieramy ze sobą ogromny zapas pragnień i marzeń. Gdy wyjeżdżamy na długo, oprócz dużych walizek zabieramy też dużo cierpliwości i zapas rutyny, które pozwolą zamienić podróż w namiastkę domu i codzienności.

„Tymczasem” bywa słodkie lub nieznośne — w zależności od tego, czego sami oczekujemy od upływającego czasu. Słodkie jest wtedy, kiedy pragniemy zmiany; nieznośne, kiedy dokucza nam każda fałda czasu. Ale swoje mają też tutaj do powiedzenia przypadek i niespodzianka.

Gdy wyjeżdżamy często lub na długo, „tymczasem” staje się każdy powrót i pobyt w domu. Czują to marynarze i marzyciele. Bycie znowu w domu jest dla nich tylko chwilowe, bo niedługo czeka ich kolejny długi wyjazd. Nieraz nawet całkowicie się nie rozpakowują, bo uznają, że nie warto. Nie zawsze wiadomo, czy to domowe „tymczasem” jest chciane czy niechciane.

*Podróże chciane i niechciane*

Wspomniałem, że podróże bywają chciane i niechciane, swobodne i zorganizowane, z wyboru i wymuszone — pomijając wszystkie odcienie pośrednie i wszelkie sytuacje, gdy podróż wymuszona staje się podróżą chcianą, lub odwrotnie. Oczywiście wyobrażamy sobie uroki podróży i przypisujemy je podróżom chcianym — takim, gdy czas, cel, przebieg oraz warunki podróżowania wynikają z naszej woli (albo tak się nam wydaje). Wyobrażenie takiej podróży niesie piękne sceny, miłe sytuacje, wspaniałe doznania. Opowieści po powrocie z takich podróży zawierają tylko to, co sympatyczne i wspaniałe, pomijają zaś to, co zawiodło, rozczarowało, co było szare, mało egzotyczne czy po prostu nieprzyjemne. (Są też, niestety, uporczywi koneserzy złych wrażeń, którzy lubią wszystkiego nie lubić. Zastanawiające, dlaczego oni w ogóle wyjeżdżają z domu, dlaczego podróżują. Czyżby rzeczywiście zajmowali się kolekcjonowaniem tego, co przykre, niemiłe i nieprzyjemne?)

Znacznie bardziej interesujące jest to, skąd się biorą wyobrażenia chcianych, a nawet upragnionych podróży. Oczywiście z oglądanych filmów, czytanych książek, przeglądanych czasopism czy katalogów firm turystycznych, czasem z opowieści znajomych. Potem, niezależnie od źródła inspiracji, i tak święcie wierzymy, że były to w pełni nasze własne marzenia i wyobrażenia. I jest w tym nawet sporo prawdy: one jakoś stały się nasze — tym bardziej, im dłużej chowaliśmy marzenia i im dłużej pieściliśmy wyobrażenia.

Rekonstrukcja stawania się naszych marzeń w pełni „naszymi” byłaby zapewne ciekawsza niż większość seriali filmowych. A my nie wiemy nawet, kto pisze scenariusze naszych marzeń, kto je inscenizuje i kto reżyseruje. Niezbyt zgodnie z prawdą przypisujemy wszystkie te role sobie — zwłaszcza gdy nasze marzenia udaje się nam spełniać. Jednak już rozczarowania, pomyłki i błędy w realizacji naszych marzeń przypisujemy losowi albo innym ludziom. Na szczęście przed podróżą mamy zazwyczaj ogromny zapas optymizmu, który zabieramy ze sobą.

### *Bagaż*

Pakujemy walizy i torby, kufry i plecaki. Upychamy ubrania i kosmetyki, buty i lekarstwa, czasem też książki i płyty. I to wszystko jest oczywiste.

Bardziej interesujące są bagaże marzeń i planów, tęsknot i zamiarów. Leżą one zazwyczaj beładnie rozrzucone gdzieś w zakamarkach myśli. Potem, podczas podróży, czasem przypominamy sobie o nich, ale częściej zapominamy. Podróż jest tym ciekawsza, im bardziej się otworzyliśmy, im więcej mamy zaufania do przypadku i okoliczności, może też do siebie samych — takich jakimi jesteśmy akurat w swojej podróży. Czy z tego wynika, że lepiej wyjeżdżać z pustymi bagażami? Niezupełnie, bo gdy nic nie wiemy o miejscu, do którego się wybieramy, to i niewiele tam zobaczymy. Nie wytworzymy żadnych skojarzeń, niczego nie polubimy, gdyż nie będziemy wiedzieć, jak to, co widzimy, nazwać, a nawet możemy nie wiedzieć, na co mamy

patrzeć. Tak, coś musimy wstępnie wiedzieć, coś musimy sobie wyobrażać, by nasze spojrzenia wiedziały, gdzie się mają skierować.

Zbieramy doznania i przeżycia. I wówczas, w drodze powrotnej, nasze bagaże są naprawdę pełne wrażeń i wspomnień. Upychamy je szczelnie, by jak najwięcej zabrać, by pomieścić wszystko, co miłe, co nadzwyczajne, niezwykle. Możemy zapomnieć o ubraniach i butach, lekarstwach i kosmetykach, ale pamiętamy to wszystko, co widzieliśmy i przeżyliśmy. I nigdy nasze bagaże nie będą na to wszystko za małe. Będą się rozrastały i rozciągały. Niestety, potem i tak przepadną.

### *Turystyka*

Pośród podróży chcianych najbardziej popularne są wyjazdy turystyczne. Nieraz długo tworzymy w naszej wyobraźni mapy takich wyjazdów, odkładając ich spełnienie na dogodny czas. Gdy ten nadejdzie, bierzemy wymarzoną przestrzeń w jasyr, wykorzystujemy jej urodę i powab aż do zmęczenia. Ale nawet bardzo zmaltretowani ciągle chcemy, by nam się podobało, a przynajmniej byśmy wierzyli, że nam się podoba.

Turystyka ma jednak strasznego wroga — turystów. To oni nam, także turystom, depczą po nogach, zasłaniają widoki, zajmują miejsca do siedzenia. (Jakoś zapominamy, że my także zwykle przeszkadzamy innym.) Perfidia turystów sprawia, że zazwyczaj jest ich najwięcej tam, gdzie powinno ich być jak najmniej: gdzie jest najładniej czy najciekawiej. Wszyscy jakby się zmówili, by wybrać właśnie Akropol, piramidy

egipskie czy Taj Mahal, gdy my tam akurat jesteśmy. Dlaczego nie siedzą w domach i nie oglądają telewizji, tylko tutaj się przywlekli? Ot, nieznośni turyści.

Jako turyści musimy być też podejrzliwi (i to nie tylko z powodów lingwistycznych — wszak podglądamy świat). Musimy być podejrzliwi, gdyż często podglądany świat jest mniej lub bardziej spreparowany właśnie na użytek turysty: stroje etniczne, w których już nikt na co dzień nie chodzi, potrawy, których miejscowi nie jadają, tańce, których nikt tam nie tańczy i obrzędy, których nikt już nie dopełnia. I ceny, których miejscowi nie płacą. Na ich usprawiedliwienie jest to, że gdyby nie turyści, to już dawno przepadłyby te potrawy, tańce i obrzędy, nawet wiele zabytków pewnie by wyburzono.

Atrapy mają karmić i zaspokajać naszą wyobraźnię. Trzeba więc umieć je odsunąć albo ich nie widzieć. Szybko jednak wszelkie atrapy stają się prawdziwe, bo znalezienie jakiegokolwiek autentyku nie jest już możliwe. Tłum turystów wszystko przesłonił, a jeżeli nawet nie przesłonił, to swoją obecnością odebrał autentynom ich dziewiczość.

### *Podróż po podróży*

Pewnie większość podróży w jakiś sposób trwa po ich zakończeniu. Tam gdzie raz byliśmy, bywamy znowu i znowu...

„Podróż po podróży” może istnieć na wiele sposobów. Niemal każda podróż żyje w naszych wspomnieniach, kiedy odtwarzamy sobie jej szczególne

momenty, jej wyraziste epizody czy po prostu te sytuacje, które akurat zapamiętaliśmy albo które z niewiadomych powodów sobie przypominamy. Bywa, że świadomie odtwarzamy sobie takie chwile albo jesteśmy nimi zaskakiwani przez nieprzewidywalne skojarzenia.

Podróż żyje też w naszych opowieściach, w powtarzanych narracjach, w których zazwyczaj chcemy ją przedstawić jako coś wyjątkowego, ciekawego czy wręcz bajecznego, a przy tym tak, żeby nasz słuchacz jej nam pozazdrościł. Co prawda, snujemy opowieści inaczej niż w dawnych czasach, kiedy podróżnik, otoczony gronem zapatrzonych weń słuchaczy, opowiadał o swoich przygodach, ale jednak nadal próbujemy naszymi doznaniem innych zainteresować. Zaprosiliśmy znajomych na kolację, a przy okazji na opowieści o naszym wyjeździe. Dobrze, gdy dostrzegamy, że już ziewają.

Podróż żyje także w zakupionych pamiątkach: mniej lub bardziej banalnych gadżetach, czasem butach, torbie lub krawacie, niekiedy nawet dywanie. Rzadziej taką „pamiątką” z podróży jest mąż lub żona, częściej kochanek lub kochanka, jeszcze częściej jacyś znajomi, o których zresztą dość szybko zapominałyśmy. Niektóre pamiątki przez jakiś czas odkurzamy, choć tak naprawdę jest to odkurzanie czasu, który upłynął od wyjazdu. Innych, wcześniej czy później, pozbywamy się — zwłaszcza gdy zawadzają, a my już nawet sobie nie przypominamy, skąd pochodzą.

I wreszcie, podróż po podróży żyje w nakręconych filmach i zdjęciach. Mogą one być uszione w czelu-

ściach pamięci komputerów, mogą leżeć bezładnie porzucone i zapomniane na dnie szuflad czy kartonów, ale mogą też być uporządkowane w albumach lub folderach komputerowych. Przeglądając je niekiedy, bodaj najpełniej i najwygodniej, a może wręcz komfortowo, podróżujemy ponownie. Choć kryje się tu pewne niebezpieczeństwo. Otóż powoli tak przyzwyczajamy się myślowo tylko do tego, co utrwalone na zdjęciach, że tylko to, co na nich widzimy, zostaje w naszej pamięci, z której powoli umykają miejsca i chwile niesfotografowane.

### *Fotografie*

Choć podróże często zaczynają się od inspiracji zdjęciami (choćby w katalogach biur turystycznych), to często też kończą one podróż, a nawet ją dopełniają. Fotografia nie tylko umożliwia trwanie podróży po jej zakończeniu. Fotografia i podróż — to już niemal synonimy. Kiedyś podróżnik musiał umieć choć trochę rysować; teraz musi mieć aparat fotograficzny czy telefon komórkowy. I musi umieć tylko nacisnąć lub dotknąć odpowiednie miejsce. Reszta dokonuje się sama. Jakby za sprawą jakiegoś magika, to, co było przed nami, uwiecznia się na matrycy aparatu, potem w komputerze lub w postaci wydruku. Czasem umiera w zapomnieniu, a czasem żyje w naszych wspomnieniach. Lub w albumach ze zdjęciami.

Albumy: wianki zasuszonych wspomnień, które niekiedy chcą ożywać. Zbiory niedojrzałych marzeń,

które czasem próbują wydorośleć. Kolekcje spełnionych, ale i nieudanych miłości. Wysypiska nadziei, które nieraz stają się pocieszeniem.

Przechodzą z karty na kartę, z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc, z roku na rok. Czasem z pokolenia na pokolenie. Coraz bardziej spłowiałe, coraz mniej czułe, coraz mniej bolesne, ale i coraz mniej radosne. Przestają być wówczas imieniem czasu, a stają się jego coraz mniej rozpoznawalnym przewiśkiem.

Z podróży przywozi się setki, czasem nawet tysiące zdjęć z nachalnymi twarzami własnymi i tych, z którymi podróż upływała. Na tle łuku triumfalnego w Paryżu, na tle Watykanu czy po prostu plaży i błękitnego morza. Takie zdjęcia to potwierdzenia, że tam byliśmy i że musieliśmy się czuć szczęśliwi, bo przecież się uśmiechamy. Na zdjęciu zazwyczaj nie widać pragnienia, zmęczonych nóg i obtartych stóp, rozczarowań pogodą i współuczestnikami podróży.

Każdy przypadkowy przechodzień uwieczniony na zdjęciu na co dzień mieszka może gdzieś w Tokio czy Monachium i jako przypadkowy turysta znalazł się w kadrze naszego aparatu, nie zdając sobie z tego sprawy. Gdzieś idzie, na coś patrzy, z kimś rozmawia, może coś kontempluje. Pozostanie już tak „na zawsze” na naszej fotografii, będzie istniał w naszym komputerze czy albumie, nie wiedząc o tym. Przypadkowo sfotografowane dziecko na zawsze będzie już dzieckiem. Może i ty jesteś gdzieś uwieczniony na zdjęciu wykonanym przez japońskiego czy amerykańskiego turystę i będziesz sobie istniał, nie wiedząc o tym, w Osace czy Minneapolis.

A przecież udane i ciekawe zdjęcia to dowody na to, że w urodzie świata dostrzegliśmy jakiś własny kadr.

## *Pamięć*

Dobrze wiadomo, że nasza pamięć jest naszym życiem. Nasza pamięć jest naszym jedynym własnym światem. A więc trochę i tym światem, który zobaczyliśmy w podróży. Nasza pamięć jest dalszym życiem podróży, dalszym jej trwaniem. Po rozpakowaniu walizek, po innych wydarzeniach, po innych podróżach.

Zaułki miast drzemią w zaułkach pamięci, obrazy z muzeów przypominają się w galeriach pamięci, fasady budowli odtwarzają się na ekranach pamięci. Wracają także przeżyte sytuacje, niektórzy ludzie, niektóre zauroczenia, niektóre niepokoje. Czasem pomniejszone, innym razem przypominane w demonicznych wymiarach. Niekiedy bardziej słodkie i urocze, niż były w rzeczywistości, to znów bardziej okropne.

Niekiedy, gdy chcemy się zanurzyć w tych światach, które kiedyś widzieliśmy, w naszej pamięci doznajemy jakiegoś oczopląsu: migają nam obrazy i wspomnienia, sytuacje i doznania, które bardziej przypominają kalejdoskop niż uporządkowane półki. Chaotycznie pomieszane miejsca i momenty tworzą nieodgadnioną strukturę.

Wszystko to ożywa w momentach zazwyczaj nieprzewidzianych, zaskakując nas, gdy niczego się nie spodziewamy. Czasem jednak potrafimy sami uruchomić nasze skojarzenia i wywołać podróż we wspomnieniach. To nic, że jakiś zapamiętany szczegół czy

moment różni się od tego rzeczywiście zobaczonego czy przeżytego. To nic, że ta przypomniana osoba czy chwila były nieco inne i w nieco innym miejscu i czasie. Tego już nie można sprawdzić. Nasza pamięć zaczyna mieć władzę nad rzeczywistością, a nawet władzę nad nami. A więc i nasze podróże zaczynają być własnym życiem. Może ono być ciekawe i bogate, ale może też budzić rozczarowanie. Jak same podróże.

### *Strzępy*

Przejeżdżamy przez wiele miast, przechodzimy wieloma ulicami, spacerujemy po wielu placach i zaułkach. Potem przypominają się jakieś zamglone fragmenty i nieczytelne momenty. I to w dziwnych, zaskakujących okolicznościach. Oto nagle przypominam sobie dziecko przebiegające przez jakąś rozwartą bramę, kobietę idącą z zakupami pod jakąś kolumnadą, parę całującą się wieczorem na jakimś moście oświetlonym fioletowym blaskiem — tylko już nie pamiętam, gdzie to było i kiedy. Albo to ułamkowe spojrzenie dziewczyny o zielonych oczach, żebrak leżący na chodniku czy kolumna sportowych aut. Gdzieś to było na pewno, wydarzyło się w jakimś miejscu prawdziwym i w realnym czasie, a teraz dla mnie jest miejscem anonimowym i przypadkowym: mogło to być w Rawennie lub w Trogirze, w Madrycie, na Rodos.

Obok tylu dokładnie pamiętanych miejsc i sytuacji jest też bardzo wiele takich, które zechciały wybrać sobie dziwną formę istnienia-nieistnienia. Niby są one w nas, przecież dobrze i wyraźnie je pamięta-

my, a jednak niewiele więcej potrafimy o nich powiedzieć. Oczywiście, gdyby zaszła potrzeba, moglibyśmy snuć długie wymyślne opowieści na ich temat, konfabulując szczegóły i dokładnie opisując okoliczności. Na szczęście taka potrzeba nie zachodzi. Wystarczy, że sami sobie przypominamy te zazwyczaj dość banalne, a jednak mocno tkwiące w naszej pamięci chwile. Wystarczy, że sami sobie zadajemy pytanie: gdzie i kiedy to mogło być? Uroda tych sytuacji tkwi właśnie w naszych pytaniach, a jeszcze bardziej w tym, że nigdy nie potrafimy już na nie odpowiedzieć. Te strzępy naszej pamięci chcą sobie swobodnie łopotać w podmuchach czasu.

## Gadżety

Cokolwiek: miniaturową wieżę Eiffela, kubek ze św. Franciszkiem z Asyżu lub choćby t-shirt z napisem „Roma”. Czasem butelkę wina, innym razem przepis na grecką potrawę, a może nawet marokański ceramiczny garnek do gotowania tarzinu. Albo buty, koszulę lub choćby jakąś egzotyczną czapkę. I może jeszcze szyszkę pinii znalezioną pod Wezuwiuszem, kamień znad norweskiego fiordu lub „różę pustyni” kupioną na bazarze w Tunezji. No i wazonik imitujący antyczny wzór albo figurkę zdetronizowanego miejscowego boga czy jakąś tanią biżuterię sprzedaną przez ulicznego przekupnia. Najczęściej jednak pocztówkę z ujęciem, które samemu trudno sfotografować, rzadziej płytę z miejscową muzyką, bardzo rzadko książkę czy album.

Kupujemy, zbieramy i zabieramy to wszystko, nawet wtedy gdy przeciążonej walizki nie można już dopiąć. Nawet wtedy gdy zaraz po powrocie przedmioty te zostaną wyrzucone lub zapomniane. Potem długo leżą na półkach, w kredensach czy na etażerkach. Zazwyczaj do momentu pierwszego większego remontu mieszkania. Także cudzego, bo gadżetami obdarowujemy przyjaciół i rodzinę. Im dopiero trudno pozbyć się tych niechcianych suvenirów! A tyle czasu poświęciliśmy, by ich uszczęśliwić!

Pewnie jest to prądawny atawizm myśliwego lub wojownika, który musiał i chciał przynieść lub przywlec z wyprawy jakieś trofeum. Jedni przywozili zbiory, które potem stawały się eksponatami wielkich muzeów. Inni zaledwie jakieś poroża lub fragment zdobycznej zbroi. Dzisiaj przywozimy właśnie gadżety, które — porzucone — same zaczynają kolekcjonować kurz i niepamięć.

Niestety, nawet z podróży rzadko udaje się przywieźć najważniejsze trofeum — czyli odpowiedź na pytanie „jak żyć” czy „kim być”.

## *Noclegi*

Choć są podróże, podczas których szkoda czasu na sen, to przecież nie sposób sobie wyobrazić podróży bez noclegów. To nic, że u niektórych podróżnych jest to namiot, przyczepa kempingowa czy prywatna gościna. Albo wygodny apartament czy choćby pensjonat, a zazwyczaj hotel. Nocleg jest chwilowym domem, do którego wraca się późnym wieczorem, oczekując bło-

gości i spokoju. Tam, zazwyczaj zmęczeni, zasypiamy głęboko, by rano wybrać się poznawać świat mniej lub bardziej odległy od miejsca, gdzie śpimy. Gdy jest to w jakimś egzotycznym kraju, to nawet jeśli oddalimy się niezbyt daleko, widzimy rzeczy i sytuacje, które nas zaskakują: biegające obok mały lub jaszczurki, dziwne ubrania przechodniów, stragany oferujące nieznaną nam warzywa i owoce.

Każdy nocleg, nawet najbardziej przytulny i sympatyczny, jest miejscem przelotnym. Tylko stali rezydenci nie chcą opuszczać wybranego hotelu i pokoju, lecz oni są przeciwieństwem podróżników. Oni chcą tu trwać przynajmniej tak długo, jak długo mogą opłacać rachunki.

Każdy, kto dużo podróżuje, z natury rzeczy nocował w wielu miejscach — wszak tylko niekiedy wraca się do tych samych. Zazwyczaj szybko się o nich zapomina. Zapomina się ich nazw, położenia, wyglądu; zapomina się sąsiadów, obsługi, mebli. Po upływie nawet krótkiego czasu wszystkie stają się podobne: nieokreślone, niewyraźne, bez wyrazu. Większość noclegów szybko przemienia się w anonimową szarość — w swoją własną bezdomność.

### *Dom i podróż*

Nie wiadomo, czy wnikliwość naszego spojrzenia i rozumienia jest większa w domu, czy w podróży. Nie wiadomo, czy tęsknota za szczegółami bardziej przejawia się tam, gdzie na co dzień mieszkamy, czy „na wyjeździe”. To nieważne. Ważne natomiast jest to, że

te dwie odmienne sytuacje inspirują do różnych spojrzeń i rozumień.

Zamiast „dom i podróż” chciałoby się napisać — za Rabindranathem Tagore — „dom i świat”, tyle że w tym kontekście byłoby to niedopowiedzenie. Owszem, dom może być światem, podobnie jak — z innej perspektywy — świat może być domem. Tu jednak mówimy po prostu o zwykłym-niezwykłym domu, który jednocześnie jest tuż obok i który rozciąga się hen, daleko.

Podróż zawsze zaczyna się w domu i od domu. W domu wyobrażamy sobie te miejsca, do których chcemy jechać. Wyobrażenia rodzą się zazwyczaj w jego ciszy i w jego ciepłe: na ulubionym fotelu, przy bliskiej lampie tworzą się obrazy odległych krain, do których chciałoby się dotrzeć. Podróż zaczyna się właśnie od domu, musi się zacząć od domu — nie od stacji kolejowej, od lotniska czy portu. Zawsze najpierw trzeba wyjść z domu, przekroczyć jego próg, zamknąć za sobą drzwi. I wtedy właśnie zaczyna się podróż. Może nawet jeden krok od domu, może kilkaset metrów dalej. Zaczyna się tam, gdzie jest początek strefy nieznannej, a przynajmniej niecodziennej, trochę też tajemniczej i niepewnej.

W podróży — nieważne, wygodnej czy kłopotliwej — często przypomina się dom. Przypominają się jego znajome ściany, wygodne łóżko i ulubiony kubek do kawy. Przypomina się to wszystko, co swoje i błogie, bezpieczne i przytulne. Przypomina się spokój i wygodę. Tak więc jesteśmy w podróży, ale raz po raz marzymy o domu, bywa że rozkoszujemy się myślą, że niebawem do niego wrócimy. Czy to grzech albo zdra-

da naszej podróży? Nie, to raczej jej dopełnienie i tło, rodzaj *passe-partout* tych pejzaży i tych miejsc, które akurat oglądamy i które zatrzymujemy w swoich powidokach.

I wracamy. Dom czeka na nas tak, jak my nań czekaliśmy. Jesteśmy o krok, chwytamy klamkę, odkładamy torby i walizy. Jeszcze jakiś czas jesteśmy jednocześnie tam i tu. Tam, bo podróż ciągle w nas trwa, a my nadal jesteśmy jeszcze myślami i skojarzeniami w drodze. Tu, bo już jesteśmy w domu, bo już jest nam błogo i wygodnie. Często zaczynamy, po upływie jakiegoś czasu, a zdarza się nawet, że natychmiast, wyobrażać sobie nową podróż.

Niekiedy domem może być cały świat. Jak chciał Tagore. I jak chcą nomadzi.

### *Tęsknota za codziennością*

Niemal każda podróż odrywa nas od codzienności. Podróże z założenia takie właśnie mają zadanie: mają nas wyrwać z rutyny, z codziennych spraw, oderwać od sąsiadów za ścianą i domowych mebli. Mają nas oderwać od wszystkiego, pośród czego upływa nasze normalne życie. I zazwyczaj się to udaje. Wyjeżdżając do mniej lub bardziej egzotycznych miejsc, choćby na krótko, oddalamy się i zapominamy o tym, co zwykłe, znajome, może nawet trochę szare. Przez pewien czas żyjemy w innym świecie, w innych budowlach, w niecodziennym rytmie. Pośród innych ludzi, innych spraw i innych doznań. I bywa nam z tym dobrze. Do pewnego momentu.

Przychodzi chwila, kiedy jednak zaczynamy tęsknić za codziennością — i to niekoniecznie tą codziennością, którą zostawiliśmy gdzieś tam, u siebie. Niekiedy zaczynamy tęsknić za tym, żeby może tamtą naszą codzienność przenieść tu, gdzie jesteśmy teraz. Zaczynamy tęsknić za tym, żeby tamta nasza codzienność też wybrała się w podróż i towarzyszyła nam tu, gdzie akurat jesteśmy — obojętnie, w Paryżu czy w Antibes, Rzymie czy Perugii, Barcelonie czy Tarragonie. Takie tęsknoty za przeniesieniem swojej codzienności pojawiają się, gdy jest nam dobrze, wręcz błogo „na wyjeździe”. Gdy nie musimy się spieszyć, gdy mamy wygodny hotel, gdy dobrze już znamy miejsce, w którym jesteśmy, i czujemy się tam bezpiecznie. Wtedy zadajemy sobie pytanie: przecież to już jest nasz świat, więc co tu robimy jako podróżni? Dlaczego musimy tu być jedynie przejazdem, tymczasowo i przelotnie? I odpowiadamy: przecież, skoro oswoiliśmy to miejsce i jest nam tu dobrze, to przenieśmy tu naszą codzienność. I wtedy marzymy o tym, żeby znalazły się tu nasze książki i nasze płyty, nasze obrazy i nasze bibeloty, nasze kwiaty i nasze krawaty. Marzymy o tym, żeby chodzić po ulicach nie z plecakiem, lecz z aktówką, nie z bedekerem, lecz z gazetą codzienną, nie w koszuli flanelowej, lecz bardziej wytwornie. Czasem marzymy nawet, żeby tu zamieszkać. Czytamy ogłoszenia miejscowych biur nieruchomości, wpatrujemy się w okna mieszkań, które wydają się puste, przyglądamy się klamkom, które są zaśnieżone.

I wtedy owe światy — ten nasz codzienny i ten z podróży, który chciałby się stać naszą codziennością — na chwilę się łączą. Łączą na krótko i jedynie w ma-

rzeniach, trzeba się bowiem powoli pakować i wracać do codzienności naprawdę codziennej. Głód powrotu bywa tak silny, jak wcześniej głód wyjazdu. Już na lotnisku, skąd wylatujemy, zaczynamy się przenosić myślami do naszego wygodnego mieszkania, czystej łazienki i przytulnej sypialni. Przecież lubimy tę swoją codzienność, którą tylko na pewien czas opuściliśmy. I tylko nie wiemy, czy to my do niej tęskniliśmy czy może ona za nami.

### *Niespodzianki*

Podróże i niespodzianki tak się splatają, że często w naszych skojarzeniach stają się tym samym: myśląc o podróży, wyobrażamy sobie niespodzianki, a mówiąc o niespodziankach, najczęściej mówimy o niespodziankach w podróżach.

Często wybieramy się w podróż dlatego właśnie, że nudzi nas rutyna, że w domu wszystko jest przewidywalne i normalne. Bywa, że chcemy zaskakujących sytuacji i silnych niecodziennych doznań. Nieraz z tego tylko powodu wybieramy się w podróż. Są różne skale między biegunami rutyny i niespodzianki: dla jednego niespodzianką będzie już to, że nie przeczyta swojej ulubionej gazety codziennej, dla drugiego to, że wejdzie na niedostępną ścianę Mont Everestu; dla jednego niespodzianką będzie brak klimatyzacji w pokoju hotelowym, dla drugiego przeżyta w podróży miłość.

Są niespodzianki spodziewane i niespodzianki prawdziwie zaskakujące. I mniej to jest zależne od ich skali, a bardziej od naszych wyobrażeń, przewidywań

czy charakteru miejsc, do których się udajemy. Niespodzianki, których nadejście sobie wyobrażamy, w jakimś stopniu przestają nimi być i stają się niemal wyjazdową oczywistością, otrzymaną w pakiecie podróżnym, czy rodzajem ornamentu ozdabiającego czas. Niespodzianki, które całkowicie nas zaskakują, mogą być najszczęśliwymi chwilami w naszym życiu, jakimś niespodziewanym błogosławieństwem losu, który nagle sobie o nas przypomniał i spełnił nasze najgłębsze marzenia. Ale mogą się też stać upiornymi doznaniem, horrorem, przy którym czekamy, by wreszcie się skończył.

Na niespodziankach do pewnego stopnia można grać — można ich oczekiwać, można je prowokować, można nimi manipulować, ale można się też po części przed nimi asekurować. I znowu, te niespodzianki, wobec których można prowadzić jakąś udaną grę, przestają być niespodziankami. Ich losowość, ich spontaniczność ulegają zredukowaniu i obłaskawieniu. Mało kto jest takim fachowcem wobec powiewów losu, by potrafił nim zawładnąć. Niespodzianki nie będą zwierzętami cyrkowymi, nad którymi przez żmudną tresurę da się zapanować. Aby pozostały niespodziankami, muszą być wolne, niefrasobliwe i zaskakujące.

### *Zapatrzenie*

Zdarza się, że to, na co patrzymy, tak nam się podoba, że przestajemy to już widzieć. Zapatrzyliśmy się. Stopiliśmy. Stajemy się tym, co widzimy. Piramidy, Piazza Navona czy choćby polna ścieżka znikają

sprzed naszych oczu i jakoś przenikają do nas — albo raczej my w nie wnikamy. Zanika podział na podmiot i przedmiot, na nas patrzących i na oglądany świat. Jesteśmy jednością ze światem, a przynajmniej z tym fragmentem świata, którym tak głęboko się przejęliśmy. Albo jeszcze bardziej dosłownie: który nas przejął. Przejął i pochłoniął.

Czy to jest strata? Czy może w ten sposób coś nam przepadło? A może zagubiliśmy jakieś szczegóły albo nasze doznania stały się zbyt proste? Potem nie potrafimy tego opisać. Jąkamy się w opowieściach, tak że ktoś słuchający może pomyśleć, że konfabulujemy. Czasem sami mamy wątpliwości, czy nasze doznania były prawdziwe, czy nie za bardzo wzruszyliśmy się swoimi odczuciami, które wzięły górę nad nami, które nas jakoś zniewoliły.

To cena, którą płacimy za nadmiar wzruszeń, za przeżycia, które są tak silne, że przestajemy już potem widzieć świat, który się przed nami roztacza. Zatraciliśmy się w swym zapatrzeniu. Staliśmy się tym, co oglądamy. A może to zatracenie jest najwyższym i najchwalebniejszym stopniem przeżywania świata i naszej w nim obecności? Pewnie tak, lecz tym bardziej należy je trzymać w ryzach, bo może ono uzależniać jak morfina.

## Zachwyty

Zachwyty mogą być przewidziane, ba, nawet zaplanowane, gdy wiemy, że kanion rzeki Kolorado, Kapadocja albo zbiory Luwru „muszą” wywołać w nas

uniesienie — wszak po to wybraliśmy się w te miejsca. Ale mogą być też zachwyty przypadkowe i zaskakujące, gdy ni stąd, ni zowąd zobaczymy interesujące ruiny jakiegoś zamku na horyzoncie, błękitne niebo odbite w niewielkim jeziorze czy spojrzenie przechodzącej obok dziewczyny. Zachwyty przewidziane i zachwyty przypadkowe mieszają się, jak różne waluty w portmonec. I podobnie jak przy tych walutach, zazwyczaj nie potrafimy też ocenić wartości naszych zachwyków. One, jak to zachwyty, są po prostu zawsze najlepsze i najgłębsze.

Gdy jesteśmy otwarci, nasze zachwyty się mnożą. Ciągłe ich przybywa i stają się coraz bardziej intensywne. Niemal wpijają się w nasze oczy, mózgi i serca. Niekiedy są tak silne, że wywołują prawie zawrót głowy. Póki co, jest nam z tym dobrze. Mamy poczucie, że podróż się „opłacała”, że warto było wyjechać, że nie oszukaliśmy się, licząc na te silne przeżycia.

Jednak po pewnym czasie, zwłaszcza gdy podróż trwa dłużej, nasze zachwyty zaczynają nas boleć, a zamiast cieszyć się tym, co widzimy, doznajemy cierpienia, a nawet choroby Stendhala. Staje się tak, gdy przekroczyliśmy pewien próg wrażliwości i więcej już nie jesteśmy w stanie doznać, a nawet zobaczyć. Najwspanialsze cuda natury czy sztuki stają się wtedy bezradne wobec naszego otępienia na wszystko. Pojawia się nie tylko znudzenie, ale i zmęczenie, a nawet swoiste zamęczenie własnymi uniesieniami. Boimy się spojrzeć przed siebie, boimy się kolejnego arcydzieła w muzeum, kolejnych antycznych ruin czy kolejnego cudownego pejzażu.

Wtedy pora wracać, pora odpocząć od zachwyków.

*Arkadie*

Tęsknimy do słońca, do błękitnego nieba, do Morza Śródziemnego. Jeżeli nie zawsze i nie wszyscy dosłownie możemy się tam przenieść, to przenosimy się choćby w przenośni — *nomen omen*. Pragniemy światła, ciepła, spokoju. Pragniemy arkadii — nawet jeżeli różnie ją sobie wyobrażamy. Ma być błogo, świetliście i ciepło. Nie ma być szarości, trudu i kłopotów. Najlepiej, aby arkadie przypominały wyobrażenie raju — ziemskiego raju.

To nic, że arkadie zostały wykreowane przez dawne mitologie lub współczesne katalogi biur turystycznych, przez filmy i seriale. Zresztą wyobrażenia arkadii są hodowane i żywione wieloma naszymi ukrytymi pragnieniami, a przede wszystkim pragnieniami zadośćuczynienia za rozterki i codzienne rozczarowania, za brak powodzenia, za szarość życia w domu i w pracy, za klimat świata, w którym na co dzień żyjemy. To nic, że ludzie północy wyobrażają sobie arkadie na południu, a ludzie z południa podobno na północy. (To ostatnie pewnie jest nieprawdą, bo nad Morze Śródziemne przyjeżdżają dziesiątki milionów ludzi, gdy zaś nad Morze Północne może kilka tysięcy.) Kształt marzeń o arkadii może być różny, tylko same marzenia są podobne.

Nie wszystkie podróże prowadzą do arkadii. I nie tylko dlatego, że arkadie się zmieniają, raczej dlatego, że zawodzą. Czasem wyobrażona arkadia rozczarowuje — gdy okazuje się, że słońce jest w niej za bardzo słoneczne, błękit zbyt błękitny, a morze zbyt śródziemne. Zresztą rozczarowania mogą mieć różne przyczyny,

tkwiące zarówno w miejscach, które sobie upatrzyliśmy jako arkadie, jak i w nas samych. Nie ma nic bardziej przykrego niż rozczarowanie spodziewaną arka-dią.

Może różne arkadie jakoś bronią się przed niektórymi ludźmi, chowają albo maskują? Dobrze, bo wtedy więcej zostanie dla pozostałych.

### *Rozczarowania*

Rozczarowania wyrastają z przekory, z nadmiaru lub z przypadku.

Rozczarowania z przekory pojawiają się wtedy, kiedy nasze marzenia i wyobrażenia, nasze plany i oczekiwania wobec podróży zostały rozbudzone przez kolorowe ilustracje w katalogach biur podróży. A potem, mimo że miało być tak pięknie, czujemy się zawiedzeni. Może było pięknie, tylko nasze wybujałe apetyty nie pozwalały tego dostrzec i odczuć. Przez nazbyt różowe okulary nie widać wielu barw i kształtów, widać natomiast same okulary. Tylko ile można wpatrywać się w swoje, nawet najpiękniejsze, okulary: w swoje własne oczekiwania?

Rozczarowania z nadmiaru są zrozumiałe. Przesyt niesie zblazowanie, które jest stanem nijakim: trochę tu nudy, trochę bezmyślności i trochę przykrości. Bardzo trudno je pokonać jakimś nowym, silniejszym doznaniem. Szukamy więc podniet coraz bardziej wyzywających i podróży coraz bardziej egzotycznych. Może teraz się uda złapać choć na chwilę jakąś przyjemność. Może. Jednak zblazowanie wy-

soko umieszcza poprzeczkę oczekiwań: to już musi być coś naprawdę niezwykłego i zaskakującego. Ale co — skoro mało rzeczy jest w stanie nas poruszyć? Kolejne próby coraz bardziej zawodzą, a nie ma nic gorszego niż nawarstwiające się rozczarowania.

Na rozczarowania z przypadku nie ma rady — tak jak nie ma jej na żaden przypadek. Oczywiście, jeśli jest naprawdę przypadkowy — czyli nieprzewidywalny i nieokiełznany. Takie rozczarowanie trzeba przeczekać. To jedyna szansa, że zniknie rozczarowanie i przyjdzie oczarowanie.

### *Podróż i ktoś bliski*

Czasem przygniata nas wzniosłość egipskich piramid, majestat świątyń Angkoru czy tajemnicza uroda paryskiej Mony Lisy. Podobnie jak zachodzące słońce nad oceanem Atlantyckim, oświetlone słońcem Alpy czy księżyc widziany w Granadzie. Ich wzniosłość czyni nas małymi i bezradnymi, nieco zagubionymi w ich majestacie i wspaniałości.

Gdy jesteśmy sami — zwłaszcza tam, gdzie znaleźliśmy się po raz pierwszy — możemy czuć albo naszą kruchość, albo brak chęci do cieszenia się, albo po prostu jakąś mgłę na oczach, która nie pozwala niczego dostrzec. Boimy się je wtedy otworzyć, boimy się poruszyć jakieś bardziej czułe doznania, boimy się nawet, że to nasze przeżycie nie będzie prawdziwym przeżyciem. Boimy się, że nasze poruszenie i nasze doznania zmaleją, że nic nie zobaczymy

i nic nie będziemy przeżywać. Czasem boimy się, że to będzie bolało czy choćby uwierało. Chcemy, by ktoś bliski był obok, by odbierając wrażenia podobne do naszych, sekundował nam i wspierał nas nawet milczącym spojrzeniem, nawet samą współobecnością.

Tylko czasem ten, kto miał być bliski, staje się obcy i chłodny. Wtedy i tak czujemy pustkę, a może nawet jakąś ranę. Nie chcemy, by ktoś ją uraził. Boimy się niedyskrecji i braku delikatności, boimy się braku współodczuwania.

Czasem więc my sami jesteśmy dla siebie kimś najbliższym i lubimy być tylko z sobą — zwłaszcza w miejscach, które już dobrze znamy, z którymi już się kiedyś zaprzyjaźniliśmy albo które oglądamy kolejny raz po to, by zobaczyć tam siebie samych — tyle że jakichś innych. Świat oglądany w pojedynkę nie tylko może się wydawać interesujący, może być też ciepły i bliski, a nawet wtedy, kiedy jest zamglony nostalgią, może być bardzo wyrazisty. Choć rozmawiamy z nim bez pośredników i w milczeniu, to jednak wymownie. A może zawsze rozmawiamy tylko sami ze sobą?

### *Podróże i obcy*

Poznawanie obcych jest tak samo ciekawe (albo jeszcze bardziej), jak poznawanie budowli i pejzaży, kuchni i roślin. Dobrze wiemy, że obcy może już być za progiem, że nawet może to być ktoś z naszych domowników. Ale mówmy tu o obcym, którego nie zna-

my i którego trochę się boimy, ale którego jesteśmy ciekawi, który nas intryguje. Bywają wyjazdy, w których zmierzamy właśnie do tego, by poznać to, co obce, inne, odmienne.

Obcy w podróży często są jej celem: chcemy ich zobaczyć, chcemy się z nimi kontaktować, chcemy — jeżeli jest to możliwe — z nimi rozmawiać. Rzadko kiedy obcość jest pełna i całkowita. Zazwyczaj już cokolwiek wiemy nawet o bardzo egzotycznych miejscach i ludziach. Mamy jakieś wyobrażenia, przypuszczenia i stereotypy. Chcemy je sprawdzić, porównać, sami doświadczyć, jak ten domyślny świat i jego mieszkańcy wyglądają, jacy są. Rzadziej myślimy o tym, by sprawdzić, jak my sami znajdziemy się wobec obcych, co będziemy czuli i co będziemy chcieli w nich zauważyć.

Poznawanie obcych niesie pewien niepokój, ale też pewne wyzwanie. Jest to nie tylko poznawanie tychże obcych, ale i poznawanie siebie. Jest to poznawanie swojego otwarcia na innych, swojego zainteresowania nimi, swojej tolerancji. Jest to poznawanie swojej odporności na innych, ale i na własne zniechęcenie, obojętność, powierzchowność.

Poznawanie obcych w ich świecie, jest w istocie poznawaniem „obcego” w sobie. Tego obcego, którego może nie znamy, którego może nie chcemy dostrzec, ale którego musimy, jeśli nie zawsze polubić, to przynajmniej zaakceptować. Nie jest to łatwe, gdyż „obcy”, który się w nas kryje, jest bardzo chytry: chowa się przed nami, maskuje, zwodzi. Żeby go odnaleźć i zdemaskować, trzeba być bardzo przebiegłym i wnikliwym podróżnikiem.

*Podróże nieodbyte*

Są „specjaliści” od podróży niezrealizowanych — może największy z nich, to Fernando Pessoa. Pośród nich są także tysiące tych, którzy marzyli o podróżowaniu, a nigdy albo nie mogli, albo nie chcieli nigdzie wyjeżdżać. Może ich marzenia i pragnienia zalegają w nich, czasem budząc jakieś sny, jakieś tęsknoty, a czasem — przeciwnie — przemieniając się w deklarowaną niechęć wobec podróżowania. A wtedy pojawiają się rozliczne uzasadnienia tego stanu rzeczy: że w podróży jest niewygodnie, że brudno, że nigdzie poza domem nic ciekawego nie ma, że „koty wszędzie chodzą boso”. To prawda: nawet koty wszędzie są mniej więcej takie same i mniej więcej tak samo cicho chodzą. Tylko żeby to stwierdzić, trzeba wyjechać i sprawdzić, może też pogłaskać jakieś obce koty lub je sfotografować.

Pojawia się niekiedy jeszcze jedna wymówka: „najlepiej podróżować w głąb siebie samego”. I to także jest prawda. Tak zwaną podróż życia można też odbyć, może wręcz powinno się odbyć do siebie samego. Tylko że siebie samego niełatwo odnaleźć — czasem trudniej niż egzotyczne kraje. Paradoksalnie, właśnie tam, w podróży, niekiedy bliżej do siebie niż we własnym domu i we własnym łóżku. Podróż w poszukiwaniu samego siebie najlepiej odbywać przy okazji, niejako mimochodem — może właśnie podczas podróży do innych krajów, do innych miast. Jest szansa, że wtedy mniej się skrywamy przed samymi sobą.

Ten kto podróżuje, naprawdę nie wie, co by było, gdyby nie zobaczył tego, co zobaczył. Nie może wie-

dzieć, bo gdyby wiedział, byłby już kimś innym, niż jest. Ale ten, kto zrezygnował z podróżowania, tym bardziej nie wie, czego nie zobaczył i czego nie doświadczył. Może skrupulatnie przeglądać atlasy i przewodniki, może wpatrywać się w globusy i różne Google Earth, a jednak może zupełnie nie wiedzieć, co go ominęło czy raczej z czego on sam zrezygnował i co w swoim życiu ominął.

Podróż niezrealizowana stwarza czasem pustkę znacznie większą niż świat, z którego zobaczenia zrezygnowaliśmy. Gdy nie ma jej czym wypełnić, wtedy po prostu gubimy się w niej, gubimy bardziej, niż gdybyśmy znaleźli się na prawdziwych bezdrożach.

## Sny

Śnimy sny o podróżach przeżytych i o tych, których nigdy nie odbędziemy. Śnimy sny o bajecznych drogach, o kolorowych miastach, o polach, na których rosną kwiaty wysokie jak drzewa, i o lasach, w których nimfy pozdrawiają nas na powitanie. Chcemy, by takie sny trwały długo. Boimy się obudzić, gdyż niepokoi nas rzeczywistość, szarość, codzienność.

Czasem jednak czegoś boimy się w snach: zgubionej drogi lub walizki, kradzieży lub katastrofy. Albo spotkania kogoś strasznego — znanego lub nieznanego. Wtedy budzimy się szybko. Codzienność jest wówczas wybawieniem i pocieszeniem.

Jak wiadomo, „nie wiadomo”, czy to my śnimy sny, czy sny śnią nas. Nie wiadomo też, czy my śnimy podróże, czy podróże wywołują sny — wywołują,

bo chcą jakoś zaistnieć. Gdy przyzwyczaimy się do podróży w snach, możemy nie lubić potem tych prawdziwych. Gdy za bardzo polubimy piękne światy ze snów, możemy źle się czuć w tych realnych. Fantasmagorie nabierają czasem mocy prawdziwego życia, a przynajmniej przygniatają to prawdziwe. Gdy już nie wiadomo, jak sobie z nimi radzić, pora wybrać się w jakąś podróż prawdziwą. Wtedy może uda się na powrót oswoić swoje sny.

### *Zagubienia*

Może mieliśmy szczęście i nigdy nie pobłądziliśmy. Pilnowaliśmy siebie i drogi. Pilnowaliśmy czasu i ludzi. Zawsze trafialiśmy tam, gdzie powinniśmy, i zawsze we właściwym czasie. To dobrze.

Może jednak jakieś niegroźne zabłądzenia, jakieś drobne przypadki poplątania się ulic, jakieś mniej ważne zamiany placów, fontann czy innych punktów orientacyjnych są uatrakcyjnieniem podróży? Wtedy mamy pełne wrażenie, że naprawdę jesteśmy poza domem i poza utartą, dobrze znaną codziennością; mamy wówczas także poczucie bezpieczeństwa, że nic szczególnie niepokojącego nam nie grozi.

Czasem jednak nawet drobne zagubienia są przykre.

Oto nie możemy odnaleźć małego romańskiego kościółka, zapomnianego przez boga i ludzi, albo umówionego skrzyżowania ulic, skąd wszystkie drogi rzekomo prowadzą do Rzymu, a my nie wiemy, którą pójść na spotkanie. Oto pomyliliśmy godzinę szesnastą

z godziną szóstą, kiedy to umówiliśmy się pod Pantheonem, na dodatek zapomnieliśmy, z której strony, i przepadła nam miłość życia. Oto zaspaliśmy na wybieżkę za miasto, a potem już i samo miasto nas nie lubiło w rewanżu za naszą opieszałość.

Są też jednak inne zagubienia — takie które powodują, że nie wiemy, co nam się podoba, a co nie, co lubimy, a czego nie lubimy, a nawet takie, że nie wiemy, co widzimy, a czego nie widzimy. Jeżeli to nam grozi, lepiej nie wybierajmy się w żadną podróż.

### *Rozstania i nienasycenie*

Gdy wyjeżdżamy, rozstajemy się z ludźmi i miejscami. Rozstajemy się też, gdy wracamy. Każda podróż jest skądś. Każdy powrót także jest skądś.

Lubimy wracać do miejsc, w których byliśmy. Wracamy, choć niby wiemy, że dwa razy nie wchodzi się nie tylko do tej samej rzeki, ale i do tego samego miasta. Jego bramy są już nieco inne, chmury mają inny kształt, jacyś inni mijają nas przechodnie. Wpatrujemy się w budowle, które trochę inaczej wyglądają niż poprzednio, przypominamy sobie dawne wrażenia, które mieszają się z aktualnymi. Do niektórych miejsc lubimy wracać, wobec pewnych miejsc jesteśmy nienasyceń. Dla jednych może to być Paryż i Rzym, Awinion i Wenecja, Prowansja i Toskania. Dla innych Mont Everest czy Kilimandżaro, a dla jeszcze innych pewna wiejska chałupa na Podlasiu czy leśna polana w Kotlinie Kłodzkiej. Poczucie nienasycenia nie liczy się ze sławą miejsca, tylko z głębią naszych tęsknot.

Ten głód powrotu odzywa się nieraz częściej, niż przewidujemy. Ledwo odpoczęliśmy, ledwo uporządkowaliśmy sprawy, a już odczuwamy chęć ponownego wyjazdu. Już nie wystarczają wspomnienia i wyobrażenia, już nie wystarczają zdjęcia i filmy. Zaczynamy się widzieć ponownie spacerującymi w upragnionym mieście, którego ulice i place tak dobrze znamy, lub wspinającymi się w trudzie na znajomy stok. Głód jest tak duży, że trzeba zacząć się zbierać do wyjazdu. Najlepiej w ogóle nie rozpakowywać walizki; najlepiej wcale nie chować paszportu.

A może to nie my pragniemy jeszcze raz się tam pojawić, tylko te miejsca nas potrzebują? One już wtopiły się głęboko w nas, w naszą pamięć i w nasze stopy, ba — stały się częścią nas samych. Chcą w nas żyć własnym życiem, a my jesteśmy im potrzebni do przetrwania.

Pojedziemy tam, może nie raz, lecz nienasycenie i tak pozostanie.

### *Nieskończoność i niespełnienie*

Czy podróżujemy blisko czy daleko, często czy sporadycznie, możemy dostrzec cały ludzki wszechświat, choć zawsze dotykamy tylko niektórych jego fragmentów. Te fragmenty są jednak nieskończone, a przynajmniej tak nieskończone, jak szeroko otwarte są nasze oczy i jak bardzo życzliwa światu jest nasza wrażliwość.

Możemy więc dostrzec nieskończenie wiele drzew w niezliczonych lasach, parkach i na skwerach, tak-

że bezlik kwiatów i krzewów. Możemy zobaczyć nieskończenie wiele fasad domów, okien i portali. Możemy zobaczyć nieskończenie wiele pomników, rzeźb i fontann. Możemy zjeść wiele posiłków, wypić wiele filiżanek kawy w niezliczonych miastach, wiele butelek wina o przeróżnych smakach i aromatach. Możemy zobaczyć bezkres ludzi, ich twarze i ich gestów. Także — jeżeli mamy szczęście — nieskończenie wiele uśmiechów.

To nic, że w tych słowach o nieskończoności jest przesada. To nic, że szybko o większości zapomnimy. To nic, że wkrótce nie będziemy pamiętali, czy tamta smukła ciemnoskóra dziewczyna w zielonej sukni szła po ulicy w Palermo czy na Rodos. To nic, że zapomnieliśmy, gdzie były tamte dwa ciekawie umieszczone okna gotyckie: w San Gimignano czy w Sienie. To nic, że dzisiaj nie zdołamy rozstrzygnąć, czy ta piękna fontanna z trzema delfinami jest w Nicei czy w Spoleto. I jeszcze myślą się nam nazwy i kształty hoteli, w których mieszkaliśmy, kształty wybrzeży, przy których oglądaliśmy zachody słońca. I wiele innych miejsc i sytuacji.

Powie ktoś, że to żaden przejaw nieskończoności. I jest to prawda. Jednak to całe zamieszanie w naszej pamięci jest właśnie swoistym dowodem nieskończoności ludzkiego świata. I nieskończonych możliwości podróżowania. Brama, przez którą wychodzimy z domu, otwiera się na oścież, a dalej jest wiele dróg, które nieustannie się rozwidlają, kuszą i wabią. Na szczęście rzadko kiedy uświadamiamy sobie wszystkie te możliwości. Gdyby tak nie było, podróże byłyby synonimem szaleństwa.

Najważniejszym potwierdzeniem nieskończoności jest nasze nienasycenie: nigdy niezaspokojone nasze apetyty podróżowania. Bo gdybyśmy nawet jeździli po świecie tysiące lat, to, co zdołamy zobaczyć, będzie zawsze tylko częścią tego, co moglibyśmy zobaczyć. Niespełnienie jest pochodną czasu i przestrzeni, które zawsze będą większe niż nasze możliwości. Ono też przypomina nam o naszym skromnym miejscu w świecie.

### *Utlenienia i wyparowania*

Przecież wszystko kiedyś przepada, choć zanim przypadnie, utlenia się powoli, wolno wyparowuje z pamięci, z wyobraźni, z czułości. Każde doznanie, nawet najsilniejsze, po jakimś czasie płowieje, traci ostrość, jego kontury się zamazują, a ono chowa się we mgle. Choć wydawało się to niemożliwe, jednak płowieją w nas nie tylko freski Giotto w Asyżu, ale umyka też aura prowansalskich pejzaży widzianych słoneczną jesienią i zapach kawy wypitej w jakimś zaułku w Toledo. I tysiące innych doznań, które kiedyś były tak silne, że wydawały się nieśmiertelne. Już nawet nie pytamy, gdzie się one podziały, co się z nimi stało, gdzie przypadły. Nie pytamy i nie zastanawiamy się, bo górę bierze poczucie bezradności wobec upływu czasu i naszej w nim znikomości.

Zazwyczaj z tym poczuciem się godzimy, zazwyczaj ono nas nawet uspokaja, bo możemy wtedy odpocząć. Częściej jednak rozczarowuje, bo czujemy się zdradzeni przez upływ czasu.

Tylko dlaczego? Przecież czas niczego nam nie obiecywał, niczego nie przysięgał. Tylko nasze uniesienia wydawały się nam kiedyś tak niebotyczne, że nie wyobrażaliśmy sobie, że mogą zmaleć. Gdy tak się działo, gdy czuliśmy, że brakuje nam nowych, silnych doznań, pojawiał się nowy głód, nowe pragnienie, nowy wyjazd. Jakiś czas ten wyjazd spokojnie czekał na świeżą krew, potem domagał się jej coraz natarczywiej, coraz bardziej bezwzględnie. Wtedy pakowaliśmy walizki, plecaki czy torby (a może czekały już spakowane?). I jechaliśmy ponownie do miejsc, które jakoś spłwiałały w naszej pamięci lub — przekornie — podróżowaliśmy tam, gdzie mieliśmy nadzieję na ponowne niebotyczne uniesienia. I zazwyczaj to się udawało. To, co było utlenione lub zamglone, stawało się ostre, to, co było uśpione, ożywało. Na jakiś czas wystarczy.

Jeszcze teraz te niedawno przeżyte wrażenia wydają się nam wieczne. Jeszcze tylko teraz. Potem przychodzi czas, gdy podróż staje się już tylko małą udaną metaforą nieistnienia.

## Miejsca

**W**rastają w naszą pamięć, we wspomnienia ale też w tęsknoty, pragnienia, nadzieje. Nie wiem, czy każde miejsce wywołuje w nas jakieś wrażenie. Pewnie nie. Gdyby tak było, wleklebyśmy za sobą nieskończenie wiele różnych, także banalnych, szarych miejsc. Banalne miejsca mogą się też okazać niezwykle. Zresztą niezwykle mogą być wszystkie — nawet te codzienne, wypłowiałe czy wyblakłe. Zależy, co się w nich wydarza i jak są one nam bliskie. Nawet miejsca nieistniejące mogą być niezwykle, gdy poruszają naszą wyobraźnię lub fantazję.

Piszę tu raczej o miejscach w ogóle, a nie o konkretnych miejscach, z konkretnymi cechami, konkretnym położeniem w przestrzeni, może też w czasie. Albo inaczej: różne konkretne przestrzenie zlewają się w pewne uogólnione wrażenia czy skojarzenia. Tworzą one swoisty wirtualny obraz, który jednocześnie istnieje i nie istnieje. Dlatego czasem te konkretne miejsca przywołuję niejako w podziękowaniu za inspirację. Także za odczucia i doznania. O rozczarowaniach

nie chcę pamiętać, nie chcę więc też pamiętać miejsc, w których je przeżyłem.

## *Domy*

Odgradzają nas od świata i są dla nas całym światem. Otulają nas i przytulają, chronią i bronią.

Szałas, mieszkanie, wille, rezydencje.

Dom jest dla nas światem, bo poza nim właściwie już nic ważniejszego nie ma (a gdybyśmy czuli, że jest, to tam właśnie chcielibyśmy mieć swój dom). Tu mieszkają wraz z nami wszystkie nasze myśli, nadzieje, tęsknoty i rozpacze. Tu jest radość i spokój, ale też rozterki i problemy, a nawet dramaty. Przede wszystkim te, o których nikt nic nie wie i nie ma wiedzieć — te które mają być schowane przed obcymi.

Gdy nie mamy domu, nie mamy nic, a już na pewno nie mamy w zamian całego świata (jak może wmawiają sobie kloszardzi). Nie mamy wtedy nawet samych siebie. Ani dla siebie, ani dla innych. Trudno się więc dziwić, że zazwyczaj nawet lalki mają swoje domy. Domy lalek są bardziej kolorowe niż domy dorosłych ludzi. Nie wiadomo, dlaczego te z wiekiem szarzeją. Może dlatego, że szarzeją ich mieszkańcy?

Domy bywają palone, burzone, zatapiane. Ktoś powie, że to dlatego, że nie potrafią się modlić. Ich mieszkańcy potrafili — i co z tego? Zniszczenie jednego domu jest zniszczeniem całego jednego świata. Nikt już nie zdoła policzyć, ile takich domów-światów zostało w ludzkich dziejach zniszczonych.

*Drzwi*

Zawsze jesteśmy przed nimi lub za nimi. I tylko przez chwilę w nich. W progu, który trzeba przekroczyć. Albo się cofnąć. Wtedy nie ma podróży. Jest niespełnienie, które niczego nie otwiera. Ufajmy jednak perspektywie wyjścia lub wyjazdu.

Jakaś obietnica i jakaś nadzieja. Niepokój lub niedowierzenie. Albo zawrót głowy, gdy drzwi są obrotowe.

Czasem widzimy, że wejścia lub wyjścia szuka także nasz dobry znajomy — Józef K. To nas nie pociesza. Czujemy się nawet bardziej zagubieni. Niektórzy, na szczęście rzadko, skaczą z okien.

Tu miało być jednak o drzwiach. Musimy więc sobie przypomnieć o kluczach. Zawsze jakieś się znajdują. Nawet te zardzewiałe czy zapomniane. Niektóre z nich pasują do drzwi, przez które chcemy przejść. Częściej do drzwi, które chcemy zamknąć. Gdy wyjeżdżamy, drzwi zamykamy starannie, jednak tak, by po powrocie z łatwością je otworzyć.

*Patia*

Gdzieś w Andaluzji lub na Majorce, w pałacu lub w kamienicy. Jakby w domu, ale i pod niebem. Często błękitnym — a to prawie jak w raj. Może nawet lepiej.

Jakby w domu, ale przy różanym krzewie. Albo bugenwillach. Ich zapach zbiera się za dnia i oddaje się nam wieczorami. Stoimy lub siedzimy obok z dłoń-

mi zanurzonymi w wodotrysku, który rozdaje najtańsze perły.

Patia niewiele wiedzą o upale, a istnienia deszczu domyślają się tylko wtedy, kiedy chmury są zbyt natrętne. Są czule za dnia, serdeczne wieczorami i oddane w długie noce. Są wierne jak zamknięta w nich cisza i prywatność. Są dyskretne jak ich zamknięcia.

Etruska amfora jest tu tak piękna, jak najprawdziwsza kopia. Tu już nikt zresztą ich nie rozróżnia i nie pamięta różnic między nimi. Także między amforą a talią dziewczyny, która właśnie przyniosła wino. Nikt też już nie pamięta, od kiedy waza stoi na patio ani kto ją ustawił. Każdy zauważy jej brak.

Posadzka z terakoty oddaje kroki wielu epok. Stopy przyjaciół nadały jej rysy ich twarzy, a nierówność płyty przypomina o rozstaniach. O powrotach musimy pamiętać sami.

Patio jest przy ludziach, ale i poza nimi. W ciszy, która godzi nas ze światem. W małym świecie, który staje się całym światem, który już nie wymaga innego świata.

Czasem tarasy udają patia, a balkony udają tarasy.

## Ogrody

Prawie jak raje. A nawet o wiele więcej niż raje — bo bez skazy grzechu. I bez mitu. Prawdziwe. Drzewa, krzewy, kwiaty rosną mocno zakorzenione w ziemi. Trzymają się ziemi i trzymają ten kawałek ziemi dla nas. I tylko dla nas. Tak małe — a wielkie niemal jak kontynenty.

Takie są ogrody naszego dzieciństwa. Tam rosły wybujałe marzenia i nadzieje. Takie mogą być ogrody spotykane w podróży: w Paryżu, we Florencji czy w portugalskiej Bradze. Nawet w przetykanej wodą Wenecji znajdziemy ogrody.

W ogrodach pory roku zmieniają się jak niewierne wiernie kochanki. Odchodzą niechciane. I wracają coraz młodsze i bardziej dorodne. Przeglądają się w małych wiosennych listkach i w pożółkłych jesiennych liściach, w bujnych kwiatach lata i w zimowym śniegu. Czasem opłuczają się w fontannie, niekiedy ogrzeją się przy wieczornym ognisku. Zawsze obecne, zawsze na czas. Obrazy czasu. Czasobrazy?

Tu możemy być ciągle szczęśliwymi dziećmi. Tu możemy czuć się jak na bezludnej wyspie. Tu możemy czuć się odkrywcami nieznanymi lądów. Tak naprawdę nasz ogród na zawsze pozostanie jedynym nigdy nieodkrytym w pełni lądem. Wszystko inne zostało po wielokroć odkryte, zbadane i zdobyte. Nasze ogrody na zawsze pozostaną naszymi.

Tajemnica naszego ogrodu nie tkwi w tym, że jest nasz, tylko w tym, że jest ogrodem. I w dyskretnym przypominaniu, skąd jesteśmy.

## *Pola*

Kto jeszcze dziś zna pola? Nikt — nawet rolnik już ich nie zna, bo nie można w pełni poznać pola z kabiny ciągnika. Można było je poznać jedynie z perspektywy stóp, kolan, udręki ręcznej pracy. Nie można z przejazdu samochodem czy pociągiem; nie można przez wy-

cieczkę lub piknik. Zresztą i wtedy zazwyczaj pozostajemy na skraju pola. Może i dobrze, gdyż moglibyśmy je skrzywdzić. A pola są bezbronne i bezradne. Są też nieme, nie potrafią prosić o łaskę.

Pól na szczęście znać nie trzeba. Trzeba jednak wiedzieć o ich istnieniu. O tym, że brudzą i trudzą. O tym, że wyciskają pot, a czasem i łzy. O tym, że są dużym kalendarzem, na którym można dostrzec najwyraźniejsze zapisy pór roku, a nawet lat. O tym, że z nich i dzięki nim żyjemy. Patos wypowiedzianych tu słów może być tak wielki, jak rozległość samych pól.

A przecież na polach patosu nie ma wcale. Są szare, czasem zielone, zazwyczaj płaskie. Są bodaj najbardziej banalnym warunkiem naszego życia. Tak odległym od barwnie zastawionego stołu. Nikt już nie pamięta o długiej nici łączącej płaszczyznę odległych pól z blatem stołu, przy którym codziennie siadamy.

Kto jeszcze dziś zna pola...

## Lasy

Umówmy się, że mówimy o lesie nieskończenie wielkim — nawet jeżeli jest to tylko niewielki zagajnik. Złożoność każdego lasu jest zdumiewająca — jeżeli nawet zdołamy policzyć pnie drzew, to nie zdołamy policzyć gałęzi ani tym bardziej liści. Nie potrafimy uchwycić ich kompozycji, nie potrafimy jej poznać i opisać. Wszystko to możemy jedynie ogarnąć i polubić. Możemy jedynie wpatrywać się i dziwić, że

z każdym krokiem, z każdym spojrzeniem ta kompozycja jest nieco inna, choć zawsze zdumiewająca bogactwem form.

Wyjazdy do podmiejskiego lasu mogą więc być równie fascynujące, jak zwiedzanie puszczy nad Amazonką lub dżungli na Borneo.

Można polubić las, nawet bojąc się go. Lubimy wtedy po prostu to, co jest potężniejsze i piękniejsze od nas. Lubimy to, z czego kiedyś wyszliśmy. Tracąc pamięć o lesie, dopuszczamy się zazwyczaj zbrodni na nim. I na nas samych. To tak, jakby wycinać drzewa w raju, a czym będzie raj pozbawiony drzew?

Lasy przemawiają różnymi językami. Tylko część z nich jest zrozumiała, i to zazwyczaj powierzchownie. Nie mamy już od kogo uczyć się języków lasu, nie ma do tego słowników ani leksykonów. Tylko czasem coś po amatorsku rozumiemy, i to z podpowiedziami wyobraźni. Bo jest też las szkołą wyobraźni i fantazji. Kto jej nie ukończył, z lasu ma jedynie to, że jest jakby z drewna. A ile może być na świecie drewnianych pajacyków?

Im więcej ludzi z drewna — tym mniej lasu.

## Oazy

Łatwo można o nich zapomnieć, gdyż bardziej znane są jako metafory niż z doświadczenia. Ot, wyobrażamy sobie błogą enklawę, co gdzieś tam na nas czeka w świecie, którego nie zawsze lubimy, który nie zawsze nam się podoba. Powinna być zielona, a może

nawet wielobarwna. Nie wiemy, gdyż pewnie nie widzieliśmy prawdziwej oazy.

Z pewnością nigdy nie pojedziemy w długiej karawanie wielbłądów, która tygodniami brodzi w piaskach jakiejś pustyni, czekając na ochłodę w prawdziwej oazie przy źródle szemrzającej wody. Co najwyżej przejedziemy na wielbłądzie kilka kroków w pobliżu egipskich piramid, by potem sprawdzić, czy dobrze wypadliśmy na zdjęciu. Co najwyżej przejedziemy pustynię wygodnym klimatyzowanym autokarem, by w upatrzonej przez biuro turystyczne oazie wypić butelkę schłodzonej coli.

Zdziwimy się, gdy dostrzeżemy, że ta prawdziwa oaza nie jest zielona, lecz bardzo zakurzona, jakaś spłowiała i w wielu miejscach zaśmiecona. No cóż, oaza z natury rzeczy nie ma wysypiska śmieci, a palmy ani mały nimi się nie żywią.

Pozostańmy więc przy czystej metaforze oazy. Tak bardzo jest nam potrzebna, tak bardzo rozświetla nasze wyobrażenia o świecie.

## *Drogi*

Nie wszystkie drogi prowadzą do Rzymu. Wydaje nam się, że wiemy, gdzie przebiegają. Gdy je znajdujemy, dziwimy się, że nie ma ich tam, gdzie właśnie powinny być. Wydaje się, że powinny być gdzie indziej. Wydaje się, że powinny być tuż obok. Albo w poprzek lub na ukos, ale zawsze niedaleko. Czasem nawet wstecz. A tymczasem drogi tak często są nie po drodze.

Dlaczego nasze drogi nie są po drodze? Dlaczego nas mylą, płaczą się, uciekają nam spod nóg? Dlaczego nasze własne drogi nas oszukują?

Może dlatego, że nasze drogi nie są nasze. Przecież to ktoś inny dawno temu je wyznaczył i chodził nimi, a my tylko próbujemy go naśladować. A może dlatego, że my nie zawsze wiemy, dokąd chcemy zmierzać. Splątane drogi są mapą naszych splątanych dążeń. Nieznanych nam. Rzadko kiedy mamy siły i możliwości, by samemu wydeptać, jeżeli już nie nowe drogi, to choćby jakieś ścieżki.

Dobrze, że wszystkie drogi mają pobocza. Warto gdzieś tam przysiąść i rozwikłać swoje wątpliwości wobec mapy, którą mamy w rękach lub w pamięci. Może nawet narysować nową. Przynajmniej będzie mniej zużyta. A może też bardziej kolorowa. Ale i jej drogi szybko się poplączą.

Na szczęście wszystkie drogi prowadzą do nas samych.

## *Ulice*

Linie papilarne miasta. Połączenia jego znanych i nieznanymi węzłów. Powinowactwa skrzyżowań i placów, parków i skwerów. Szlaki znanych i tajemnych wędrówek. Ekspozycje budowli i witryn sklepowych, urody i mody, zadufania i nieśmiałości. Czasem bogactwa milionera, niekiedy też biedy kloszarda.

Teatr uliczny to najtańszy spektakl świata. Wystarczy się przejść, nie trzeba biletu ani stroju wieczorowego. Najlepiej nie rzucać się w oczy, gdy chcemy

tylko patrzeć. Gdy chcemy być obserwowani, a tym bardziej zauważeni, musimy wychynąć z za kulis, zanektować przestrzeń, zwrócić uwagę kostiumem i fryzurą, także pozą i miną. Tu nie trzeba skromności, ona nie popłaca. Tu trzeba odwagi, a nawet bezczelności. Im większa, tym lepsza szansa na sukces, na to, że nas dostrzegą, choć niekoniecznie będą podziwiali. Do tego trzeba jeszcze innych przypraw: urody, wdzięku i szczęścia.

Są miasta, w których teatr uliczny czuje się najlepiej: Paryż, Cannes, Miami. Wenecja udowadnia, że teatr uliczny może być na wodzie. Im miasto większe, a przede wszystkim bardziej znane, tym lepiej. Anonimowość nie jest dobra dla teatru ulicznego. To tak, jakby aktorzy wstydzili się i krępowali swą grą, a widzowie chowali po kątach. Jednak każde miasto, nawet to najmniejsze, może być dla siebie i dla przyjezdnych taką sceną teatralną. Niewielką, lokalną, a nawet prowincjonalną, lecz jednak sceną.

Ulice miejskie: tu się najlepiej sprzedaje i kupuje, poszukuje i oszukuje, marzy i rozczarowuje.

## *Mosty*

Te znane nad Sekwaną w Paryżu, nad Tybrem w Rzymie, nad Arno we Florencji czy nad Wełtawą w Pradze. Także te nieznanne: nad Lubieszką, Wirynką czy „jakąś inną rzeczulką”. I te nieprzeliczone — jak w Wenecji, o której można pomyśleć, że stworzono ją dla największej na świecie galerii mostów i mostków.

Ich istotą jest łączenie — łączenie brzegów i paradoksów. Same muszą być przecież stabilne, lecz muszą też przypominać o przejściowości.

Miejsca i niemiejsca. Przechodzimy, czasem się zatrzymujemy, lecz zaraz idziemy dalej. Są pośrednikami w naszej wędrówce i jakby wiedząc o swojej tymczasowości, niektóre chcą się wkupić swoją historią czy urodą w nasze łaski. I niekiedy im się to udaje. Pont Neuf w Paryżu, Ponte San Angelo w Rzymie, Ponte Vecchio we Florencji czy Most Karola w Pradze nie pozwolą nam szybko przejść. Musimy im poświęcić nieco uwagi, ba — musimy oddać im jakiś hołd, zapłacić myto własnym wzruszeniem.

Nie tylko one są wspaniałe. Także spojrzenia, które z nich kierujemy na miasta, wydają się więcej spostrzegać. Mosty otwierają się nie tylko na rzekę, której patronują, lecz także na drzewa, które nad rzeką rosną, na promenady snujące się przy niej, na bliższe i dalsze budowle. Widoki miast kadrowane przez słupki mostów, ujmowane ich balustradami są bardzo fotogeniczne.

W końcu jednak schodzimy nawet z najpiękniejszego mostu. Ich istotą jest wszak przejściowość i tymczasowość, o których przecież nie bardzo chcemy pamiętać.

### *Skwery*

Miniaturowe lasy, nawet mniejsze niż parki. Trochę nieśmiałe, choć mają tak dobre stanowiska: na skrzyżowaniach ważnych ulic w centrum miasta, w pobliżu jakiegoś dostojnego placu, przy szerokiej prome-

nadzie. Pozwalają odpocząć nogom i oczom, pozwalają w spokoju zapalić papierosa, pomarzyć. Choć tak skromne, bywają też sceną wielkich dramatów. Rozstania są tam równie łatwe, jak spotkania.

Patrzyłeś jak odchodziła. Patrzyłaś jak odchodził. Nie próbowałaś jej zatrzymać. Nie próbowałeś go zatrzymać. Nie chciałeś. Nie chciałaś. Nie mogłeś. Nie mogłaś.

Teraz ciągle tu przyjeżdżacie. Siadacie na tym samym skwerze, wypatrujecie, ciągle szukacie siebie. Widzicie drzewa, krzewy, cienie. Może też kwiaty. Czasem innych ludzi. Zaglądacie im w twarze, które nic nie przypominają. Nikogo nie przypominają. Czasem myli was stojący tam pomnik wodza. Albo statua poety. Nie czekacie jednak ani na wodza, ani na poetę.

Trzeba na skwerze usiąść na długo. Siedzieć tam całe wieki. Jeżeli dobry los pozwoli, ujrzysz tam ją, ujrzysz tam jego. Może ktoś przyjdzie. Albo chociaż przejdzie.

Może ktoś będzie siedział i czekał. Może jednak nie. Bo w różnych miastach są tysiące skwerów i nie wiadomo, na którym czekać.

## *Promenady*

Aleje wolnego czasu i próżności, pięknych kobiet i pięknych perspektyw. Spacerujemy wolnym krokiem, by niczego nie stracić z pola widzenia. Każdy gest i każdy szczegół ubioru jest ważny. Gdy idziemy promenadą nadmorską, także każdy szczegół rozbioru.

Tam z jednej strony mamy plażę i jachty, z drugiej apartamenty, a pośrodku palmy. I samych siebie wpatrzonych w swoje szczęście.

Promenady muszą być tam, gdzie jest ciepło, dużo słońca i dobra pogoda. Choć wydaje się nam niekiedy, że wiodą one do raju, tak naprawdę promenady zazwyczaj prowadzą donikąd. Albo zamykają się na końcach, albo przemieniają w szare uliczki. Dlatego musimy zawrócić, by dojść do drugiego krańca, skąd zresztą również musimy się cofnąć. I tak wiele razy. Gdy mamy szczęście i trafimy na wolną ławkę, wówczas promenada jakby sama przechodziła przed nami. Wystarczy tylko trochę cierpliwości i niedyskrecji, a przed naszymi oczami będą się przesuwać spacerowicze spragnieni, by wzajemnie się oglądać. Ot, taka wersja kina letniego.

### *Pasaże*

Niby są tylko po to, byśmy nimi przeszli. Z jednego miejsca do innego: z jednej ulicy na drugą, z jednego budynku do drugiego, z jednej bramy do następnej. Ale pasaże nas zatrzymują, a właściwie — przytrzymują. Nie chcą nas przepuścić, próbują uwięzić, zauroczyć, chcą, żebyśmy przystanęli, spojrzeli, może gdzieś przysiedli. Zazwyczaj w starej zabudowie dziewiętnastowiecznej, gdzie i tak jest sporo innych tajemnic. Walter Benjamin napisał, a właściwie ulepił z cytatów i myśli książkę *Pasaże*. Ale właśnie w przywoływanym przez niego Paryżu można przejść długimi ciągami starych pasaży, począw-

szy od Galerie Véro-Dodat niedaleko rue de Rivoli poprzez Galerie Vivienne, Galerie Colbert, Passage des Choiseul, Passage des Panoramas i wiele innych aż do Boulevard Montmartre i dalej — wszystkie niemal połączone ze sobą, choć tylko niektóre są dobrze zachowane, a inne zdewastowane, opuszczone czy wręcz zdemontowane i przekształcone w zwykłe ulice.

Pasaże oferują różne atrakcje: towary, kawiarnie, galerie sztuki, światło, ciepło. I nie są dyskretne, gdyż są wymowne. Są dynamiczną sceną w ciągłym, lecz przytulnym ruchu. I nieważne, że jest to ruch trochę staroświecki, czyli — ruch, który jest w istocie bezruchem. Nie trzeba się spieszyć, szklany dach nad głową zabezpiecza od deszczu lub upału. Ściany otwierają się na nasze potrzeby.

A swoją drogą, zastanawiające jest szukanie tego paradoksu, to złudne przekonanie, że może się udać to połączenie trudniejsze od ognia i wody, czyli połączenie zmiany i trwania, spaceru i zatrzymania się, przejścia i postoju.

Chcemy wchodzić do pasaży i przechodzić je, aby wejść w złudzenie, że możemy zatrzymać trwanie.

## *Windy*

To nieludzkie miejsca. Niegodziwe, wręcz diaboliczne.

I nieważne, czy są eleganckie i dostojne, jak te w drogich hotelach, czy też obskurne i odrapane, jak

te w tanich blokach mieszkalnych na starych osiedlach. Zawsze są okropne.

Bez światła, bez powietrza, bez nieba nad głową. Za to z natrętną ostrożnością napierających współpasażerów lub — przeciwnie — z ich ostrożnym natręctwem. Ci bardzo obcy ludzie są niesmacznie, a często i niepokojąco, zbyt blisko. My dla nich też. Ohydę wzmagą groza wyobrażonego upadku, bo — niestety — nie uniesienia.

I nie zmieniają tego windy zewnętrzne, które nawet potęgują bezsens do rozmiarów cyrkowych. Tu ni by widzi się świat zewnętrzny, ale jest on jakiś odległy, obcy, odcięty. Nie nasz.

Windy nie mają nawet tożsamości. Wmontowane w szyby lub przyklejone do ścian budowli, istnieją nie dla siebie, tylko dla tych budynków. Są najbardziej tymczasowymi miejscami, które nie mogą wywołać w pasażerach żadnej myśli oprócz tej, by chcieć je jak najszybciej opuścić.

## *Auta*

Prawie jak własne domy zabrane ze sobą w podróż. Jak skorupa ślimaka, z którą trudno się rozstać. Za ich zamkniętymi drzwiami czujemy się jak u siebie, choć jesteśmy na Autostradzie Słońca.

Wydaje się nam, że z własnym autem możemy zdobyć świat. I sami nie wiemy, czy to my go zdobywamy czy nasz samochód. Jako zdobywcy możemy robić we własnym aucie głupie miny, podśpiewując, możemy fałszować piosenki, możemy też kłó-

cić się z rodziną, która siedzi obok. To przecież nasz dom.

Czasem tym domem jest autokar. To już niemal blok czy kamienica, bo przecież mamy obok siebie sąsiadów, których lubimy lub nie lubimy, lecz których musimy tolerować jako współuczestników wycieczki. Trochę mniej swobody, lecz nieco więcej wygody. Patrzymy z wysoka na świat, nie myślimy o logistyce ani o parkingach. Pejzaże, które dalej za oknem się otwierają, pozwalają zapomnieć o sąsiadach obok.

### *Pociągi*

Przywożą, dowożą, odwożą. Są próbą połączenia punktów przestrzeni. Próbą pomniejszenia przestrzeni, jej skrócenia do wygodnych rozmiarów.

Na tę chwilę także muszą być domem. Nibydomem. Niewygodnym, choć otwartym. Hałaśliwym, choć skutecznym. Oswojonym, choć obcym. Współpasażerowie są tak samo niezbędni jak bilety.

Pociągi ciągną za sobą długi landszaft. Przypominają, że istnieją lasy, pola i łąki. Także domy, fabryki i śmieci. Na szczęście czasem widoki z okna pozwalają zajrzeć do siebie. Może inaczej: gapienie się w okno sprzyja patrzeniu w siebie. Niekiedy nie wiadomo, w który z tych kierunków patrzymy i co gdzie widzimy. Ale to dobrze, że czasem możemy wówczas zobaczyć siebie. Wszak jesteśmy wtedy wolni i spokojni. Za nas spieszy się pociąg. Czasem nawet pędzi. Dobrze, że wiemy, dokąd on jedzie, gdyż nie zawsze wiemy, dokąd sami zmierzamy.

*Metro*

Niby wszystko w porządku: podróżujemy szybko, bezpiecznie i zazwyczaj wygodnie. Odległe dzielnice, rzeki, niepogody nie mają znaczenia, nie obchodzą nas. Chciałoby się powiedzieć, jesteśmy „ponad” tym wszystkim. Byłaby to jednak jawna nieprawda, gdyż w istocie jesteśmy „pod” tym wszystkim. I jeszcze pod drzewami, kwiatami, budowlami, pomnikami. I nieważne, że w paryskim metrze mogłeś spotkać najpiękniejszą dziewczynę na świecie, a w rzymskim mieć metafizyczne olśnienie (lub, przeciwnie, przykre doświadczenie z kieszonkowcami). Przecież, gdyby metra nie było, najpewniej spotkałoby cię to na powierzchni. Oprócz ludzi widziałbyś też ziemię i niebo, widziałbyś drzewa i domy.

Metro jest nieludzkie nie tylko dlatego, że jest bliżej piekła. Choć na dobrą sprawę nikt nie wie, gdzie ono się znajduje, a nawet czy w ogóle jest. Jeżeli rację miał Sartre, że „piekło to inni”, to metro może być uznane przynajmniej za jego przedsiónek, gdyż ludzi w nim zazwyczaj mrowie. Nawet metro o północy, choć bardziej puste, jest jakieś niepokojące. Każdy patrzy na każdego nieco podejrzliwie, a właściwie udaje, że nie patrzy, tylko dyskretnie zerka spod oka z lekkim niepokojem. Nic się nie wydarza, lecz i tak z uczuciem ulgi każdy wychodzi na powierzchnię.

Szkoda świata, szkoda słońca i szkoda chmur, nawet deszczu szkoda; szkoda pogody i szkoda niepogody; szkoda kwiatów i błota także szkoda. Tyle straciliśmy, by zaoszczędzić trochę czasu. Na co ten czas przeznaczymy?

I znowu: wiemy, że już nie może być inaczej. Ale wiemy też, że czas może być okrutnie mściwy. Bo nie jest to czas zaoszczędzony, lecz pogardzony i porzucony. Nie bardzo potrafimy już zamienić go na coś błógiego, spokojnego i harmonijnego. Dlatego chcemy w metrze mieć surogat błogości i spokoju. Zazwyczaj jednak osiągamy jedynie bezmyślność.

### *Samoloty*

Udawanie ptactwa jest jakąś naszą pretensjonalną arogancją. Przypominamy nielotny drób kurnikowy, któremu zamarzyły się przestworza. I tacy właśnie „drobni”, wręcz mikroskopijni, udajemy orły.

Latanie jest zamachem stanu. Przyznać trzeba, że skutecznym. Tak łatwo przenieść się do odległego kraju, na odległy kontynent. W każdej chwili w powietrzu są tysiące maszyn i setki tysięcy pasażerów. Samoloty nie latają stadami; to my sprawiamy wrażenie, że latamy w stadach. Na czas lotu skupiamy się, by po wylądowaniu rozbiec się w różne strony. Przedtem patrzymy z góry na świat. Z góry i z odrobiną ledwo ukrywanej dumy.

Czymś jednak natura się zemściła: nudą towarzyszącą lataniu. Nie bardzo tam wiadomo, co ze sobą zrobić. Pewnemu poczuciu niepewności towarzyszy ciągle zadawane sobie podświadome pytanie: „co ja tutaj robię?”. I tak naprawdę nie wiadomo, co można zrobić. Niewielki wybór między przegłądaniem nudnych czasopism, popijaniem drinków i oglądaniem filmów. Okna tylko po to, żeby zapobiec klaustrofobii, a piękne

widoki są równie rzadkie jak dobre nastroje. Najczęściej patrzymy, by nic nie widzieć. Ot, widzimy skrzydła — tylko że nie własne.

Samolot nas unosi, ale my niekoniecznie wzlatujemy.

### *Hotele*

Jesteśmy tu przejazdem i czujemy się tu przelotnie. Ze wszystkimi sprawami. Ot, dzień, dwa i wyjedziemy. Nie trzeba się do niczego przywiązywać ani o nic zabiegać. I tak wszystko jest tu tymczasowe. (Wiele samobójstw jest popełnianych właśnie w hotelach, jakby samobójcy skrycie chcieli, by ich śmierć też była przejazdem.)

W hotelu wszystko jest jakoś znośne: nawet niewygody, hałas i zła obsługa. Wiemy, że nie będą trwały wiecznie. Tu zawsze życie jest nieco nieprawdziwe, trochę jakby w nawiasie, a trochę na próbę.

W hotelu nie jest istotne, kto jeszcze w nim przebywa. Nic nam do tego i nic nam z tego. To i tak będą obcy, nieważni dla nas ludzie, niezależnie od tego, czy wymienialiśmy z nimi pozdrowienia w windzie lub przy śniadaniu. Ot, są nieistotni. Zazwyczaj zapomniemy o wszystkich zaraz po opuszczeniu hotelu. Wymieniliśmy numery telefonów, czasem też adresy — niekiedy prawdziwe, innym razem fałszywe. Niemal natychmiast je wyrzucamy lub zapominamy o nich równie szybko, jak o przygodnych sąsiadach hotelowych.

Czy potrzebujemy tak dobitnego poczucia przemijalności? Może, gdyż często na co dzień przyzwy-

czajamy się do wielu rzeczy, do wielu spraw. Albo chcemy się przyzwyczaić. A może jeszcze inaczej: chcemy, aby owe różne rzeczy i sprawy przyzwyczyły się do nas. Chcemy wręcz je związać z nami na zawsze, zapominając, że nie jest to możliwe. Przemijalność jest tak oczywista i natrętna, że aż dziwne, że nie zawsze o niej pamiętamy.

Czy właśnie hotele mają nam o niej przypominać?

### *Poczekalnie*

Odjazdy. Powroty. Pożegnania. Powitania. Oczekiwanie. Zawsze oczekiwanie. Krótsze lub dłuższe, ciepłe bądź chłodne, spełnione lub nie, miłe bądź rozczarowujące. Poczekalni właściwie nie ma, gdyż zawsze zamieniają się w jakieś oczekiwanie: na pociąg, na chwilę odjazdu lub przyjazdu, na kogoś, na coś. Poczekalnie są klatkami czasu teraźniejszego, który zawsze czeka na czas przyszły.

Poczekalnie właściwie nie są więc miejscami; są niecierpliwymi strzałami wymierzonymi w czas. Wymagają spokoju, a przynoszą niepokój. Wydają się stabilne, a wymuszają poruszenie. Łudzą trwałością, a są chwilowe.

Poczekalnie igrają z czasoprzestrzenią, bo są jej tunelami. Także ludzie oczekujący na peronach są jakby nieobecni, skupieni na kimś lub na czymś, co nie jest tutaj. Chwilowość tego „tutaj i teraz” unicestwia je, przenosi na inne półki egzystencji, zamienia w „gdzieindziej”.

Perfidia poczekalni polega na tym, że lokują się w wielu miejscach: na dworcach kolejowych i lotniczych, w szpitalach, w gabinetach dentystycznych, w sypialniach.

## Muzea

Luwry, uffizia i ermitaże, gdzie tłumy czekają w długich kolejkach na wejście, a potem tłoczą się i objijają wzajemnie o siebie i o arcydzieła. I małe muzea w niewielkich miasteczkach, cierpliwie czekające na przypadkowego widza, który może w pustej sali spacerować po czyjejs prywatnej ojczyźnie. Byli tacy, którzy chcieli je wszystkie spalić. Na szczęście takie pomysły same się wypaliły.

Oferty wzruszeń. Enklawy przeżyć. Witryny doznań. Pięknych, czułych i mądrych. (Co robić, gdy zbyt pięknych, zbyt czułych i zbyt mądrych? Co robić, gdy są to wzruszenia własnymi wzruszeniami i przeżywanie własnych przeżyć?) Wszystkie muzea są trochę poza światem i poza codziennością, więc i to, co się tam przeżywa, musi być nieco nienaturalne, tajemnicze, może nawet i nierozpoznawalne dla samych zwiedzających.

Wzruszenia, przeżycia, doznania. Skąd? Z serc? Z głów? Ze ścian? Z kontrastu wobec zewnętrznego świata? Z pędzla i palety? Z dłuta i kamienia? Z obiektu i migawki? Ze snów, marzeń i tęsknot?

No tak! I jeszcze z czegoś, ale z czego, tego nie wie nikt, choć wielu może zechcieć szukać odpowiedzi.

*Świątynie*

Są różne: kościoły, cerkwie, synagogi, meczety. Wchodzimy jak intruzi — przecież jesteśmy turystami, którym wszystko wolno. Bezceremonialnie spacerujemy, pstrykamy zdjęcia, rozmawiamy. Dziwimy się, gdy ktoś nam zwróci uwagę, że tak nie można.

Podziwiamy architekturę, wpatrujemy się w witraże, omiatamy wzrokiem obrazy i rzeźby. Mało kto szuka tam boga, bo i pewnie trudno byłoby go tam znaleźć. Nie wiemy, czy w świątyniach jako obiektach kultu podróży chcą jeszcze mieszkać jacyś bogowie. Jeżeli tak, to nieśmiało chowają się gdzieś po kątach lub czekają na nadejście nocy. Oddychają swobodnie, gdy nie ma turystów. Niestety, coraz mniej jest też własnych wiernych.

Są wielkie i tłumne bazyliki, w których nawet wierni czują się nieswojo. Bywają też skromne i zazwyczaj puste stare, romańskie kościoły. W nich nawet agnostyk znajdzie ukojenie i spokój. Zresztą on i tak wierzy, że cały świat jest świątynią. I dlatego chce go poznawać.

*Kawiarnie*

Jesteśmy tu sami, ale i z innymi ludźmi, często obcymi, nieznanymi, anonimowymi. Inni często też są sami, ale i z innymi innymi. Wyszli z domu, by nie być sami, potem wrócą do domu, by odnaleźć samotność.

Słyszymy swoje głosy, widzimy swoje twarze, jesteśmy blisko, ale nie ze sobą. Zazwyczaj to wystarcza. I kawa lub piwo, albo koniak czy kieliszek wina. Czasem rozmawiamy, załatwiamy sprawy, myślimy o tym, co może być dalej i czy w ogóle będzie. Snujemy plany, a choćby tylko nadzieje czy marzenia. Przede wszystkim marzenia. Gdy się spełnią, przyjdziemy tu ponownie — lub do podobnego miejsca. Ale przyjdziemy też, gdy się nie spełnią, by dać im nową szansę.

Może najpierw, gdy mamy kilkanaście lat, jest to mała kawiarnia w naszym miasteczku, gdzieś w Jarocinie lub w Tykocinie, czy w naszej dzielnicy. Potem, gdy mamy dużo szczęścia, siedzimy przy stoliku na ulicy w Paryżu w jakiejś *Café de Flore*, w Rzymie w *Caffe Greco* czy w Wenecji w *Caffè Florian*. Może też w Dubrowniku, na Rodos czy w Awinionie. Jest ciepło i pogodnie. Wino smakuje lepiej niż oczekiwaliśmy, kobiety są piękniejsze niż wczoraj, myśli bardziej cudowne niż możliwość ich ogarnięcia, a nasze marzenia bardziej spełnione, niż możemy to uchwycić. Ale tak nie musi być. Często przychodzimy tu, by zapytać samych siebie, dlaczego nie mamy szczęścia, dlaczego jesteśmy sami.

Gdy bardzo tego nie wiemy, siadamy przy stoliku na tarasie lub chodniku ulicznym. Przechodnie zaglądadają nam w kieliszki, w filiżanki, a my wpatrujemy się w ich spojrzenia. Szybko nas mijają.

Ktoś wychodzi, ktoś wchodzi. Przymierzamy się do szczęścia z nim. Szczęście pasuje na chwilę, zazwyczaj na długość niemego spojrzenia, czasem do przymknięcia powieki. Potem umyka. Na szczęście za chwilę znowu ktoś inny wejdzie. Na szczęście niedługo

wyjdzie. Najbardziej cieszą się nasze nadzieje. W kawiarniach można je dobrze ugościć.

## Księgarnie

Miejsca pokus i marzeń, sceny inspiracji i podpowiedzi, magazyny możliwości i niespełnień, wizji i realności. Zapowiedzi światów bliskich i dalekich. I bardzo egzotycznych, może nieistniejących, a może niedostrzegalnych. Zawsze czegoś, co jest inne niż codzienność.

Spotkania — dotknięcia okładek, muśnięcia liter, nazwisk i tytułów. Czasem obrazów, zdjęć, rycin.

Spotkania — dotknięcia ludzi. Autorów i innych czytelników. Nigdy niezebranej wspólnoty podobnych doznań, myśli, skojarzeń. I tęsknot rozkwitających w papierowych ogrodach. Wspólnoty, której pojedynczych i nieznanymi emisariuszy czasem — coraz rzadziej — widzimy przy regałach obok.

I spotkania z nieznanymi światami: inspiracje podróży, które może kiedyś się odbędą, ale i takich, które nigdy nie dojdą do skutku. Także podczas spełnionych podróży księgarnie kuszą i wabią swoją ofertą. Nawet w językach, których nie znamy. Dotknięcie książki jest gestem uniwersalnym i samo w sobie może być spełnieniem.

Rytuał wchodzenia do księgarni jest potwierdzeniem przynależności do kościoła bez kapłanów, religii bez doktryny, kultu bez ortodoksji. Jest wyznaniem opartym nie na jednej świętej księdze, ale na tysiącach.

## Fontanny

Pomniki chłodu, rzeźby wody. Są marzeniem spragnionych i celem kochanków. Są uniesieniem miasta i sercem placu.

Ludzie przy fontannach zatrzymują się chwilę, piją, spłukują kawałek dnia lub nieco tęsknot, czasem nabierają wody lub nadziei. Nie wiem, czy stają się lepsi, ale na pewno bardziej ufni. Liczą, że niebawem, w potrzebie, znowu znajdą jakąś fontannę. Lub choćby małe źródło, w którym zaspokoją pragnienia i obmyją twarze.

Jest jednak pewien problem: nigdy nie spotkają się już wszyscy razem, w tej samej konstelacji, w tym samym czasie, przy tej samej fontannie. Będą tułali się oddzielnie i bez pewności, że zatęsknią za nimi choćby pojedyncze krople. To dobra wiadomość dla innych placów innych miast. Inne fontanny czekają na nas niecierpliwie. Ich niecierpliwość jest jednak tylko lustrzanym odbiciem naszych pragnień.

Fontanny lubią południowe niebo, a południowe niebo uwielbia fontanny. Gdzie indziej są tylko atrapami albo skamieniałymi punktami na mapie miasta.

## Łabirynty

Wyruszamy w nieznane — jak w labirynty. Mają one początek, lecz nie mają końca. Albo inaczej: mają koniec nieznany, nierozpoznany, niedowiedziony. Ten koniec to wyjście bez wyjścia. To ciągłe chodzenie

i nieustanne szukanie. To pewna niepewność i pewne nieznanie.

Po co tam wchodzimy? Dobre pytanie. Nie wchodzimy do naszych labiryntów, lecz jesteśmy w nich od zawsze. Od naszego „zawsze”. Nie przekraczamy ich zapraszających bram, lecz znajdujemy się od początku za nimi.

I zaczynamy szukać wyjścia. Boimy się bowiem po prostu odwrócić i wyjść wejściem. I tylko co chwilę mniej lub bardziej potrącamy się o siebie. Smutni i nędzni tezeusze.

Czasem labiryntem jest klatka. Ma tyle wcieleń: mieszkanie, biuro, zawód, przekonania. Nawet marzenia.

Siedzimy w klatkach, w których zostaliśmy zamknięci przez historię, przez los, przez przypadek, przez innych ludzi. Są też własne klatki, zbudowane przez nas dla nas. Tworzyła je wygoda, niefrasobliwość, bezmyślność, złość, arogancja, pretensjonalność. Zresztą i tak ich nie rozróżniamy. Klatka to klatka.

W klatce jesteśmy schowani od świata i wobec świata. Zamknięci, ale i zabezpieczeni. Dotykamy krat, które przecież bywają często niewidzialne. Rzadko kiedy próbujemy je przepiłować. Częściej je odnawiamy, polerujemy. Niekiedy nawet je podziwiamy.

Wtedy najwyższa pora gdzieś wyjechać.

## *Stany*

**S**tany uniwersalne, których nie trzeba pamiętać, bo są oczywiste, bo trwają w ciągłych powtórzeniach, a ich repliki niezbyt różnią się od siebie. Ale też sytuacje osobliwe, które żyją w naszych indywidualnych przypomnieniach i skojarzeniach, które dopominają się czulego odtworzenia w pamięci. Ich nazwy mogą być podobne — ich przebiegi bardzo odmienne u każdego z nas. Mogły się zdarzyć w podróży, ale też w codziennym trwaniu, które przecież może być metaforą podróżowania. Są potwierdzeniem, niemal dowodem tego trwania. Ale są też wyrazem pewnego rozdarcia, gdyż nie wiadomo, czy należą bardziej do nas czy bardziej do świata.

### *Wychodzenie*

Może już za drzwiami, za progiem. Może już trochę mniej u siebie, lecz jeszcze nie w obcym świecie. Jesteśmy już nie tu i jeszcze nie tam. Już wiemy, dokąd zmierzamy. Zaczynamy rozświećlać mrok, przeni-

kać tajemnicę i rozjaśniać widzenie. Zaczynamy rozpoznawać drobiazgi i całości. Zaczynamy nieco poznać coś, co jest dopiero przed nami, co czeka, lecz nie wiemy, jakie to jest, a przede wszystkim, jakie będzie dla nas. Jeszcze się boimy, bo jeszcze niewiele wiemy i niewiele znamy.

Potem jednak gdzieś wychodzimy. Chwytny pierwsze wrażenia, dotykamy spraw i sytuacji, które chcemy, aby stały się bliskie. Rozpoznajemy je i oblaśkawiamy. Więc już nie tam, już — tu. Przypominamy sobie własne dawne wyobrażenia i rzeźbimy nowe wrażenia. Czasem zapominamy, skąd wyszliśmy; dobrze, gdy pamiętamy dokąd.

### Zamyślenie

Nie zawsze wiemy, gdzie się znaleźliśmy, gdzie jesteśmy, z kim, po co. Skupieni na nieistnieniu, skoncentrowani na rozproszeniu. Na mgłę, na błogości, na dryfowaniu. Na bezkresie. Na bezkresnym punkcie.

Nie wiemy, czy w takiej chwili zgubiliśmy siebie czy — przeciwnie — właśnie znaleźliśmy. Może być i bardziej przekornie: zgubiliśmy po to, by się znaleźć, lub znaleźliśmy, by się na chwilę zgubić. Bez zamyślenia nie ma ani pierwszego, ani drugiego.

Po co nam to? Dla odpoczynku? dla wytchnienia? dla spokoju? Nawet jeżeli odpowiemy twierdząco na każde z tych pytań, nadal nic wiemy. Przede wszystkim nie wiemy, czy wtedy i przez to wzbogacamy swoją egzystencję czy ją zatracamy.

Wiemy, że takich zamyśleń potrzebujemy, że często sami ich szukamy, więc chyba wzbogacamy. Ale też pewnie przyzwyczajamy się do czegoś, co gdzieś na nas czeka.

Nieraz zamyślenia same nadchodzą, niemal zaskakują. Czasem nawet osaczają. To dobrze. Trzeba się im poddać, ulec im i niejako zniknąć ze sobą przed sobą. Choćby na jakiś czas. Dlatego wyjeżdżamy. I dlatego wracamy.

### *Czekanie*

Niby wiemy, że nie musimy, że nie powinniśmy, a jednak tak często na coś czekamy. Czekamy na wyjazd i czekamy na powrót. Czekamy na otwarcie drzwi i na ich zatrzaśnięcie, czekamy na pociągi i na awanse, na miłość i na spłacenie kredytu, na wiosnę i na koniec roku, na spełnienie nadziei oraz tęsknot, ale i na czas bez marzeń.

Czekanie dzieje się w czasie, ale jest traceniem czasu — jest pożeraniem czasu, który w ten sposób przepada bez reszty. W czekaniu nie tylko trwonimy i unicestwiamy czas. W czekaniu jesteśmy wyrzuceni z aktualnego czasu; zapominamy o przeszłości i teraźniejszości, a zapatrzeni w przyszłość nie czujemy smaku jej nadchodzenia. Widzimy tylko to coś poza horyzontem, co nie wiadomo, czy istnieje, czy stanie się, czy nadejdzie. Nawet tego horyzontu nie widzimy, nie mówiąc już o czymkolwiek przed nim i za nim. Widzimy tylko to, czego w istocie i tak zobaczyć się nie da.

Jak to jest: czy wiedząc to wszystko, możemy nie czekać na cokolwiek? Chyba jednak nie. Nieczekanie na cokolwiek jest już pewnie tylko czekaniem na śmierć. Może więc trwoniąc czas na różne oczekiwania, mamy jeszcze poczucie pewnego jego nadmiaru, a choćby tylko zapasu. Wtedy mniej lub bardziej nonszalancko chcemy coś od niego pożyczyć, zyskać, może nawet wyżebrać. Niekiedy się to udaje, lecz mamy wrażenie, że zawsze innym, nigdy nam.

Pewnie więc nie można żyć nie czekając nigdy na nic. Problem może leży w znalezieniu takiego czasu, gdy nasze oczekiwania mogą być spokojne, kontemplacyjne, pozbawione bezwzględności. Niestety, czekanie na wyjazd, podobne jak i na powrót, nie bywa spokojne. Jest podniecające, czasem nawet euforyczne, zawsze przy tym niecierpliwe.

### *Martwienie*

Mamy być obojętni — mówią nam stoicy, cynicy i sceptycy. I choć o tym wiemy, choć przyznajemy im rację, nie potrafimy zachować spokoju i dystansu. Zwłaszcza gdy coś złego spotyka naszych bliskich, czujemy niepokój, a nawet ból, często też bezradność. W tej bezradności kryje się nierozwiązany problem, troska, niemoc.

Seriale nieprzespanych nocy, taśmociągi melancholii, mgła spojrzeń. Czasem już martwota, gdy zmartwienie wgryza się w twarz, deformuje usta i oczy, zabija uśmiech. I błaganie losu, zebranie

o jego przychylność. Wyczekiwanie przesilen, zielonych świateł, iskierek nadziei.

To dobrze, że zazwyczaj nie martwimy się o siebie, lecz o innych. Choć ich los zazwyczaj jakoś nas dotyka, boli, a więc ostatecznie martwimy się też o samych siebie — o to, by nie cierpieć z nimi i przez nich. W martwieniu splata się los bliskich z naszym.

Rzadko martwimy się o świat. Tak daleko nie sięga ani nasza troska, ani nasz niepokój. Ani nasza wyobraźnia. Nieco bezmyślnie zakładamy, że stamtąd nic nam nie grozi. Oblaskawione żywioły i telewizyjne happy endy uspokajają nas. Zazwyczaj też myślimy, że gdzieś tam, daleko, nie ma żadnych zmartwień, że tam jest błogo jak na kolorowych widokówkach, a obietnice biur podróży są tak solidne, jak nasze pragnienie spokoju.

Czasem uciekamy. Już nie mamy sił na zmartwienia, już wiemy, że dłużej nie damy rady. Niestety, i w podróży zazwyczaj dźwigamy domowe sprawy. Wtedy jest tak, jakbyśmy nigdzie nie wyjechali.

## *Cierpienie*

Cierpienie jest zemstą życia na życiu. Nigdy się nie dowiemy, czy przyczyną tej zemsty bywa paranoja bogów, kosmiczny dowcip czy niechęć ewolucji wobec własnych tworów.

Istnienie cierpienia może być wystarczającym powodem, by nie lubić świata i jego odgórných zarząd-

ców. Może być powodem, by nie dawać zgody na taki świat. Cierpienie dzieci, cierpienie bezradnych, cierpienie niewinnych są powodem, by o tej niezgodzie ciągle pamiętać i manifestować ją. I próbować tę niezgodę wyrzeshczyć.

Cierpienie jest zawsze niezawinione. I nie ma takiego trybunału ani kodeksu, które miałyby prawo twierdzić inaczej. Jakakolwiek wina i cierpienie nie mogą wpatrywać się w to samo lustro ani tym bardziej tworzyć symetrii. Pewnie są więc obliczane przez różnych buchalterów, którzy zresztą mogą nawet nie wiedzieć o swoim istnieniu.

Jedyne, co pozostaje, to zgodzić się z opinią filozofa, który twierdził, że cierpienie jest niezbędne, że musi istnieć wskutek jakiejś obłądnej logiki życia, a w zasadzie śmierci. Gdyby bowiem nie było cierpienia, nie chcielibyśmy umrzeć. A właściwie tak bardzo balibyśmy się śmierci, tak bardzo przerażalibyśmy się nią, że i tak byśmy cierpieli. Może jeszcze bardziej.

Czasem udaje się mniej cierpieć, gdy dokądś wyjeżdżamy. Jest to może raczej ucieczka od cierpienia, lecz kogo to może obchodzić. Ważne, że udaje się choćby na jakiś czas znaleźć ulgę.

## *Zbieranie*

Szukamy, znajdujemy, kupujemy. Gromadzimy. Potrzebnie i niepotrzebnie. A gdy potrzebnie, to i tak nie wiadomo, czy potrzeba ta wynika z przyzwyczajenia, z przypadku czy może z pokusy. Dobieramy

i wybieramy dobra, ale też ulegamy nastrojom i instyngtom, które są nieprzewidywalne.

Obrazy, książki, płyty, znaczki, kobiety, mężczyźni, doznania, miasta, państwa, widoki, buty, guziki...

Zawsze bez końca. Bez satysfakcji. I bez umiaru. Rozproszenie. Niespełnienie. Niezadowolenie. Zblazowanie. Frustracja.

Zbierając, nie bardzo wiemy, po co jesteśmy i kim jesteśmy: towaroznawcami pragnień? archiwistami nadziei? kustoszami marzeń?

Dokładamy brakujące do niespełnionych, pustkę do pustki, nieistnienie do nieistnienia. Widzimy to, czego nie mamy, nie widzimy tego, co mamy. A może nie mamy tego, co wydaje się, że mamy. To, co mamy, i tak ma nas. A jeszcze bardziej ma nas to, czego jeszcze nie mamy. Już nas mocno trzyma, już nas nie puści. My — ciągle puści, próżni.

I jakoś nie chce być inaczej. Może nie może być inaczej?

Podróże są także zbieraniem wrażeń, zbieraniem miejsc, zaliczaniem krajów i kontynentów. Nawet jednak gdy kupujemy tam gadzety, to na szczęście nie możemy zabrać ze sobą odwiedzanych miejsc. Musimy je zostawić dla innych zbieraczy, musimy się z nimi podzielić.

## *Fotografowanie*

Tylko fotografie wolno nam zabrać. Tylko te miejsca, które zostały zaklęte w zdjęciu. I tylko tyle czasu, ile zmieściło się w migawce aparatu. Małą por-

cję jednego i drugiego (cienką warstewkę przestrzeni i czasu — jak to wyraziła pisarka). Zabieramy je zresztą też na chwilę, choćby miała ona trwać sto lat. Rzadko dłużej. Czasem tę cieniutką warstewkę przestrzeni i czasu ktoś odziedziczy i... niewiele zobaczy. On będzie już w innym czasie i w innej przestrzeni i tamtych dawnych nie tylko nie będzie rozumiał, ale nawet nie będzie ich widział. Fotografując zabieramy coś świata i czasowi, coś niewielkiego i niepowtarzalnego, coś, co udało się nam z niego wykroić. Rzadziej coś mu dodamy. Najwyżej jakąś minę, pozę, uśmiech. Niekiedy dostrzeżenie interesującego kadru. Czasem swoje wrażenie. Często jednak właśnie wrażenie zastępujemy fotografią. Wtedy nie cieszymy się Akroplem, tylko tym, że możemy go fotografować; nie cieszymy się kwiatem, tylko tym, że mamy go na zdjęciu; nie cieszymy się ciałem kobiety, tylko jej aktem.

To prawda: świat i czas (a właściwie ich skrawki) na fotografiach są zazwyczaj piękniejsze niż w rzeczywistości: bez śmieci, bez zmarszczek, bez łez. Wykrojony fragment świata pozbawiony jest jego smrodu, jego zła, jego dramatu. I dobrze — po co to fotografować, skoro tyle tego wszystkiego jest na co dzień wokół nas. Problem z tym, że gdy przyzwiczamy się do fotografii, gdy je polubimy, często już tego realnego świata nie chcemy oglądać. Potem zazwyczaj zapominamy, co było i co jest tym realnym światem.

Fotografowanie nie jest tworzeniem duplikatów świata i czasu ani ich zastępowaniem. Fotografowanie to stwarzanie innego świata.

## Uwodzenie

Wyjeżdżamy, gdyż zostaliśmy uwiedzeni przez świat. Różne jego miejsca wabią nas, bo wcześniej udało im się nas zauroczyć. Przez filmy, opisy, fotografie lub opowieści innych podróżujących.

Uwodzenie dotyczy wszystkich i wszyscy chcą być uwodzicielami. Kobiety i mężczyźni, artyści i kupcy, politycy i kapłani. Każdy każdego. W różnych chwilach i dla różnych celów.

Uwodzący stara się być lepszy, niż jest. I przekonuje, że ty jesteś ważniejszy, niż jesteś w istocie. Na tę tylko chwilę, dla tego tylko celu. I interesu. Bo uwodzenie nigdy nie jest bezinteresowne. Jest instrumentem, podobnie jak jest nim uwodzony czy uwodzona, których ktoś pragnie w jakiś sposób wykorzystać.

Chyba jednak miło być uwodzonym, skoro tak wielu chętnie na tę rolę się zgadza. Widocznie dobrze jest się poczuć pięknym, ważnym lub potrzebnym. Choćby na chwilę. A może zawsze tkwi w tym złudzenie, że na zawsze? Albo że ten teatr uwodzenia to najprawdziwsza prawda?

Dlatego warto wyjechać, by samemu sprawdzić, czy uwodzący nas świat wart jest naszego oddania. A przy okazji możemy sprawdzić, czy zasłużyliśmy na to, by świat nas uwiódł.

## Uśmiechanie

Małe drzwiczki do szczęścia. Albo czasem wielkie bramy. Otwarte na oścież lub tylko uchylone. Wy-

mowne bądź tajemnicze. Barwne lub dyskretne. Tyle uśmiechów, ilu ludzi i ile sytuacji.

Nie pamiętamy osób, choć możemy pamiętać ich uśmiechy. Mamy więc kolekcje odległych uśmiechów, nawet wtedy kiedy wokół nas jest już pusto.

Skoro uśmiechy są drzwiczkami do szczęścia, to pewnie odźwiernymi są jacyś nieznani dobrzy bogowie jakiejś wymierającej religii. Nie wiadomo tylko, dlaczego ci odźwierni jednym otwierają drzwi, a przed innymi brutalnie je zatrzaskują, niekiedy nawet z nich szydzą.

Szkoda, że nie ma żadnych plantacji uśmiechów, że nie można ich hurtem importować i darmowo obdzielić ludzi jak imionami. Tego nie można, lecz można sobie samemu stworzyć szansę uśmiechu nie tyle do siebie, ile do świata, który natychmiast może się odwzajemnić. Trzeba tylko próbować na jakiś czas opuścić siebie. Bez biletów, bez wiz, bez bagaży.

## *Smutnienie*

Wgryza się, wżera i pożera.

Skutek: zmartwienie — zarmurowienie — skamienienie. Bezmiar bezruchu. Dodanie poddania. Smakowanie pustki. Dotykanie tła. Dotykanie szyby, której nie czujemy, i patrzenie przez okna, za którymi nic nie widzimy.

Czasem grymas lub jęk, czasem cisza bez echa, czasem rozpacz. Zawsze czerń lub szarość. Opuszczone oczy, opuszczone ręce, opuszczone myśli. Zagubione spojrzenie, zagubione dłonie, zagubione marzenia.

Imiona smutku są różne, przychodzą same niewołane, nieproszone i niechciane. Kiedy się jednak wcisną, przylgną i zadowolą, wypraszają inne stany i odczucia. To moment, kiedy smutki zaczynamy lubić. Zaczynamy ich oczekiwać, a nawet pragnąć. Zaczynamy z nimi żyć na co dzień. Władza smutku nie tylko jest ukryta — jest też bezwzględna. Zabiera nam cały świat. Może jednak nie cały. Może tylko ten najbliższy, najbardziej codzienny i dotykalny.

Musimy wierzyć, że smutek „tu i teraz” jest większy i bardziej przykry od smutku „tam i kiedy indziej”. Musimy nawet wierzyć, że „tam i kiedy indziej” żaden smutek nie będzie miał do nas dostępu. Już pakując się i wychodząc z domu, myślimy o radości i spełnieniu, a nie o smutku. Skoro daleki świat zaczyna się do nas uśmiechać, należy mu się odwzajemnić.

### *Kochanie*

Jest kolorowe, gdy się zaczyna i trwa. Jest szare, gdy powoli przemija. Jest czarne, gdy zostaje złamane. Tyle barw.

Widzimy je, gdy nas unosi. Przeklinamy, gdy nas porzuca. Nie wierzymy w nie, gdy zapomina o nas. Tyle odczuć.

Tęsknimy, marzymy, wyczekujemy, wypatrujemy, upokarzamy się. Bronimy się, stronimy, odpychamy, odrzucamy. Przeklinamy, ranimy, zabijamy. I jeszcze uniesienie, ale i poniżenie; siła i słabość; marzenie, ale też przerażenie. Tyle stanów.

Co więc jest miłością, którą znamy, i co jest miłością, której nie znamy? Co jest miłością, której pragniemy, i co jest miłością, której się boimy? Co jest miłością, która trwa, i co jest miłością, która odeszła?

Tyle imion. I tylko często brak miłości.

Dla wielu z nas podróże stają się substytutem miłości. Rozczarowani do ludzkiej miłości, zaczynamy kochać świat — a przynajmniej wierzyć, że go kochamy albo że możemy go pokochać. Zaczynamy kochać kwiaty, drzewa, góry. Zaczynamy kochać stare miasta. Zaczynamy nawet kochać ruiny, choć mogą przypominać o naszych niespełnionych miłościach.

## *Rozstawanie*

Wyrrywamy kogoś z siebie. I wyrrywamy siebie z siebie. Kawalek po kawalku. Coś się oderwało i odchodzi, coś jest jeszcze mocno przyrośnięte. Jedno i drugie boli. Boli wszystko. Boli bycie razem i boli odejście. Boli rozmowa i boli milczenie. Boli tęsknota i boli nadzieja.

Rozstanie niczego nie kończy, choć wszystko ma zacząć. Wloką się potem za nami odwołki wspomnień, resztki chwil, okruchy pamięci. Nie dają się odpędzić ani odrzucić. Zazwyczaj też nie dają się polubić. Niekiedy można je jedynie nieco obłaskawić — żeby mniej bolały.

Gdy w bezsenne noce otwieramy w ciemnościach niemal nieczytelne albumy, pod zamkniętymi powiekami przechadzają się cienie i ciernie. Przesuwa się kolekcja tych, którzy od nas odeszli, i tych, z którymi

sami się rozstaliśmy. Czasem jest to jedyna nasza wspólnota. I jedyna nasza własność. Żeby je zapomnieć lub żeby je odrzucić, musielibyśmy rozstać się z sobą.

Rozstania są próbami poradzenia sobie z wyobrażeniami, które nie chciały się spełnić, i z marzeniami, które pogruchotał czas. Są też desperackimi próbami poradzenia sobie z nami samymi, których potrzebowały nieudane wyobrażenia i udusiły gnijące marzenia.

Choć wielu próbowało, nikt nie dowiódł, że wyjazd jest pełnym rozstaniem. Wydaje się, że mogłoby tak być, a jednak nie zawsze jest. Nie jest, gdyż wyjeżdżając, musimy zabrać siebie. Może jednak komuś gdzieś, w dalekim kraju, w niedostępnym miejscu udało się rozstanie z samym sobą, porzucenie siebie. Nie wiemy, gdyż ktoś taki już nigdy sam nie zdoła nas o tym powiadomić. Może zresztą i sam o tym nie wiedział.

### *Kontemplowanie*

Trochę poza czasem. Trochę poza sobą. Niby tutaj i teraz, ale też nie do końca, bo jedynie w pobliżu. Trochę poza światem, a przecież tak bardzo w świecie. Może nie tyle w świecie — ile ze światem.

Patrzenie, które nie widzi. Patrzenie, które nie rozróżnia. Patrzenie, które nie spostrzega. Patrzenie zawieszony na niewidzeniu. Kołyszące się na niewidzeniu. Niewidzenie, przez które przenika świat. I świat, który mocno wnika w nasze widzenie.

Wpatrzenie, zapatrzenie, zatracenie. Zatracenie, które ma być odnalezieniem. Które jest spełnieniem bycia w świecie i spełnieniem świata w nas. Które czasem jednak zawodzi i gubi, przy którym można zbłądzić. I po którym można nie umieć powrócić do siebie.

Kto do kogo przychodzi? My do świata czy świat do nas? Kto kogo odkrywa? Kto komu się oddaje: my światu czy świat nam? Odpowiedzi są proste: w kontemplacji jesteśmy po prostu całym światem. Nawet jeśli tylko patrzymy na unoszący się w powietrzu pyłek.

### *Uciekanie*

Ucieczka może być znieruchomieniem, ale może też być wyjazdem. Wyjazd może być ucieczką. Zaplanowaną bądź chaotyczną, sympatyczną bądź zniechęconą. Nie znamy smaku ucieczki, gdyż nie możemy się zatrzymać i spróbować pomyśleć.

Plączą się nogi i myśli. Gubią się drogi i kierunki. Krzyżuje się strach i nadzieja. Kurczy się czas, a rośnie przestrzeń. Rozrasta się tak bardzo, że już po chwili możemy nie wiedzieć, dokąd mamy uciekać, skoro zawsze stoimy na skrzyżowaniu dróg.

Uciekamy przed innymi i uciekamy przed sobą. Uciekamy przed złem i uciekamy przed miłością. Uciekamy przed dokuczliwym chaosem i uciekamy przed błogą stabilnością. Uciekamy przed losem, którego się domyśmy, i przed losem, którego nie znamy.

Bardzo szybko przestajemy wiedzieć, czy uciekamy przed czymś czy tylko biernie dokądś pędzimy. Częste lub długotrwałe uciekanie jest kręceniem się w kółko, jest pędzeniem po błędnym kole. Już nikt nie goni, już nic nie straszy, a ucieczka trwa i trwa.

Pęd ucieczki zgina, łamie, niszczy. Wymusza, zastrasza, przeraża. Nie pozwala się zatrzymać i zastanowić. Nie pozwala przestać się bać. Nie pozwala przestać uciekać.

## *Marzenie*

To jakby podróżować na białych grzbietach obłoków. To przenosić się do krain, których nie ma, w sezonny ciągłego słońca, do ludzi i spraw, którymi zarządza tylko dobry los. Pewnie takich krain nie ma naprawdę, lecz są jedynie w marzeniach. Może marzenia są tylko po to, by takie krainy powstały, by zostały naniesione przez jakichś kartografów na mapy w atlasach, które otwieramy zawsze wtedy, kiedy jest nam źle.

Marzenie jest oddechem dla przygniecionego czasu, oknem dla steranych tęsknot, mostem dla zagubionych nadziei. Czasem jest jedynym pocieszeniem, jedynym wsparciem, gdy już bardzo trudno żyć.

Marzenie zaprzyjaźnia ze światem, z życiem, z losem. Zamienia szarość w tęczę, pokazuje kolorowe krajobrazy, dodaje sił.

Ale czasem marzenia stają się natrętnym nawykiem, zastępują prawdziwe życie. Męczą niespełnieniem i zniechęcają do siebie i do świata. Wtedy trzeba zacząć marzyć o czasie bez marzeń.

*Odrzucenie*

Odrzuceni, czujemy się mniejsi niż zero. Mniej niż nic. Albo zero dodane do nicości. Zero skazane na nicość, przypisane nicości, połączone z nicością. Mniej niż zero i mniej niż nic, które siebie wzajemnie także nie chcą, które siebie nienawidzą i też chcą odrzucić.

Odrzucenie jest jak wyrok bez uzasadnienia, jak skazanie bez przestępstwa, jak lincz bez pretekstu. Jesteś sam, z boku przyglądasz się zabawkom, których nie wolno ci dotknąć, którymi nie możesz się cieszyć. Jesteś sam, a ludzie, do których się zbliżasz, odsuwają się jak horyzont lub niespełnione nadzieje. Jesteś sam i nie wiesz, dlaczego.

Odrzucenie najpierw dziwi, potem onieśmiela, wreszcie boli. Potem już tylko boli. Cierpień odrzuczonych nikt nie zna, bo są odrzuceni. Nawet inni odrzuceni ich nie znają, bo odrzuceni rzadko garną się do siebie.

Odrzuceni najpierw szukają lepszych, silniejszych, piękniejszych. Gdy tu zostaną odrzuceni, szukają mniej dobrych, mniej silnych i mniej pięknych. I następnych.

Po ostatnich odrzuceniach nie potrafią już znaleźć samych siebie. I to jest najgorsze odrzucenie.

Kiedyś w takich sytuacjach ludzie mówili, że „idą w świat”, w którym zazwyczaj gdzieś bezpowrotnie przepadali. Teraz mogą kupić bilet w jedną stronę i wierzyć, że znajdą jakieś miejsce, które ich przygarnie.

## *Wspominanie*

Trochę przyjemności. Trochę bólu. Trochę spokoju. Trochę niepewności. Jakieś pytania. Jakaś tajemnica. Jakieś spełnienia. Jakieś rozczarowania. Czasem nawet rozdrapywanie zagojonych ran.

Przyjemność bólu i ból przyjemności. Sprawdzanie innych wariantów czasu. Innych wariantów życia. Szukanie tych marzeń i nadziei, które się pogubiły albo rozwiały. Szukanie miejsc, które może są gdzieś tam, daleko i dawno. Nie ma ich jednak tu. Nie ma ich teraz.

We wspomnieniach szukamy siebie takich, jakimi się pamiętamy. I takich, jakimi się już zapomnieliśmy. Szukamy też tych, których pamiętamy, i tych, których zapomnieliśmy. Szukamy jakichś siebie, których już nie ma. I takich siebie, których nigdy może nie było. Zazwyczaj ci, którzy się pamiętają, i ci, którzy się zapomnieli, nie mogą się ze sobą spotkać. Chodzą po różnych ścieżkach pamięci i po różnych labiryntach czasu. Ścieżki te raczej się nie przecinają. One przecinają nas, kawałkują. Więc wspomnianie to zawsze nostalgia za fragmentami siebie samego.

## *Pamiętanie*

Wianki zasuszonych wspomnień. Zbiory niedojrzałych marzeń. Kolekcje nieudanych miłości. Wysypiska nadziei.

Przechodzą z karty na kartę, z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc, z roku na rok. Coraz bardziej spłowiełe, coraz mniej czułe, coraz mniej bolesne.

Potem stają się bezimienne i przez to jakby nieistniejące. A więc nietykalne. Stają się wówczas imieniem czasu. Albo — gdy mają mniej szczęścia — imieniem kamienia.

Pamiętanie jest wspomnianiem, a wspomnianie żywi się pamięcią. To bliźniacze rodzeństwo jest bardzo lojalne wobec siebie wzajemnie. Tylko czasem któreś z nich, jakby chcąc przypodobać się drugiemu, konfabuluje. Wtedy pojawiają się w pamięci zdarzenia nieistniejące albo przynajmniej niespełnione. Pojawiają się też ludzie, którzy kiedyś byli tak naprawdę inni, niż chcemy ich teraz pamiętać. Im częściej wspominaliśmy, tym bardziej oszukujemy przeszłość, tym bardziej rzeźbimy ją według dzisiejszych wyobrażeń.

Pamiętanie i wspomnianie to podróże w czasie. Najwygodniejsze i najtańsze. Zazwyczaj też najbezpieczniejsze i najprzyjemniejsze. I nie przeszkadza nam, że zazwyczaj trochę złudne.

### *Przemijanie*

Przemijają gwiazdy i wszechświaty. Przemijają dzieje i pokolenia. Przemijają lata i sytuacje. Przemijamy my sami, choć nie chcemy się z tym pogodzić. Szukamy kotwic i fundamentów. Szukamy stałości, która jest jedynie ulotnym słowem. Chcemy w nią wierzyć, chcemy ją wymodlić.

Gdyby powiedzieć, że jedyną stałością jest przemijanie, byłby to wątpliwej wartości aforyzm ze ściennej kalendarzy. No właśnie — kalendarzy. Metafora

przemijania przyczepia się i nie chce oderwać. Chce być na zawsze.

W szkołach życia brakuje akademii przemijania. A to pewnie jedyna wiedza, którą warto posiadać. I której tak bardzo się boimy, której nie chcemy przyswoić. Dlatego szukamy stałości, punktów oparcia, które skądinąd zazwyczaj są też jedynie znakami drogowymi.

Najlepiej oglądać przemijanie z okien pociągu. Wtedy wydaje się nam, że to nie my i nasz czas przemijamy, lecz tylko przydrożne drzewa i słupy, domy i mosty. Lepszego złudzenia nie znajdziemy.

### *Rozczarowanie*

Rozczarowujemy się ludźmi, własnymi wyborami i sztuczkami losu.

Długo wpatrujemy się w twarz losu. Długo szukamy tam pocieszenia, wierzymy, że jednak będzie lepiej. Jak nie teraz, to później. Tylko kiedy, skoro już jesteśmy bardzo zmęczeni, skoro już nie dajemy rady? Długo karmimy się nadziejami, marzeniami i złudzeniami. Jak to? Czyżbyśmy naprawdę byli gorsi od innych — od tych, którym dobrze się wiedzie, którym wszystko układa się pomyślnie? Nie chcemy uwierzyć, że może być inaczej, że los traktuje nas mniej przychylnie niż innych. No cóż, nie widzimy tych, których jeszcze gorzej potraktował, bo jeszcze ciągle patrzymy w górę, a dołu nie chcemy wcale dostrzec.

A potem coś pęka. Zazwyczaj cicho i niezbyt wyraźnie. Już przestajemy wierzyć losowi, już przestajemy

mieć do niego zaufanie. Czujemy, że dobry los rozmiął się z nami, choć nie wiemy, kiedy ani gdzie to się stało. Pewnie nie teraz, tylko kiedyś tam, dawno temu, tylko wtedy tego nie zauważyliśmy. Wtedy jeszcze mu wierzyliśmy, jeszcze mieliśmy do niego zaufanie. Może nawet dobrze, że długo mieliśmy nadzieję, bo chyba najbardziej przykre są rozczarowania dzieci. Potem długo, pewnie przez całe życie muszą z nimi żyć.

Rozczarowanie nic dobrego w sobie nie zawiera. Nie ma w nim żadnego podtekstu ani też nie będzie ono zabiegiem, dzięki któremu coś zdołamy wytargować od losu. Rozczarowanie jest zazwyczaj pełne i ostateczne.

Ale i w nim jest coś pocieszającego: gdy jest już bardzo gorzkie, dobrze przygotowuje do ostatniej podróży — najbardziej nieznannej i najbardziej egzotycznej.

## *Przepadanie*

Gdy rozgoryczenie jest zupełnie czarne, gdy rozpacz jest beznadziejna, gdy czujemy, że wszystko przepadło, mamy poczucie pustki i poczucie dotykania nicości.

Gdy niby nic już nie ma, gdy nic się nie dzieje, jednak jest coś i coś się przejawia. To coś jest złudne, oszukuje nas lub my sami się nim oszukujemy. Powinniśmy od dawna wiedzieć, że natura nie zna próżni. I znowu — niby to wiemy, ale nie chcemy o tym pamiętać. Wydaje się nam, że może być zupełna pustka, że może nic nie być. Ale wtedy też coś jest i niekoniecznie jest to tak niewielkie, że go nie widzimy i nie czujemy. Nawet

pustka nie jest nicością. Pustka to cierpienie, a gdy cierpimy, istniejemy — nawet jeśli tego nie chcemy.

Gdy wydaje się nam, że nic nie ma i nic się nie dzieje, to raczej jest tak, że nasze wrażenia spłowiały albo odeszliśmy od samych siebie tak daleko, że nie widzimy tego, co wokół nas, przy nas, a przede wszystkim w nas się dzieje. Staliśmy się ślepi i głusi. Staliśmy się tacy, jakby nas wcale nie było. Tylko znowu: czy może nas nie być, skoro jednak jesteśmy? Byłoby trudno zaprzeczać. Tyle tylko, że tak naprawdę jesteśmy, choć nie chcemy być. Ale i to nie jest pełna prawda. Bo nie jest tak, że nie chcemy wtedy być. Chcemy — tylko że inaczej: lepiej, przyjemniej, milej.

Nasza pustka jest więc przewrotna. Jest i nie jest jednocześnie. Buduje własne pozory. A że nie może ich budować z niczego (bo niczego nie ma), anektuje cokolwiek i maskuje to w nic. Gdy jesteśmy daleko od siebie, gdy siebie już nie dostrzegamy, dajemy się na to rzekome „nic” nabrać.

Kolejny raz potwierdza się więc prawda, że najważniejsze podróże prowadzą do nas samych.

## *Sytuacje*

**D**robne epizody, które udało mi się zatrzymać. Właściwie zatrzymała je moja pamięć bez udziału woli i bez staranności. Zatrzymało je też zdziwienie i podejrzenie poezji, które się do nich tuliło. Właściwie nie wiadomo, po co i dlaczego. Raz zatrzymane, zaczęły żyć samoistnie, zaczęły same chcieć istnieć, jakby poczuły jakąś własną moc i niezależność. Może nie zawsze łączą się z podróżami, lecz mają w sobie zarówno ruch, jak i zatrzymanie. Pewnie tego drugiego jest więcej.

### *Audycja*

To było dawno temu. Wróciłem do domu późno. Byłem nieco pijany, zły i smutny. Włączyłem radio. Był to stary odbiornik z kiepską, tymczasową drucianą anteną. Spomiędzy szumów i trzasków słychać było dźwięk saksofonu Charliego Parkera, którego w tym czasie uwielbiałem. Chciałem nastawić radio wyraźniej, obracałem pokrętłem w jedną i drugą stronę.

Niewiele to pomagało. Wziąłem w palce drut prowizorycznej anteny, aby ją lepiej ustawić. Moje ciało stało się anteną i lepiej przewodziło dźwięki. Trzymałem ją kurczowo i przeciąłem sobie dłoń. Dźwięk saksofonu Parkera stał się boleśnie klarowny. Straciłem poczucie, że jestem w domu, lecz nie bardzo wiedziałem, gdzie się przenieśliem.

### *Wyrzuty*

Nie wiem, dlaczego naszły mnie akurat wtedy, kiedy siedziałem na łące pod lasem, do którego już tyle razy przedtem jeździłem rowerem. Nie wiem, dlaczego zerwałem koniczynę, która miała tylko trzy płatki, choć wiem, że właśnie wtedy pojawiły się te myśli. Nie poczułem się zbyt dobrze, gdy zrozumiałem, że czasem wydaje mi się, że bardziej kocham kamienie niż ludzi. Czasem myślę, że mogę polubić chmurę, która przesłania mi słońce, a czuję niechęć do człowieka, który przesłania mi chmurę. Mogę lubić zwiędłe kwiaty, mogę zaprzyjaźnić się z piaskiem — a nie lubię człowieka, który wyrzuca zwiędłe kwiaty i tego, który depcze piasek. I nie wiem, co mam zrobić z tym, że sam tak często zasłaniam sobie niebo, spaceruję po piasku i patrzę na więdnące kwiaty. To ostatnie pomyślałem później.

### *Rachunki*

Na łące w rzymskich ruinach Term Karakalli chciałem policzyć stokrotki, lecz zbyt szybko musia-

łem odejść. W ogrodzie przy domu zacząłem liczyć wschody i zachody słońca. Wszystko ciągle mi się myliło. Zapamiętałem jedno zaćmienie słońca i jedno zaćmienie księżyca. Ono się jednak nie liczy, bo bardziej zapamiętałem psa, który wtedy chciał, bym go zabrał ze sobą. Czasem też niewyraźnie przypominam sobie pewien słoneczny poranek i pewien księżycowy wieczór. Nie wiem jednak, czy były one na pewno.

### *Nad ranem*

W nocy przyśnili mi się przyjaciele, którzy robili do mnie brzydkie miny. Bałem się. I przepraszałem, że ich pogubiłem, choć pewnie wcale ich nie miałem. We śnie obiecałem, że ich nie odnajdę. Nie umiałem trafić w dzień. Doczekałem do południa, które choć w niczym mnie nie pocieszyło, po raz pierwszy pokazało mi Morze Śródziemne. Nie mogłem się nie wzruszyć, bo bałem się, że odpłynie.

### *Rozkład jazdy*

Siedziałem w barze na dworcu kolejowym w miasteczku, które było nie mniej zagubione niż ja sam. Przez okno patrzyłem na drzewa, a widziałem ptaki. Kiedy widziałem ptaki, słyszałem muzykę. Nie marzyłem już o czerwonych ustach kobiety, żeby nie mówili, że zwariowałem, kiedy spóźnił się mój pociąg. Nikt nie wiedział, dokąd chciałem jechać. Ja

nie wiedziałem, kiedy miała przyjechać dziewczyna o czerwonych ustach. Pewnie przyjechała, lecz na inny dworzec w innym miasteczku, w innym czasie.

### *Obawa*

Stałem w jesiennym parku, jak jesienny cień. Szukałem jakichś argumentów dla swoich spojrzeń i dla dłoni, z którymi nie wiedziałem, co począć. Wiedziałem już, że najtrudniej jest cokolwiek dać tym, których się kocha. Szelest liści zatrzymywał złe i dobre wspomnienia. Marzenia same pochowały się ze wstydu. Wrastałem w terażniejszość, której nie chciałem polubić. Bałem się, że zostanie mi tylko miłość do miłości.

### *Upadłość*

To było w starym Trogirze, choć mogło być w tylu innych miejscach. Gdy zobaczyłem umierającego gołębia, zacząłem się boczyć na boga. Przestałem myśleć o pocałunkach upadłych kobiet z czerwonymi ustami. Przestałem kraść blaski ze spojrzeń przechodzących dziewczyn i gromadzić w oczach wyobrażenia ich snów. Potem niepotrzebnie wpatrywałem się w błękit nieba, bo chciałem pogodzić się z bogiem. Umierający gołąb nie protestował, nie protestowały też przechodzące dziewczyny ani siąpiący deszcz. Tylko bóg może teraz boczyć się na mnie.

*Noce i dni*

Na placu przed Pałacem Papieskim w Awinionie uliczny muzyk grał na akordeonie rzewne tanga. Jakaś kobieta poprosiła mnie do tańca. Odmówiłem. Powiedziałem, że tańczę tylko w ciemnościach. To nie była tylko dygresja filmowa — w ciemnościach nie widać moich grymasów. Także wtedy spojrzenia są dyskretne, a czułość może się wydawać prawdziwa. Za dnia wyrzucam zaschnięte tęsknoty i szukam wąskich uliczek, na których nikt nie prosi mnie do tańca.

*Niepewność*

Stałem na skrzyżowaniu ulicy Szarej i Zwykłej w mieście, którego nazwy już nie pamiętam. Byłem w dobrym nastroju. Nie gniewałem się na świat za to, że nie jest taki, jaki powinien być. W jednym oku miałem obraz Chirica, drugie zakrywałem. Na szczęście — żeby nie zobaczyć tego, co nie nadaje się do widzenia. Gdyby mnie stamtąd zabrali, pozostałyby po mnie tylko buty. Może łąsiłyby się do nich bezdomne koty.

*Prześwity*

To były prześwity w snach. W pierwszym śnie stałem pośrodku schodów. Mogły to być Schody Hiszpańskie w Rzymie, ale nie były. Mogły to być schody przed katedrą w Tarragonie, ale też nie były. Zresztą

to nieważne. Ważniejsze jest, że nie wiedziałem, czy iść w górę czy schodzić. Szukając pomocy, nadaremnie przypominałem sobie imiona znanych bogów. Po-deszło dziecko w mundurze policjanta. Obudziłem się na ulicy w nieznanym mieście. Na przejściu dla pieszych zacząłem kolejny sen. Śniło mi się, że stoję po-środku rzeki, którą dobrze znałem. Właściwie nie by-ła to rzeka, lecz mały strumień w rodzinnej miejscow-ości. Szybko wyszedłem z wody, gdy przypomnia-łem sobie, że do żadnej nie wchodzi się ponownie. Nie wiedziałem, że jutro w nocy znowu o tym za-pomnę.

### *Twórczość*

Czasem, po nocach, przeglądam stare tomiki wierszy drzemiące na zakurzonych półkach. Gdy mam dobry humor, zbieram pajęczyny i ugniatam z nich sza-re kwiaty. W zależności od pory roku są albo jesien-ne, albo wiosenne. Nie wiem tylko, dlaczego zawsze na przekór.

Kiedyś chciałem narysować ptaka, ale wyszedł mi bohomaz. Nawet nie był śmieszny, tylko pokracz-ny. Gdy cicho wypowiedziałem słowo „ptak”, rysunek okazał się piękny. Żeby nikt tego nie widział, skry-łem się pod koronę drzewa. A wtedy ptak wysoko, pod chmurami, radośnie zatrzepotał skrzydłami. I rozwiął mój rysunek.

Zawiedziony swoją twórczością, pakuję walizkę i szukam wsparcia w dalekich krajach. Często potra-fią pomóc.

*Przejazd*

Pomiędzy dwoma przystankami paryskiego metra zobaczyłem najpiękniejszą dziewczyną na świecie. Trzymała się poręczy i miała przechyloną głowę, jakby chciała się przytulić do swojej ręki. Musiałem wysiąść. Wydawało mi się, że powinienem jej szukać. Po niedługim czasie uświadomiłem sobie, że metro jest pełne tych, którzy kiedyś widzieli jakąś najpiękniejszą dziewczynę. Odtąd patrzę w ziemię. I od dawna nie pamiętam już, jak wyglądała najpiękniejsza dziewczyna na świecie.

*Cisza*

To była miłość w maju przy świetle księżyca i śpiewie słowika w podmiejskim lesie. Trudno było o tym mówić, bo trudno było samemu w to uwierzyć. Potem ona nie umiała powiedzieć: „nie odchodź”, a on nie umiał zostać. A może było odwrotnie. W tym miejscu już od dawna nie śpiewają słowiki, a drzewa pewnie zostały wycięte. Księżyc jest dość bezmyślny i świeci wszędzie, a każdy maj wielu ludziom co roku przynosi jakąś miłość, z którą po pewnym czasie nie wiedzą, co począć.

*Miasto*

Miasto, do którego muszę często przyjeżdżać, jest szare i bez wdzięku. A jednak pochłania ludzi.

Przyjaciół pogubiłem już dawno. Teraz, gdy idę jego ulicami, nie spotykam nikogo. Nie mam z kim zamienić choćby paru słów. Wszyscy gdzieś przepadli.

Nawet ulice nie służą już do chodzenia, a place do tego, by na nich przysiąść. Nie lubię cmentarzy i nie szukam tam nikogo. Kawiarnie zmieniły adresy, a adresy zmieniły zapachy. Czas nagromadził dużo czasu i jest bezmyślny w swojej pysze.

### *Na skwerze*

Siedziałem na ławce w parku. Właściwie bardziej był to skwer niż park. Może to był skwer z rzeźbą Picassa przedstawiającą Apollinaire'a obok kościoła Saint-Germain-des-Prés w Paryżu. Gapiłem się bezmyślnie na przechodzących ludzi. Na nic nie czekałem, może tylko na samego siebie. Podeszła jakaś nieznajoma, poprosiła o ogień, którego nie miałem. Potem usiadła na ławce obok, mówiąc coś, czego nie rozumiałem. Była podobna do wariatki, którą widziałem kilka dni wcześniej, jak samotnie tańczyła na moście nad Sekwaną. Ale to nie była ona. Kimkolwiek była, ja chciałem pozostać sam. Może niezupełnie sam, lecz na innej ławce, w innym parku, w odległym miasteczku. I niemal pół wieku wcześniej.

### *A jednak*

Gdzieś w obcych hotelach są takie noce, kiedy myślę, że szkoda mi każdej minionej chwili. Nie chcę tych

myśli, odpycham je, bronię się przed nimi. Potem poddaję się, grzęznę w przeszłości, zapadam w nią. Wtedy szkoda mi każdego spojrzenia i wzruszenia, szkoda mi twarzy, których już nawet nie pamiętam. Szkoda mi każdej wiosny i każdego lata, każdego dnia i każdego drzewa, na które spojrziałem. Szkoda mi każdej chmury, której kształty rozplynęły się w nocach — nocach, które polubiły upływający czas. To moja jedyna własność, którą jednak musiałem roztrwonić, a która nie chce rozstać się ze mną i wraca natrętnie. Przygarniam ją więc, zatrzymuję jej chwile. Potem wyjeżdżam do innego hotelu.

## Postoje

Nie ma podróży bez postojów. „Postój” kiedyś musiał kojarzyć się z dłuższym zatrzymaniem, rozpakowaniem bagaży i sakwojaży, napojeniem koni czy wielbłądów. Jednak i teraz także w zwykłym spacerze po mieście są chwile, gdy musimy się zatrzymać, i są miejsca, gdzie musimy przystanąć, a nawet przysiąść. To są momenty, gdy bierzemy dla siebie jakiś niewielki fragment obcego miasta.

Przystajemy lub przysiadamy. Gdy siadamy, niemal obejmujemy fragment świata, na który patrzymy i którego naszym spojrzeniem doświadczamy, bierzemy niemal na własność, przejmujemy. Przynajmniej na własność własnych spojrzeń. I trwa to tak długo, jak długo siedzimy: posiadamy przez przysiadanie. Chwilowe posiadanie.

Moje pobyty i wędrówki po Paryżu i Rzymie (miastach, w których bywam najczęściej) to właśnie takie serie postojów. Nie zawsze chce mi się zachodzić do kawiarni — bo nie lubię pozornie usłużnych kelnerów, tak naprawdę bardzo znudzonych turystami. Nie lubię

restauracji, bo szkoda mi czasu na zbyt długą celebę obsługi i jedzenia. Lubię natomiast siadać na przygodnych ławkach na niedużych skwerach, na schodach budowli, na murkach, na obudowach fontann. I patrząc na miejski spektakl, mam wrażenie, że biorę go w posiadanie.

Krążąc po znanych miastach, mam w nich ulubione miejsca, ba — mam poczucie, że te miejsca czekają na mnie. Różne dzielnice miast, po których spaceruję, kojarzą mi się właśnie z nimi. Ich struktura, ich swoista mapa, obejmuje we władanie różne miejsca w przestrzeni, a moje marzenia przed wyjazdem i tęsknoty po powrocie do domu odnoszą się właśnie do tej mapy. I tylko wypełniają ją różną pogodą, różnymi moimi nastrojami, różnymi stanami rzeczy i sytuacjami. Teraz połączę je w umowną całość — tak, jakbym odbywał jedną długą wędrówkę po każdym z tych miast. Nie są to miejsca jakoś szczególnie wyrafinowane, nie są to żadne tajemnicze i nieznanne zakątki. Nie mogą być takie, skoro i moje podróże do nich miały być przedłużeniem codzienności, złudnym pewnie uznaniem, że w jakimś małym choćby stopniu je sobie przywłaszczyłem. Miały być pieczętką w paszporcie do krainy własnej afirmacji.

## *Paryż*

W Paryżu mieszkam najczęściej przy rue Lauriston. Wychodząc rano z hotelu, zmierzam do Placu Étoile, gdzie przysiadam na chwilę — już wśród drzew na Polach Elizejskich — by obserwować ruch

samochodów na tym gigantycznym placu. Choć w pejzażu dominuje Łuk Triumfalny, mnie bardziej interesuje, jak radzą sobie kierowcy setek samochodów zjeżdżających z kilkunastu schodzących się na placu gwiazdziście ulic i wyjeżdżających w inne ulice. Nie ma tu świateł organizujących ruch; jest tylko uprzejmość i zdecydowanie. Po kilkunastu minutach zacynam jednak odwracać wzrok i obserwować przechodniów na Polach Elizejskich, by po chwili stać się jednym z nich.

Na kolejnym ogromnym placu, Concorde, nie ma gdzie usiąść — na szczęście. Tutaj ruch jest chaotyczny, a widoki obelisku egipskiego, wielkich fontann i dalekich gmachów znanych paryskich budowli — jak choćby kościoła Madelaine z jednej strony i Palais Bourbon z drugiej — nie są aż tak powabne, by chcieć się tu dłużej zatrzymać.

Za to w Ogrodach Tuilerskich jest tyle ławek, metalowych krzeseł, a nawet fotelików, że same zapraszają do zatrzymania się. I setki rzeźb starych i nowych, wspaniałe rabaty i kompozycje kwietne, fontanny. Paryżanie przysiadają tu z książką, turyści przechodzą z niespokojnymi spojrzeniami, a gołębie wyzebują okruchy herbatników. W wielu miejscach tu przesiadywałem, tak więc one same tworzą już jakąś własną strukturę, którą nawet po latach pamiętam. To tutaj, w pobliżu rue de Rivoli, słuchałem na discmanie nowo kupionej w niedalekim FNAC-u płyty portugalskiej wokalistki Marizy. Przyjemność zepsuły mi przekleństwa polskich gasterbeiterów, którzy tutaj niedaleko zrobili sobie sobotni piknik alkoholowy. Kiedyś mimowolnie widziałem jakąś parę Francuzów od-

bywającą w porze lunchu niezbyt dyskretnie za drzewem szybki seks. Jeszcze innego roku były tu gdzieś kozy, które wprowadzono na próbę, prawdopodobnie aby zaoszczędzić na pracownikach koszących trawę. Tak, kozy w królewskich nobliwych Tuilerach — to była sensacja. Dla niektórych paryżan, a pewnie i turystów były to pierwsze żywe zwierzęta, jakie widzieli w mieście prócz kotów i psów. Kozi eksperyment nie trwał jednak długo, gdyż przy kolejnych przyjazdach już ich nie widywałem.

Także w pobliżu Luwru jest wiele takich miejsc, gdzie przysiadalem podczas różnych tu pobytów — i za dnia, i wieczorami. Za dnia interesujące jest oglądanie tysięcy turystów szturmujących muzeum lub odpoczywających po jego zwiedzeniu. Ale też ciekawe jest oglądanie imponującego łuku Carrousel oraz fasad i dziedzińców samego Luwru, a także szklanej piramidy tworzącej główne wejście do muzeum. Przysiadam na kamiennej przyzbie i zatracam się w patrzeniu. Wieczorem zaś szklana piramida, podświetlona złotście od dołu, jawi się jak jakiś gigantyczny brylant, który naprasza się, by go sobie zabrać na własność — przynajmniej na czas, kiedy się tam siedzi i patrzy. Pamiętam, jak któregoś późnego wieczora otworzyła mi się jego uroda, gdy niespodziewanie znalazłem w swojej torbie nie do końca opróżnioną butelkę brandy.

Po przejściu Sekwany któryms z mostów — Pont du Carrousel lub Pont des Arts — i dojściu do dzielnicy Saint-Germain, nie można się jeszcze czuć zmęczonym. Jednak gdy pospaceruje się po okolicy, popatrzy na wnętrze kościoła i z zewnątrz na słynne kawiarnie, kiedyś zajmowane przez artystów i egzystencjalistów,

teraz okupowane przez turystów i snobów, można zacząć się rozglądać za jakimś miejscem do odpoczynku. Nie, nie zachodzę już ani do Café de Flore, ani do Les Deux Magots, ani do innych znanych przybytków w sąsiedztwie. Czasem przysiadam po prostu na kamiennych stopniach bocznego wejścia do słynnego wczesnogotyckiego kościoła Saint-Germain-des-Prés. Jednak są tam w pobliżu bardziej dyskretne miejsca. Z lewej strony kościoła jest skwerek Apollinaire'a z rzeźbą Picassa, który często mnie wabi. Z drugiej strony — już od strony bulwaru Saint-Germain — jest osłonięty żywopłotem uroczy skwer Desruelles z kilkoma ukrytymi pośród drzew ławkami. I tam też lubię siadać. To dziwne, że zazwyczaj znajduje się jakieś wolne miejsce. Czasem spotyka się tam jakąś opiekunkę z dzieckiem, niekiedy śpiącego kloszarda, zdarza się też przypadkowy przechodzień. Przez lata na ażurowym, kutym płocie oddzielającym ten skwer od bulwaru Saint-Germain eksponował swoje rysunki starszy malarz amator. Był znakomicie upozowany na „prawdziwego” artystę: w kapeluszu, z apaszką i odpowiednią miną próbował, raczej mało skutecznie, zainteresować przechodniów.

Wędrówka po Dzielnicy Łacińskiej może być tylko wtedy męcząca, kiedy tamtejsi restauratorzy zapraszają nazbyt nachalnie. Zazwyczaj jednak robią to od niechcenia, spacer jest więc spokojny. Po obejrzeniu gmachu Sorbony i paryskiego Panteonu, zwiedzeniu ogromnych księgarń Giberta i pięknego gotyckiego kościoła Saint-Séverin (słuchałem tu kiedyś, w niemal pustym wnętrzu, koncertu *La Mer* Claude'a Debussy'ego w wykonaniu orkiestry młodzieżowej) oraz

po licznych przejściach bulwarem Saint-Michel lubię przysiąść na place de la Sorbonne, i to nie tylko po to, by oddać hołd twórcy socjologii, Auguste'owi Comte'owi przed jego pomnikiem. Jest tam wiele wygodnych miejsc na kamiennych ławkach, a gdy te są zajęte, pozostają schody pobliskiego kościoła. Mogę wtedy spokojnie pomyśleć o książkach, które widziałem, czy o płytach jazzowych, które przed chwilą kupiłem.

Dzielnica Łacińska korci jednak, by dłużej po niej spacerować. Często w tę i z powrotem. W końcu trzeba znowu gdzieś przysiąść. Ja mam tam trzy kolejne miejsca. Jedno to skwer na tyłach Musée de Cluny przy skrzyżowaniu Saint-Michel i Saint-Germain, gdzie lubię siadać z zakupionym niedaleko smacznym czekoladowo-bananowym crêpem. Drugie to skwer przy księgarni Shakespeare & Co przy rue de la Bûcherie — już w sąsiedztwie Sekwany, po drugiej stronie Quai de Montebello. Trzeci, znacznie większy od poprzedniego, to skwer (teraz nosi nazwę René Viviani) za małym kościółkiem Saint-Julien-le-Pauvre. Stamtąd jest piękny widok na brzeg Sekwany, stoiska bukinistów i katedrę Notre Dame. Jeśli jest to możliwe, wybieram taką ławkę, z której prześwit między gałęziami otwiera się najbardziej na katedrę. Dziwna sprawa: z wielu pobytów tam najbardziej pamiętam parę kłócących się gejów-kloszardów. Starszy próbował wkupić się w łaski młodszego złamanym papierosem znalezionym na ziemi chwilę przedtem.

Idę dalej: zaraz po przejściu przez Petit Pont lub Pont au Double szukam na nabrzeżu Sekwany jakiegoś dogodnego miejsca do oglądania katedry. Niestety, statki wycieczkowe także cumują w tych miejscach

i często przesłaniają widok. A jednak w tym lub innym miejscu (także na drugim brzegu) często siadam nad Sekwaną, która otwiera różne perspektywy tej części miasta. Najładniejsza jest ta, z której najpełniej widać Île de la Cité i Île Saint-Louis z ich budowlami i mostami. Zanim tam dotrę, siadam jednak na skwerze Jana XXIII, położonym za absydą katedry: trzeba odpocząć po tłumie, który kłębi się przed jej fasadą na głównym placu, nieśmiało, lecz jednak skutecznie nazwanym imieniem Jana Pawła II. I ja też tam przysiadłem choćby na chwilę, by kolejny raz popatrzeć na tę imponującą budowlę, jej fasadę i portal. Przestałem od czasu, gdy w krzewach obok usłyszałem, a potem zobaczyłem szurające szczury.

Na wyspie Saint-Louis nie ma wielu miejsc wygodnych do zatrzymania się. Jest tylko jedno, za to sympatyczne, zaraz na lewo, gdy przejdzie się Pont Saint-Louis, łączący ją z la Cité. Zanim dotrę do skweru, zatrzymuję się na samym moście, który skądinąd przeznaczony jest tylko do ruchu pieszego. Tu zawsze gra jakiś zespół, zazwyczaj jazzowy, lub choćby pojedynczy pianista. Nieco dalej może produkować się sztukmistrz, a czasem przy muzyce tańczy jakaś „stara wariatka” (najlepiej zapamiętałem taką w zielonej sukni i zielonym berecie). Niestety, ostatnio jej nie widziałem, tańczyła tu za to czteroletnia może dziewczynka, zresztą z dużym wdziękiem. Pomyślałem, czy wytrwa w tej roli kilkadziesiąt lat i czy ktoś kiedyś wspomni ją, podobnie jak ja tamtą. Przez kilka lat eksponował się też artysta-dziwak i kloszard w jednej osobie ze śmieciarską instalacją poświęconą „rewolucji obywatelskiej”.

Ale jestem już na skwerze. Ten maleńki placyk z kilkoma topolami, który zainspirował Julia Cortázarą do napisania opowiadania *Babie lato*, które z kolei zainspirowało Michelangela Antonioniego do stworzenia filmu *Powiększenie*. (Aż dziw, że reżyser nie wykorzystał w nim zdania z opowiadania Cortázarą: „Wśród wielu sposobów zwalczania nicości jednym z lepszych jest fotografowanie”.) Często tam siadam, choć nie zawsze rozmyślam o Cortázarze i Antonionim. Nie wiem też, dlaczego od niedawna nazwano to miejsce placem Louisa Aragona — może w podzięce za napisanie *Wieśniaka paryskiego*?

Skoro nie ma więcej wygodnych miejsc na wyspie, trzeba po schodach zejść na dół — nad Sekwanę. A tam, pomiędzy mostami oraz tu i ówdzie rosnącymi topolami, jest sporo kamiennych ławek, gdzie zawsze znajdzie się jakieś miejsce. Tym bardziej że młodzież w grupkach i tak siada na kamiennym nabrzeżu, blisko wody. W całości tworzy to piękny teatr, z kilkoma miejscami siedzącymi i bardzo rozległą sceną — zwłaszcza po drugiej stronie rzeki. Podczas mojego ostatniego pobytu Sekwana tak przybrała, że wszystkie te miejsca były głęboko zalane, a topole wystawały z wody jakby były nierzeczywiste.

Gdy zejdzie się na brzeg, pora przejść którymś z mostów (najlepiej Pont Louis Philippe) na drugi brzeg Sekwany. Tam, na tyłach późnogotyckiego Saint-Gervais-Saint-Protais, przysiadam na niewielkim skwerze, który nawet nie wiem, czy ma jakąś nazwę. Wiem natomiast, że ma swoich wiernych bywalców, którzy zachodzą do którejs z tamtejszych kawiarni albo, podobnie jak ja, przysiadają na podmurówce

opłotowania i spokojnie gapią się na porastający sąsiednią ścianę bluszcz. Potem dobrze jest, niejako dla kontrastu, pójść na Plac Bastylli. Jest to może najbardziej chaotyczny z placów paryskich; może też od momentu zburzenia Bastylli jest to plac najbardziej ludowy. Nie wiem, czy z tego powodu, czy też dlatego, że jest wielkim węzłem komunikacyjnym, na tym placu można spotkać wiele pięknych czarnoskórych dziewczyn, a wieczorami miłośników ciężkich motocykli. Ale przecież nie tylko z tych powodów lubię tam posiadać na którejś z kamiennych ławek czy na schodach nowej opery. To był pierwszy plac paryski, na którym znalazłem się dość przypadkowo wiele lat temu. I choć nie znajduję tam już dawnych wzruszeń, lubię czasem przy nim posiedzieć.

Niedaleko jest Plac Wogezów (Place des Vosges). Ten jest kształtny i dostojny, a przy tym pozostaje swojski (nie tak, jak nieznośny Plac Vendôme, przy którym, na szczęście, nie ma żadnych ławek ani miejsc nadających się do tego, aby usiąść). Na Placu Wogezów jest wiele ławek, ale jest też trawa, na której licznie rozsiada się młodzież. Pod arkadami jest wiele ciekawych galerii ze sztuką współczesną, jest też muzeum Wiktora Hugo, który tu mieszkał. A jednak najprzyjemniejsze jest posiadanie na ławce i przebijanie wzrokiem dorodnych drzew w poszukiwaniu przeciwległych pierzei. Gdy pragnę pełnego spokoju, zachodzę na tyły niedalekiego pałacu Hôtel de Sully. Tam mam scenerię w postaci wysokich ścian udekorowanych gęstą narzutą bluszczu i do dyspozycji którąś z wolnych ławek.

Gdy przejdzie się przez dzielnicę Le Marais do Beaubourg, niekoniecznie trzeba poczuć się zmęczo-

nym. Ta dzielnica inspiruje do dobrego nastroju, więc mija się ją lekko. Zanim ją przejdę, zawsze zachodzę do starej księgarni utworzonej z jakiegoś magazynu, którego drewniany strop podparty jest krzywymi belkami, a zamiast podłogi jest zwykły kamienny, nierówny bruk. Często udaje mi się tu kupić jakiś niedrogi album fotograficzny. Także w dzielnicy Marais zjadam bezpośrednio na ulicy kupionego w żydowskim barze falafela, którego smak mam potem długo w ustach. Gdy docieram do Centrum Pompidou, z radością siadam na znajomych schodach, mając za plecami ściany pięknego późnogotyckiego kościoła Saint-Merry, a przed sobą awangardową fasadę muzeum sztuki nowoczesnej.

Pomiędzy rozpościera się sztuczny staw (a właściwie Fontanna Igora Strawieńskiego) z dynamicznymi rzeźbami współczesnych artystów — Jeana Tinguely'ego i Niki de Saint-Phalle — które wchodzi w rolę płynących fontann. Sztuka ta cieszy dzieci w dzieciach i dzieci w dorosłych. Godzinami można tu siedzieć i patrzeć, patrzeć, patrzeć. Niestety, coraz rzadziej te płynące rzeźby się poruszają. Przy którymś moim pobycie obserwowałem, jak jakaś artystka przez kilka dni przygotowywała instalację z roślin, żmudnie wtykanych między kamienne płyty placu. Jej najważniejszym elementem był wernisaż i filmowanie. To było raz, natomiast zawsze na tych schodach siedzą czarnoskórzy paryżanie różnych pokoleń oraz przygodni turyści — tacy jak ja.

Pora udać się na Montmartre. To daleka droga, można więc tu i ówdzie przysiąść: może za nowymi halami przed pięknym gotyckim kościołem Saint-Eustache, gdzie jest wiele ławek i wiele trawy. A może

na nobliwym dziedzińcu Palais Royal. Tu można żałować, że nie zabrało się ze sobą do lektury Pascala czy Kartezjusza (choć czasem *Mysli* tego pierwszego mam ze sobą), ale skoro się nie zabrało, trzeba się szybko przemieścić na Montmartre. U podnóża wzgórza, na którym usytuowana jest monumentalna bryła Bazyliki Sacré-Cœur, należy odpocząć, patrząc na jedną z kolorowych paryskich starych karuzel. Rzadko się kręci wypełniona, bo turyści spoglądają ku górze, miejscowych zaś tu niewielu. Gdy już człowiek wdrapie się wyżej i szybko przejdzie starymi uliczkami Montmartru, udającymi, że są oddane sztuce, pora gdzieś spocząć. Ja mam tu schowanych kilka ławek w zaułku, gdzie próbuje się ukryć stara, nieczynna wieża ciśnień. Tam w błogim spokoju mogę kontemplować nie tyle wyobrażenie przeszłości, jaką niedaleko stąd próbują podtrzymywać przy życiu właściciele kawiarni i sztalug z obrazkami dla turystów na Place du Tertre, ile wyobrażenie znajomych i nieznanym, którzy kiedyś tu bywali, a których ja już nigdy nie spotkam.

Potem jeszcze trochę muszę poblądzić, by odnaleźć dom Dalidy, i nieco tym zmęczony siadam, już na dole, na maleńkim skwerze, w pobliżu którego znajduje się dawna pracownia Picassa: Bateau-Lavoir. Często też schodzę nieco niżej na Place des Abbesses. Kiedyś próbowałem nawet zapamiętać drzewa rosnące przy jednym i drugim. Niestety, nie udało mi się. Pamiętam jednak twarze niektórych ludzi tam przesiadujących lub spacerujących. Może najbardziej sprzed wielu lat pamiętam starą narkomankę, ubraną z mieszaniną wytworności i wyszargania, która próbowała zebrać — pewnie na nową działkę. Pamiętam też stamtąd mło-

dego fotografa, który na prowizorycznym stoleksie eksponował przy samej ulicy udane zdjęcia z Indii. Sam byłem wtedy krótko po podróży do Indii, mogłem więc z przekonaniem wyrazić mu swoje uznanie.

Trzeba wracać do hotelu. Mimo że jestem bardzo zmęczony, dzisiaj już w Paryżu nigdzie nie przysiadę, choć jest tu jeszcze tyle cudownych miejsc — także tych które znam i lubię — na przykład schody imponującej dziewiętnastowieczną urodą Opery Garniera. Mimo że można mieć wątpliwości, czy warto tam siadać, skoro opera będzie za plecami, to jednak pokusa jest wielka. Przecież nie ma lepszego punktu obserwacyjnego do patrzenia na Wielkie Bulwary, które tu się zbiegają, tworząc majestatyczną rozetę.

Niekiedy mieszkam w centrum Paryża — na przykład w środku dzielnicy Saint-Germain-des-Prés. Wtedy mogę zburzyć ten dobrze układający się szlak wędrówek po Paryżu, by dotrzeć do moich ulubionych miejsc, po drodze znajdując wiele innych, gdzie warto przysiąść: między innymi Ogród Luksemburski. To stamtąd idę wtedy dalej, do Dzielnicy Łacińskiej. Ale z okolic Saint-Germain-des-Prés mogę też iść w innym kierunku — na przykład rue de Seine. Gdy docieram do Sekwany, często przysiadam na stopniach półkolistego Instytutu Francuskiego. Patrząc stamtąd na Luwr, znajdujący się po drugiej stronie rzeki, mam wrażenie, jakbym siedział w amfiteatrze. Zbliżam się do bulwaru nadrzecznego i na chwilę zatrzymuję przy stoiskach bukinistów. Nie żebym chciał coś kupić; raczej po to, by za darmo uchwycić nieco sentymentalnej tradycji. Dalej przechodzę Pont Neuf na kraniec Île de la Cité, gdzie choćby na chwilę przysiadam na

trójkątnym i niezwykle spokojnym, choć też bardzo dostojnym placu Dauphine.

Jeszcze dalej, już przy rue de Rivoli, siadam na skwerze obok Tour Saint-Jacques (tu już naprawdę zaczytywałem sobie *Mysli* Pascala, a bywało, że i dzienniki Ciorana). Daleko stąd nie mogę też pominąć Trocadero, by tam popatrzeć na Wieżę Eiffela i daleki Pałac Inwalidów. Schodzę w dół, mijam Place de Varsovie i wracam na drugi brzeg Sekwany. Czasem przysiadam w pobliżu Musée du quai Branly ze zbiorami sztuki egzotycznej. Zazwyczaj jednak idę dalej do Musée d'Orsay. Po zwiedzeniu muzeum lubię przysiąść na placu obok i spokojnie poukładać sobie wrażenia. Niestety, nie zawsze jest to możliwe, bo tam często coś się dzieje. Ja mam szczęście spotykać mima, który tworząc swój uliczny spektakl, lubi zaczepiać przechodzące dziewczyny. No cóż, obok Musée d'Orsay zawsze kręci się wiele ładnych dziewcząt, które oprócz urody mają pewnie także wiarę w sztukę.

Nieraz odwiedzam też dalsze miejsca. Przecież nie można pominąć dzielnicy Défense — choćby po to, by przysiąść na schodach Wielkiego Łuku i popatrzeć na znaną rzeźbę kciuka Césara, a gdy starczy sił, przejść na tyły Wielkiego Łuku, by zobaczyć równie wspaniałą, choć mniej znaną rzeźbę Igora Mitoraja. Nieraz wybieram się też w dalsze strony za Dzielnicą Łacińską: na Place Contrescarpe, który zwłaszcza wieczorami bardzo ożywa. Niestety, wtedy trudno tam znaleźć miejsce, by przysiąść. Zawsze mi się to jednak udawało — choćby na jakiejś balustradzie przy fontannie znajdującej się pośrodku placu. Dziwne, lecz jakoś nigdy nie posiadałem w niedalekim pięknym Jardin des

Plantes. Może któraś z ławek w tym parku czeka na mnie. Podobnie jak wiele innych, w różnych miejscach Paryża.

## Rzym

W Rzymie zazwyczaj mieszkam przy którejś z ulic bocznych od Via Nazionale — może najczęściej przy Via Firenze czy w okolicach Via delle Quattro Fontane. Wyjście na ruchliwą i głośną Via Nazionale jest gwałtownym zderzeniem z miastem. Już po kilku minutach można jednak przysiąść na stopniach okazałego Palazzo delle Esposizioni lub w niedalekim sąsiedztwie, przy skrytym wejściu do zagłębionego i niepozornego z zewnątrz kościoła San Vitale. Zdarzało mi się tam chować zarówno przed upałem, jak i przed deszczem.

Niedaleko, po drugiej stronie ulicy, jest jedno z najbardziej uroczych miejsc w Rzymie: Villa Aldobrandini. Jest to mała zielona oaza z antycznymi rzeźbami, usytuowana jakby na dachu wielkiej budowli, gdzie w ciszy można błogo odpocząć i gdzie z góry widać ulice i dachy Rzymu. Niestety, ostatnio, chyba wskutek okupujących to miejsce bezdomnych imigrantów, wejście tam jest często zamknięte.

Trzeba więc iść dalej Via Nazionale, potem zejść schodami, by dotrzeć do pierwszego ulubionego miejsca: skweru obok Forum Trajana. Rośnie tam kilkanaście sosen pinii dających ochłode, stare zaś marmurowe gzymsy czy rozrzucone tu i ówdzie głowice antycznych kolumn są dobrym miejscem do tego, by na nich

przysiąść. Zresztą i kamiennych ławek tam nie brakuje. Dobrze jest usiąść tak, by nie patrzeć na gigantyczny pomnik Wiktora Emanuela, ale skierować wzrok na Kolumnę Trajana i inne pozostałości budowli dawnego Forum. Las gorzej lub lepiej zachowanych kolumn staje się jakimś przedłużeniem skweru. Za Forum stoi wysoka dziewiętnastowieczna kamienica, zresztą jedna z wielu. Tam zawsze około godziny siedemnastej, osiemnastej na mały balkon drugiego piętra wychodził starszy mężczyzna w codziennym ubraniu. Tylko w soboty i niedziele ubierał się w garnitur, białą koszulę i krawat. Stał chwilę oparty o poręcz, patrzył z góry na świat, potem znikał. Zawsze trochę się zastanawiałem, jakie może być jego mieszkanie, jakie ma meble, jaką bibliotekę, obrazy na ścianach i bibeloty. Przypuszczałem, że zważywszy na miejsce, wszystko to musi być dostojne i okazałe. Nie ukrywam, że wypatrywałem go najpierw z rozbawieniem, następnie z ciekawością, potem już z bliskim zainteresowaniem, gdyż był już niemal stałym symbolem tego miejsca. Może jeszcze częściej siadam tam wieczorami. Wtedy wszystko dopełnione jest zanikającym światłem, które może się kojarzyć ze schyłkiem dawnego Rzymu — Rzymu, który wszak jako „wieczne miasto” ciągle istnieje i ma się dobrze. Może jeszcze dzisiaj uda się tu wrócić.

Teraz trzeba powoli wejść na Wzgórze Kapitołińskie — w oprawie architektonicznej tak fascynująco ukształtowanej przez Michała Anioła. Także po to, by mieć okazję do odpoczynku na którejś z kamiennych ław, stopni czy na jakimś murku. Gdziekolwiek odwrócić głowę, wszędzie jakieś atrakcje: kościół Santa Maria in Aracoeli, Palazzo dei Conservatori i Pa-

lazzo Senatorio, antyczne rzeźby Dioskurów i wielkie schody La Cordonata, także zaprojektowane przez Michała Anioła, które sprawiają wrażenie, że powoli wchodzimy do nieba. (Żeby nasze pokusy skomplikować, konkurują z nimi w tym względzie niemal równoległe schody prowadzące wysoko do kościoła Ara-coeli.) Potem z górnego poziomu Kapitolu trzeba popatrzeć na niedalekie Forum Romanum. Wracając, należy przysiąść na Piazza del Campidoglio przy Palazzo Senatorio i popatrzeć na pomnik Marka Aureliusza (a właściwie na jego kopię), na Palazzo Nuovo z prawej strony i Palazzo dei Conservatori z lewej oraz na piękną rozetę podłogi placu zaprojektowanego przez Michała Anioła. Kiedyś trudno było mi się tam skupić, gdyż młoda amatorka fotografii ubrana w „małą czarną” z takim przejęciem fotografowała, że sukienka podniosła się jej do majtek. Podkasana sukienka nie przesłoniła jednak placu. Przeciwnie: z pewnością go uatrakcyjniła.

Potem można podejść choćby na chwilę Via dei Fori Imperiali w kierunku Koloseum i Łuku Konstantyna. Tu nie siadam, chyba że przy innej okazji. Okrążając wzgórze Palatynu i przechodząc obok dawnego Circo Massimo, można przysiąść na zboczu kolejnego rzymskiego wzgórza: Awentynu. Tam, siedząc choćby w kolorowym rosarium, można z daleka patrzeć na ceglane ruiny dawnych budowli cesarskich. Lepiej jednak wstać i dotrzeć do przepięknego kościoła Santa Maria in Cosmedin. Może jednak lepiej dotrzeć tu idąc prosto od Kapitolu Via del Teatro di Marcello — ja przynajmniej wolę tę trasę, mam bowiem z lewej i prawej strony wiele wspaniałych antycznych atrakcji.

Po dojściu do kościoła Santa Maria in Cosmedin nie należy już tracić czasu na sprawdzanie rąk w „ustach prawdy”, lepiej od razu wejść do mrocznego, choć bardzo pięknego średniowiecznego wnętrza. Już czuje się zmęczenie, a więc po wyjściu z kościoła dobrze jest przysiąść w pobliżu na ławce (gdym się szczęście) na skwerku, z którego widać Cosmedin, ale też Łuk Janusa, dwie niewielkie antyczne świątynie (Herkulesa i Portunusa) oraz piękną Fontana del Tritone (jednak nie Berniniego, tylko nowszą — Bizzaccheriego). Aż wierzyć się nie chce, że kiedyś handlowano tu bydłem, dlatego miejsce to nazywane jest Foro Boario. Niedaleko jest też nabrzeże Tybru z szeregiem dorodnych platanów. Długo nie chce się stąd odchodzić — pocieszeniem jest możliwość późniejszego powrotu.

Teraz można przejść któryś z mostów na Tybrze (najlepiej przekraczając też malutką Isola Tiberina i jej dwa mosty: Fabrizio i Cestio) i dojść przed wspaniały kościół Santa Maria in Trastevere. Chwilę trzeba się pogapić na jego fasadę, a długo na jego wnętrze i wielkiej urody średniowieczne mozaiki. Potem można przysiąść na cokole wielkiej fontanny (dziele Carla Fontany). Tutaj jest wiele miejsca, bo kilka poziomów stopni otacza fontannę po ośmiokącie. Ale jest też wielu chętnych, żeby usiąść, bo w pobliżu na placu zawsze dzieje się coś ciekawego (kiedyś widziałem tu próbę amatorskiej grupy teatralnej). Zazwyczaj oprócz nielicznych turystów można tu spotkać wielu mieszkańców dzielnicy, którzy po prostu na chwilę wychodzą z domu — z psem na spacer, po zakupy czy tylko po to, by porozmawiać ze znajomymi. Mam wrażenie,

że przez długie lata ciągle dostrzegam te same znajome postacie: „hrabinę” z pekińczykiem, „artystę” z bokse-rem i „biznesmena” z wyżłem. Niezależnie od pogody „hrabina” jest ubrana w długi do kostek ciepły beżowy płaszcz, „artysta” jest w czerwonej koszuli i sandałach na bose stopy, a „biznesmen” zawsze w niebieskim garniturze. Musiał to być kiepski biznesmen, skoro jego garnitur był postrzępiony i wypłowiały. Zresztą wszyscy oni sprawiali wrażenie, że przy życiu trzyma ich południowy klimat i atmosfera ulic Trastevere.

Trzeba trochę pospacerować po Trastevere — dzielnicy, której mieszkańcy uważają się za jedyne autentycznych rzymian. Można tu przysiąść w wielu miejscach — choćby na stopniach kościoła Sant’Egidio czy, już w pobliżu Tybru, na Piazza Trilussa. Nie należy tu jednak siedzieć zbyt długo (przynajmniej nie teraz), bo trzeba pokonać dość mozolną drogę na Watykan. Gdy ma się dużo sił w zapasie, można nawet wejść na wzgórze Janikulum, a tam wiele jest miejsc, by wygodnie spocząć. Teraz idę jednak prosto wzdłuż Tybru na Watykan. Zanim wejdzie się do świątyni, dobrze jest usiąść w podcieniach gigantycznej kolumnady Berniniego. Kontemplacja całości bliska jest modlitwie, na którą pewnie już mało kto ma siły. Gdy po zwiedzeniu bazyliki jeszcze bardziej zaczyna ich brakować, trzeba ponownie przysiąść przy kolumnadzie — może teraz z drugiej strony. Pora wstać, choć nie bardzo się chce, bo jeszcze tak wiele trzeba przejść.

Od zamku Świętego Anioła przechodzi się wspinałym mostem: Ponte Sant Angelo. Samo przejście robi wrażenie, jednak po drugiej stronie Tybru, idąc dalej Via dei Coronari, spotykamy nowe atrakcje.

Nie sposób nie przysiąść gdzieś przy Piazza Navona (po chwili cierpliwego wyczekiwania zwolni się któraś z licznych kamiennych ławek). Jednak na tym placu jest tyle ciekawych perspektyw i tyle się dzieje, że po pewnym czasie szukam jakiejś wolnej ławki w innym miejscu (wolnej nie będzie; trzeba więc wczekać odpowiedniej chwili, gdy ktoś będzie wstawał i szybko zająć jego miejsce). Gdy się uda, to w ten sposób można kolejno posiedzieć przy wszystkich trzech fontannach placu, kontemplując ich zespoły rzeźb. A że są to w większości postacie ludzkie, to odchodząc, można się zastanawiać, czy pozostają one kiedykolwiek same — choćby na chwilę w nocy. Ale bywają też tutaj „żywe rzeźby”. O jednej z najciekawszych, jakie dotąd udało mi się w różnych miastach spotkać, napisałem przy innej okazji. Zresztą od lat mam tu wielu „znajomych” — głównie z branży muzycznej: starego pieśniarza *bell canto*, śpiewającą po francusku piosenkarkę w średnim wieku (nawet kiedyś kupiłem od niej płytę CD: *A passo a passo... accante a lei*, której niekiedy do dziś słucham) i młodego wirtuoza gry na akordeonie.

Szybkie przejście w poprzek Corso Vittorio Emanuele II i jestem na Campo di Fiori — placu, który ma inny charakter. Nieco mniej tu turystów, a więcej rzymian. Przychodzą na miejscowy targ (i wtedy można się im przyglądać, przysiadając na obrzeżu tamtejszej fontanny, pod którą często płuczą warzywa lub owoce, albo na cokole pomnika Giordana Bruna). Wielu też przychodzi na kieliszek wina lub na espresso. Można usiąść gdzieś pośród nich na wolnym powietrzu i wypić kieliszek martini (choć byłoby to złamanie zasady moich postojów). Zazwyczaj też gra tu mniej lub bar-

dziej poczciwie pewnie ciągle ta sama wędrowna miejska jazzująca kapela. Najlepiej zapamiętałem jej młodego szefa i jednocześnie zupełnie niezłego saksofonistę, który pewnie już teraz nie jest młody, lecz na saksofonie musi grać jeszcze lepiej niż kiedyś.

Z Campo di Fiori można szybko dojść do Piazza Mattei (z przepiękną fontanną delle Tartarughe) — ale tam nie ma gdzie przysiąść, choć jest na co patrzeć. Tymczasem pora odwiedzić kolejne miejsca, o których się myśli, że wyczekują nas z tęsknotą.

Po ponownym przekroczeniu Corso Vittorio Emanuele II (przedtem zatrzymuję się przy sporym fragmencie antycznych wykopalisk — Largo di Torre Argentina — który tu stwarza niezwykłą atmosferę) docieram do Panteonu. Jeszcze trochę wysiłku, by z niedowierzaniem przyjrzeć się jego gigantycznemu wnętrzu, i siadam na stopniach fontanny, którą zwieńcza egipski obelisk. Piazza della Rotonda jest serdeczny i chce się tu długo siedzieć, a przecież niedaleko jest kolejny egipski obelisk — tym razem surrealistycznie umieszczony przez Berniniego na grzbiecie słonia. Siadam więc na stopniach kościoła Santa Maria sopra Minerva i nieśpiesznie wpatruję się w spokojny zazwyczaj Piazza della Minerva, zdumiewającą rzeźbę Berniniego i imponujący tył Panteonu. Tu mniej turystów, a więcej samych rzymian, choć nigdy nie jest tłumnie. Sporo tu dzieci przyprowadzanych przez rodziców, by pobawiły się z przygodnymi rówieśnikami. Przypatrując się dłużej życiu na tym placu, można się też domyślić wielu tajemniczych ludzkich spraw, które niekiedy wychodzą spoza pozorów zwykłych zachowań. Ale to też temat na inną okazję.

Parę kroków starymi uliczkami i dochodzi się do Via del Corso. Jest zbyt zatłoczone i hałaśliwe, więc szybko należy je przejść, by znaleźć się w jednym z najbardziej mitycznych miejsc Rzymu: przy fontannie di Trevi. Tu zazwyczaj jest bardzo wielu ludzi, ale jest też wiele kamiennych ław i stopni, tak więc zawsze znajdzie się gdzieś wolne miejsce. Siedząc, można myśleć o wieży Babel, którą słyszać w słowach turystów, o *Stodkim życiu* Federica Felliniego, a przede wszystkim o kąpeli Anity Ekberg, której przed wejściem do fontanny nie wstrzymał nawet sceptycyzm Mastroianniego. Ale to była samotna noc, a teraz jest bardzo późne popołudnie, pora więc podejść do kolejnego miejsca. Zresztą o fontannie trudno będzie zapomnieć. Może najtrudniej tym, którzy pewnego roku trafili na jej remont. Ich wyobrażenia zderzyły się z rusztowaniami i suchym basenem.

Na Schodach Hiszpańskich można siedzieć w nieskończoność — zarówno wtedy, kiedy kwitną tam w wielkich donicach azalie, jak i wtedy, kiedy jest tam bożonarodzeniowa szopka, a także wtedy, kiedy one same są atrakcją. Zresztą może wtedy najlepiej. Do tego zawsze jest pokusa i zawsze jest jakieś miejsce. Można się nawet zastanawiać, czy zostały one stworzone do wchodzenia i schodzenia czy właśnie do siedzenia i patrzenia. A patrzeć można na ludzi, na kolejną fontannę Berniniego — della Barcaccia — na szeroko otwierającą się Via Condotti z wyszukаныmi sklepami. Gdy jeszcze ma się nieco sił, to także na znajdujący się za plecami na górze kościół Trinita dei Monti. Może jednak najbardziej atrakcyjne jest samo siedzenie, dlatego trwa się tu aż do zapomnienia. I tyl-

ko przeszkadzają coraz bardziej natrętni i coraz liczniejsi śniadzi sprzedawcy kwiatów, tandetnej biżuterii czy innych kiepskich gadżetów, nieustannie krążący po Schodach.

Trzeba jeszcze podejść na Piazza del Popolo (choćby po to, by zobaczyć w kościele tego imienia dwa obrazy Caravaggia). Polubiłem ten plac, zanim zobaczyłem Rzym. Piękny obraz Aleksandra Gierymskiego przedstawia to miejsce w czerwonym zachodzącym (a może wschodzącym?) słońcu i pamięć o nim, choć nie tylko ona, ciągle mnie tutaj wabi. Na samym placu można przysiąść na którejś z bocznych kamiennych ław albo u podnóża fontanny z kolejnym egipskim obeliskiem. Wtedy można obracać się w koło i ze wszystkich stron oglądać ten niezwykły, ogromny plac. Często są tu jakieś imprezy publiczne — w końcu to „plac ludowy”. Umówmy się jednak, że dzisiaj jest tu spokojnie.

Z Piazza del Popolo łatwo wejść w górę po bocznych kamiennych schodach, aby spocząć wśród zieleni na wzgórzu Pincio. Jednak jest już ciemno, trzeba się więc zebrać i wracać do hotelu. Można po drodze odpocząć albo przy Piazza di San Silvestro albo jeszcze raz przysiąść na Schodach Hiszpańskich lub przy fontannie di Trevi, choć ciągle pełno tu ludzi. Można też jeszcze podejść do Piazza Barberini, by obejrzeć dwie kolejne fontanny Berniniego. Tu jednak nie bardzo jest gdzie przysiąść. Czasem kusi też, by przejść się Via Veneto, która w tym miejscu się zaczyna.

Nie wiem jednak, po co wchodzę, gdy jestem w Rzymie, na Via Veneto. To ulica odpychająco bogatych hoteli i restauracji, które odstraszaają cenami

i nazwami. Idę tam może przez sentyment dla *Stodkiego życia* Felliniego, może po to, by dojść do Largo jego imienia przy Murach Aureliana, odgradzających Via Veneto od Ogródów Borghese, może dla samych tych murów i Porta Pinciana. Tam siadam na którejś z wielu ławek w otoczeniu zieleni. Potem szybko wracam, tym szybciej, że droga powrotna biegnie nieco w dół. Mijam blichtr i miejsca, które nie zostały stworzone dla mnie. Bo przecież nie dla mnie siedziała tam kiedyś w kawiarnianym ogródku przy pięciogwiazdkowym hotelu Majestic bogato ubrana pani w niemłodym wieku z dwoma może dwudziestoletnimi młodzieńcami. Nie wiem o czym mogli rozmawiać — wiem tylko, że popijali martini. Zapamiętałem ich, gdyż tak wyzywająco się zachowywali, że nie sprawiali wrażenia ciotki z siostrzeńcami. Już chętniej porozmawiałbym o czymś z hipstersko ubranym starszym „literatem”, który popijając kawę siedział kiedyś na narożniku via Veneto blisko placu i coś skrzętnie notował w wytwornym notesie, choć oczywiście nie wiem, co, w jakim języku. Trochę się dziwiłem, że usiadł w tak niewygodnym miejscu. Może to, że potrącali go przechodnie, nie było tak ważne, jak to, że go widzieli. A może chciał po prostu obserwować życie tego pięknego placu. Myślę jednak, że po prostu czegoś mu zazdrościłem.

Zatrzymuję się dłużej na Piazza Barberini, który nie wiem dlaczego bardzo lubię. Ale przecież wiem: lubię go dla dwóch wspaniałych fontann Berniniego: *Tritone* i *Api*. Ta druga to pszczoła — element herbu Barberinich — którą Bernini upozował na motyla. Jego rozwarte skrzydła sprawiają wrażenie jakiegoś oł-

tarza, który zaprasza do modlitwy. Jest w Rzymie wiele cudownych fontann tego rzeźbiarza: i ta na Piazza Navona i ta na dziedzińcu przed Bazyliką Świętego Piotra w Watykanie. Jest też wiele innych wspaniałych rzeźb — jak choćby *Ekstaza świętej Teresy* w kościele Santa Maria Della Vittoria czy *Błogosławiona Ludovica Albertoni* w kościele San Francesco a Ripa. Bardzo mi się podobają, lecz ja i tak najbardziej lubię tę skromną pszczołę. Długo nie rozumiałem, dlaczego lubię tu przychodzić i dlaczego przypomina mi się w tym miejscu czas mojego dzieciństwa. Także ogród, w którym wtedy żyłem, ogród w którym była pasieka. Przecież dorastałem przy pszczołach, a teraz ich nie mam, może więc dlatego lubię wracać do tej pięknej rzeźby Berniniego na rzymskim placu. I do pamięci o nich.

Trzeba już poczłapać w kierunku hotelu, mijając po drodze skrzyżowanie czterech fontann (ale tu tym bardziej nie ma miejsca, by usiąść). Jeżeli starczy sił i jest piękny wieczór, to można jeszcze podejść na ruchliwy i wielki Piazza Repubblica. To tam kiedyś wysiadła z miejskiego autobusu kloszardka recytująca poezję głosem uderzająco podobnym do głosu Meryl Streep. To tam kiedyś zajechała czerwonym ferrari dziewczyna w żółtej sukni i w butach o tak wysokich obcasach, że zastanawiałem się, jak może w nich prowadzić sportowe auto. Siedząc na schodach Esedry, można się pogapić na dorodne najady kąpiące się w tamtejszej fontannie, a jeszcze lepiej na pięknie podświetloną fasadę fascynującego kościoła Santa Maria degli Angeli, który Michał Anioł swoiście wysupłał z antycznych term Dioklecjana.

Gdy jest jeszcze dość wcześnie, zachodzę do muzeum Term Dioklecjana. I nie zawsze po to, by spacerować po jego wnętrzach. Raczej po to, by zajść na wspaniałą, zaprojektowaną przez Michała Anioła dziedziniec, na którym jest wielkie lapidarium rzeźb antycznych. Jak to w lapidarium, można tam dostrzec wiele ich odłamków — w tym wiele kamiennych stóp. Można się zastanowić, czy ich odpoczynek tutaj też nie wynika ze zmęczenia. Wracając nie chce się już siadać w pobliżu Piazza dei Cinquecento w pobliżu dworca kolejowego — Stazione Termini. Nie chce się, gdyż, po pierwsze nie jest tam zbyt czysto. Po drugie dworzec nasuwałby myśli o odjeździe z Rzymu, a przecież na to jeszcze nie mam ochoty.

Ile miejsc trzeba było opuścić, by ten bardzo długi umowny spacer zmieścić w jednym dniu. A przecież na wiele z tych miejsc chciałoby się jeszcze popatrzeć w nocy. Trzeba więc chwilę odpocząć w hotelu, i w drogę. Przecież czeka jeszcze Giardini del Quirinale. Nie, nie czeka, gdyż już jest wieczór i park został zamknięty. No to należy podejść na rozległą Piazza del Quirinale i tam spojrzeć na rzeźby antycznych bliźniaków Kastora i Polluksa, a przede wszystkim z wzniesienia popatrzeć na wieczorny Rzym. Mamy szczęście, więc jeszcze czeka nas parada i występ orkiestry wojskowej. Jednak i ona cichnie. Teraz możemy już pójść dokądkolwiek: na Piazza della Pilotta, na Piazza dei Santi Apostoli, na plac przed Tempo di Adriano czy — tak, jak było umówione — ponownie na skwer obok term Trajana. I zacząć wędrówkę od nowa.



To były postoje w miastach, które dobrze znam i po których chodziłem po wielokroć i w różnych ich miejscach przesiadywałem. Kiedyś może też myślałem, by w trakcie tych spacerów, między poszczególnymi postojami znaleźć miejsce na dłuższy pobyt — na zamieszkanie w którymś z tych miast. Teraz już wiem, że nie jest to możliwe.

Wybrałem te dwa miasta, gdyż dla mnie — prowincjusza z pochodzenia — były one symbolem otwarcia, wyjścia w świat, wyrazem mojego podróznego zawłaszczenia. Mógłbym jeszcze takie mapy postojów wyrysować w kilku innych miastach, w których bywałem, choć już nie tak często. Florencja, Wenecja, Siena, Barcelona czy Lizbona były równie gościnne i równie przychylne temu, by znajdować w nich czułe punkty. Jednak niech pozostaną zapisane jedynie w mapach mojej pamięci.

## *Podróże artystów*

Obiegowe powiedzenie, że „podróże kształcą”, jest szczególnie trafne w odniesieniu do różnych dziedzin sztuki\*. Nie da się jej poznać bez osobistego kontaktu z tym, co wytworzono w innych epokach i w innych regionach świata. Nawet wówczas, gdy podróż nie jest szczególnie ukierunkowana i nie ma specjalistycznego charakteru, wynosi się z niej wiele. Bezpośredni kontakt z ludźmi, z dziełami architektury, z obcym pejzażem, ze świątyniami i pałacami, a przede wszystkim ze zbiorami muzealnymi zastępuje, a przynajmniej uzupełnia wiedzę uzyskaną dzięki lekturze. Dotyczy to zwłaszcza artystów.

Choć oczywiście podróżowali artyści uprawiający różne dziedziny sztuki — pisarze, muzycy i kompozytorzy, aktorzy, artyści plastycy — to uwagę tutaj koncentruję na tych ostatnich. I jeszcze jedna

\*Tekst ten jest nieco zmienioną wersją artykułu opublikowanego w pracy zbiorowej pt. *W kręgu humanistycznej refleksji nad turystyką kulturową* pod red. Marka Kazimierczaka (WN AWF, Poznań 2008).

sprawa: podróż jest tu rozumiana szeroko: od kilkudniowej wycieczki po kilkuletni pobyt, na długo zmieniający wszystkie elementy życia codziennego podróżnika. Bertel Thorvaldsen miał powiedzieć, że dopiero po dwudziestoletnim pobycie w Rzymie jako tako poznał jego zabytki. Tak czy inaczej, jest wiele racji w wymownych i może nieco podniosłych słowach Alphonse'a de Lamartine'a, które zapisał w 1832 roku w *Podróży na Wschód*: „Podróżować to pomnażać przybyciem i odjazdem, przyjemnością i pożegnaniem doznania, które nader rzadko następuje nam życie osiadłe; to doświadczać stokrotnie w jednym roku tego, czego doświadczamy w życiu zwykłym [...]. Podróżować to przeżyć długie życie zaledwie w lat kilka; to jedno z najtrudniejszych ćwiczeń, jakiemu człowiek może poddać swoje serce, jak i swój umysł. Filozof, polityk, poeta powinni wiele podróżować. Zmieniać widnokrąg moralny to zmieniać myśl”.

Przywołana wypowiedź przypomina, że pewnie najbardziej znane są podróże pisarzy, a pozostawione przez nich opisy stały się swoistym gatunkiem literackim. *Podróż włoska* Johanna W. Goethego, *Opis podróży z Paryża do Jerozolimy* François-René de Chateaubrianda, *Notatki z podróży do Ameryki* Karola Dickensa, *Podróż do Hiszpanii* Teofila Gautiera, *Ren* Wiktora Hugo, *Kartki z podróży* oraz *Wspomnienia Odesy*, *Jedysanu i Budżaku* Józefa Ignacego Kraszewskiego czy *Podróże do Włoch* Jarosława Iwaszkiewicza lub *Barbarzyńca w ogrodzie* Zbigniewa Herberta — to jedynie wybrane, choć może najgłośniejsze przykłady. Podróże pisarzy zazwyczaj owocują

opisami literackimi, podróże innych twórców — nie zawsze.

Podróż artystyczną można uznać za odrębny typ wyjazdu. Odrębny ze względu na uwarunkowania, charakter i skutki. W dziejach sztuki europejskiej znane są klasyczne już bez mała podróże artystów: Albrechta Dürera do Wenecji, Diego Velázqueza i Nicolasa Poussina do Rzymu, Eugène'a Delacroix do Maroka czy Paula Gauguina do Pont Aven, na Martynikę oraz na Tahiti, Paula Klee do Tunezji i wiele innych. Po podróżach artystów pozostały również opisy (choć nie tak częste i nie tak znane, jak po podróżach literackich), przekazane obszernie bądź zdawkowo w ich wspomnieniach, pamiętnikach czy dziennikach — z których chyba najdawniejszy jest *Żywot własny* Benvenuto Celliniego z połowy XVI wieku. Także Albrecht Dürer pozostawił interesujące spostrzeżenia w *Dziennikach podróży do Niderlandów* (choćby zachwyty po obejrzeniu w Brukseli wystawy wytworów sztuki przywiezionych królowi hiszpańskiemu przez Hernána Corteza z Meksyku). Co dziwne, tak ważna pod względem artystycznym dla Eugène'a Delacroix jego podróż do Maroka w 1832 roku nie pozostawiła ciekawszych refleksji w jego systematycznie prowadzonym przez lata dzienniku. Ot, są tam informacje o spotkaniach z miejscowymi notablami, o ich ubiorze, o wyglądzie pomieszczeń, lecz brak jakichkolwiek artystycznych uwag, odniesień czy wrażeń. Te na szczęście zachowały się w rysunkach i szkicach.

Zwróćmy uwagę na edukacyjną rolę podróży artystów, koncentrując się przede wszystkim na artystach polskich.

Nauczanie sztuki prowadzone było i jest w różnych formach: w warsztatach cechowych, w pracowniach przyklasztornych, w akademiach sztuki oraz w innych uczelniach artystycznych. W jednych formach bardziej zwracano uwagę na umiejętności wykonawcze, w drugich, zwłaszcza w akademiach, nie zaniedbywano też elementów wykształcenia filozoficznego czy szerzej — humanistycznego. Zajęcia w pracowniach rysunku, malarstwa czy rzeźby dopełniane były wykładami z historii kultury, z historii filozofii, z estetyki.

Elementy humanistycznego wykształcenia artysty są niezbędne w każdym procesie tworzenia. Przenikają one do osobowości najpełniej wtedy, kiedy bezpośrednio doznania łączą się z zaangażowaniem emocjonalnym, a temu wszystkiemu towarzyszy oderwanie się od rutyny i codzienności — czyli między innymi w podróży. Może właśnie wtedy poznawanie jest najbardziej otwarte na świat zewnętrzny, na innych ludzi. Stanisław Witkiewicz pisał w liście do syna wybierającego się w podróż w 1904 roku: „To, czego się możesz w tej podróży nauczyć, jest to właśnie to, czego Ci brak — nauczyć się o człowieku”. W podróży pojawia się większa możliwość relatywizacji wytworów kultury, a tym samym większa umiejętność dokonywania własnych wyborów i określania własnego stosunku do wartości artystycznych i estetycznych — co nie jest bez znaczenia w procesie tworzenia, gdy konkurują wiele tendencji i postaw artystycznych. Podróż sprawia, że ów wybór i weryfikacja dokonują się nie na podstawie pośredniej wiedzy o takich czy innych wytworach kultury, ale właśnie na podstawie osobistych doznań i przeżyć.

Choć podróże artystów-malarzy nie zostały tak spopularyzowane, jak podróże literackie, to jednak ich skutki artystyczne są równie ewidentne, jak efekty podróży pisarzy. Wszak pozostały obrazy malowane w pejzażu Włoch, Grecji, Hiszpanii, Maroka, Dalekiego Wschodu czy Polinezji.

Ułatwienie odbywania podróży w drugiej połowie XIX wieku dzięki rozwojowi kolei żelaznych i inne czynniki (takie choćby, jak rozwój hotelarstwa i komunikacji pocztowej) sprawiły, że liczba i częstotliwość podróży nasiliły się, a zakres przestrzenny rozszerzył. Brak rozwiniętego szkolnictwa artystycznego na ziemiach polskich i niewielka liczba zbiorów muzealnych, nadto brak znaczącego mecenatu ze strony nabywców w Polsce, a także brak bardziej rozwiniętych środowisk artystycznych w naszym kraju stanowiły dodatkowe impulsy do poszukiwania tego wszystkiego gdzie indziej. Nie bez znaczenia był też czynnik klimatyczny: wielu artystów uznawało, że im dalej na południe, tym lepsze są warunki do uprawiania sztuki, wynikające z nasłonecznienia i ukształtowania pejzażu.

Przypomnijmy, że ten ostatni czynnik został wyraźnie zdyskredytowany w powieści *Nad Niemnem* Elizy Orzeszkowej, która w osobie Andrzejowej Korczyńskiej — matki malarza Zygmunta — przekonywała, że także na północy, w tym wypadku na ówczesnej Litwie, są dobre społeczne, klimatyczne i pejzażowe warunki do uprawiania malarstwa. Jest to wypowiedź na tyle ciekawa, przedstawiająca przy tym istotne dylematy dotyczące wyjazdu polskiego artysty za granicę, że warto ją przytoczyć: „Czyż dusza artysty [...] musi koniecznie być tylko motylem na swawolnych

i niestałych skrzydłach przelatującym z róży na różę? Czy tu ziemia nic nie rodzi? czy tu słońce nie świeci? czy tu królestwo trupów? że żadnego błysku piękna i życia dokoła siebie znaleźć nie możesz?... że nic cię zachwyceniem czy bólem, miłością czy oburzeniem wstrząsnąć i natchnąć nie może? [...] A ja marzyłam, że tu właśnie, w otoczeniu rodzinnej natury, wśród ludzi najbliższych ci na świecie, twórcze zdolności twoje najpotężniej w tobie przemówią... że raczej tu właśnie najpotężniej przemawiać do nich będzie każda roślina i każda twarz ludzka, każde światło i każdy cień... że właśnie soki tej ziemi, z której i ty powstałeś, jej łyż i wdzięki, jej słodocze i trucizny najłatwiej wzbiją się ku twojej duszy i najpotężniej ją zapłodnią”.

No i jeszcze jedno: dla wielu pokoleń polskich twórców częstym, niestety, motywem wyjazdów była konieczność emigracyjna, a właściwie uchodźstwo polityczne. Obce władze podczas zaborów czy okupacji groziły niepokornym artystom cenzurą, zsyłkami, a nawet długoletnim więzieniem.

Tak więc jeździli polscy artyści do Rzymu (między innymi Aleksander Gierymski, Julian Karczewski, Antoni Kokular, Jan Maszkowski, Juliusz Miszewski, Franciszek Smuglewicz, Wojciech K. Stattler, Józef Siemiradzki, Jakub Tatarkiewicz). Jeździli do Monachium (między innymi Józef Brandt, Alfred Wierusz-Kowalski, Maksymilian Gierymski czy Władysław Czachórski). Polscy artyści jeździli też na krócej lub dłużej do Paryża (między innymi Anna Bilińska, Olga Boznańska, Józef Chełmoński, Antoni Oleszczyński, Jan Rosen, Józef Szermentowski, Stanisław Wyspiański). Później — już w XX wieku — wyjeżdżali do

Paryża polscy malarze koloryści tworzący grupę tzw. kapistów, z Władysławem Pankiewiczem na czele (Jan Cybis, Józef Czapski, Artur Nacht-Samborski, Zygmunt Waliszewski) oraz polsko-żydowscy twórcy zaliczani do międzynarodowego środowiska tzw. École de Paris (na przykład Zygmunt Menkes, Mojżesz Kisling, Mela Muter czy Roman Kramsztyk), a także malarze nie zrzeszeni podczas wyjazdu w żadnym ugrupowaniu (na przykład Bolesław Biegas, Eugeniusz Geppert, Zygmunt Kamiński, Tymon Niesiołowski czy Aleksander Rafałowski).

Należy dodać, że dla wielu polskich artystów nie były to wyjazdy epizodyczne — wielu z nich zmarło na obczyźnie, marząc o powrocie do Kraju (na przykład bracia Gierymscy, z których Maksymilian jest pochowany pod Monachium, a Aleksander w Rzymie na cmentarzu Campo Verano). Inni zdecydowali się na stałe zamieszkanie za granicą (na przykład Anna Bielińska czy Józef Szermentowski). Jednak większość artystów, po krótszym czy dłuższym wyjeździe, wracała do kraju, zazwyczaj pozostawiając mniej czy bardziej istotne dzieła w polskiej kulturze artystycznej.

Oto kilka wspomnień polskich twórców, które utrwalają zachwyty nad odwiedzionymi miastami, a jednocześnie podkreślają kształcącą rolę tych odwiedzin:

W Rzymie „dowiadując się, ile jest bogactw i źródeł nauki, nie wątpiłem, że wybrnę z chaosu sztuki, że przejrzę, że prędko uformuję się na malarza i wrócę do kraju” (pisał Wojciech K. Stattler w *Pamiętniku*).

W Wenecji „zabawiłem dwa tygodnie, po całych dniach rysując, oglądając i studiując cuda tego bajecz-

nego miasta” (pisał Stanisław Wyspiański w *Autobiografii*).

W Monachium: „Otóż i jestem u celu moich dążeń tymczasowych, w owych Atenach dzisiejszej sztuki, tyle osławionych przez podróżujących artystów i amatorów. Wszędy, dokąd okiem rzucić, widać wybitne piętna tego charakterystycznego grodu; wszystko tutaj tchnie sztuką i żyje z nią w najściślejszych stosunkach” (pisał Maksymilian Gierymski w liście).

Bodaj najwięcej adoracji ofiarowano Paryżowi, bo też i to miasto przez całe stulecie 1850–1950 (a w pewnym stopniu i po dziś dzień) inspirowało artystów z niemal całego świata, samo będąc środowiskiem wielkiej aktywności twórczej. Nie sposób tutaj rozważać przyczyn kulturowych, gospodarczych i politycznych, które sprawiły, że Paryż tę niezwykłą rolę pełnił. Wspomnijmy więc tylko, że odgrywała tu rolę wcześnie, bo już w 1648 roku, powstała francuska Królewska Akademia Malarstwa i Rzeźby (*Académie Royale de Peinture et de Sculpture*), wiele prywatnych szkół artystycznych (na przykład tzw. *Académie Ranson* czy *Académie Colarossi*), liczne muzea oraz sezonowe wystawy sztuki (na przykład *Salon Jesienny* czy *Salon Odrzuconych*), setki galerii sprzedażnych, duże zainteresowanie sztuką mieszczaństwa paryskiego oraz powstałe w tych warunkach liczne i różnorodne międzynarodowe środowisko artystyczne, grupujące twórców przybyłych z wielu krajów — twórców, którzy w Paryżu dobrze się czuli i mieli niezłe warunki do uprawiania sztuki (na przykład dostęp do stosunkowo tanich pracowni). Należy dodać, że dla polskich artystów okresu międzywojennego istotną okolicznością ułatwiającą

podjęcie decyzji o wyjeździe do Paryża (ale też i innych miejsc poza krajem) był mocny ówczesny złoty polski. Okazywało się, że często taniej było utrzymać się za granicą niż w kraju, co przy zazwyczaj niewielkich dochodach artystów było ważnym argumentem.

Wielu artystów traktowało Paryż jak swoistą „mekkę”, którą trzeba odwiedzić, a nawet jakiś czas w niej mieszkać, studiować i tworzyć. Oto kilka wypowiedzi:

„Piłem Paryż pełną piersią” (pisał Jan Rosen we *Wspomnieniach*).

„Uczyć się w Paryżu? We wspaniałym, pięknym Paryżu, stolicy świata kipiącej ruchem, urokiem, wszelkimi ponętami życia, mieście o starej tradycji, kulturze artystycznej i czarującego i czarodziejskiego malarstwa [...] cóż mogłoby być bardziej nęcącego” (pisał Zygmunt Kamiński w *Dziejach życia w pogoni za sztuką*).

„Poznać muszę Paryż — ulice, uliczki, kawiarnie. [...] Poprzez francuską ulicę do sztuki” (pisał Aleksander Rafałowski we wspomnieniach *I spoza palety*).

Paryż „po prostu wziął mnie z miejsca swoim urokiem i jakimś zmysłowym czarem. Ulica, ruch, ludzie, szyk kobiet, wystawy, architektura, kamienne mosty, Notre Dame, Sainte-Chapelle, Palais de Justice, Louvre, łuki triumfalne, ciasne stare uliczki, szerokie bulwary, Sekwana w swoim białym obramowaniu, wciąż nowe widoki raz zwieńczone Placem Gwiazdy, to znów bazyliką Sacré-Cœur i ten kolor srebrno-biało-błękitny. Wracałem do Paryża parokrotnie, mieszkałem tam przez parę lat, ale zawsze, za każdym nawrotem doznaję tego uczucia radości, że znowu będę oddychał tym samym powietrzem, że to znów moje i bezwolnie pod-

dają się czarowi. Tak było wtedy i tak jest nadal. [...] podwaliny pod moje malarskie myślenie dał mi tylko i jedynie Paryż” (pisał Eugeniusz Geppert we wspomnieniach *Przeszłość daleka i bliska*).

Można by znaleźć podobne opisy wrażeń wyniesionych z Wiednia, Pragi, Brukseli i zewsząd, gdzie podróżowali artyści. W tym kontekście należy jeszcze przywołać Kraków — zwłaszcza ten z przełomu XIX i XX wieku. „Gdy wspominam te czasy, to myślę, że pobyt w tym okresie w Krakowskiej Akademii mógłbym uważać za stracony, gdyby nie atmosfera całego miasta. Bujność ówczesnego życia była wywołana z jednej strony świetną oprawą architektoniczną, wytwarzającą szczególny nastrój, z drugiej strony prześladowaniami polskiego życia kulturalnego w Warszawie, Wilnie i Poznaniu oraz ucieczką z tych środowisk wszystkich wolnych duchów do Krakowa. [...] Wszyscy ci ludzie tworzyli w ówczesnym Krakowie tę zadziwiającą atmosferę, która zmuszała każdego do głębszego zastanowienia się nad sobą” (pisał Jan Skotnicki we wspomnieniach *Przy sztalugach i przy biurku*).

Przede wszystkim muzea są tymi miejscami, w których artysta może nauczyć się najwięcej. Twierdzi się nieraz, że powstanie wielu muzeów europejskich przyczyniło się między innymi do zdemokratyzowania kontaktu ze sztuką i jej poznawania. Wcześniej, chcąc poznać antyczne rzeźby czy obrazy różnych szkół włoskich czy też wytwory kultury odległych cywilizacji, trzeba było podróżować do Grecji czy Italii, nie mówiąc już o Egipcie, Bliskim Wschodzie lub Chinach. Niezależnie od tego, że większość europejskich muzeów także powstała dzięki podróżom ówczesnych

archeologów i historyków wspieranych imperialną polityką ich państw, należy dostrzec, że wraz z upowszechnieniem muzeów dzieła innych kultur i cywilizacji rozprzestrzeniły się po całej Europie. Oczywiście nie zastąpiły one podróży, lecz jeszcze bardziej je uatrakcyjniły. I znowu, tak jak w przypadku wspomnień o zwiedzanych miastach, znajdujemy wiele ciepłych słów wypowiedzianych o głośnych muzeach sztuki w różnych krajach.

Oto kilka przykładowych wspomnień dotyczących Luwru:

„Jak ci ludzie nie mają się wcześniej kształcić, nie mają nabierać tej rzutkości myśli, nie mają sobie wyrabiać dowcipu i gustu — uczyć się prawie bezwiednie czcić piękno — jeśli ich szkołą jest taki Louvre i masa innych galerii” (pisał Stanisław Wyspiański w liście do przyjaciela).

„W Louvrze (sic!) za to siedziałem sobie dziś długo, mają rację ci malarze, co tam czerpią wiedzę” (pisał Wojciech Kossak w liście do żony).

„Wiedza moja o malarstwie z każdym dniem stawała się pełniejsza, bogatsza — Luwr naświetlał mnie swymi arcydziełami. Każde przedpołudnie spędzałem w galerii” (pisał Tymon Niesiołowski we *Wspomnieniach*).

„Do Luwru chodziłem codziennie jak do szkoły” (pisał Marek Żuławski we wspomnieniach *Studium do autoportretu*).

Prawie każdy artysta współczesny może zawdzięczać tyle samo obrazom Leonarda da Vinci, Rembrandta, Paula Gauguina czy Pabla Picassa oglądanym w muzeum, co wskazówkom własnego mistrza, z któ-

rym miał kontakt w szkole czy Akademii. Niekiedy nawet ten wpływ pośredni może być głębszy od bezpośredniego. Zmieniają się ekspozycje muzealne, zmieniają się dawni mistrzowie, których chciałoby się podpatrzeć, zmieniają się upodobania i wartości artystyczne — tylko przynajmniej od dwóch stuleci nie zmniejsza się edukacyjna rola muzeów sztuki. Trudno się więc dziwić, że artyści różnych generacji wprost wpijali się wzrokiem w wybrane dzieła sztuki eksponowane w takich czy innych muzeach, że spędzali w nich wiele godzin i dni, analizując i kontemplując każdy szczegół, że gdy mieli ku temu warunki, wracali wielokrotnie do poszczególnych dzieł czy sal. I dotyczy to zarówno muzeów gromadzących dawne wytwory sztuki (takich jak choćby często tu wspomniany Luwr w Paryżu czy National Gallery w Londynie), jak i zbiorów sztuki współczesnej (na przykład w Centrum Pompidou w Paryżu czy Museum of Modern Art w Nowym Jorku).

Choć obecnie edycje albumów z reprodukcjami (w tym albumów odnoszących się do konkretnych muzeów), a także filmy telewizyjne i filmy na DVD oraz wirtualne zasoby Internetu nieco złagodziły głód podróży realnych, te ciągle pozostają jednak marzeniem wielu artystów. Niektórzy artyści uprawiający sztukę współczesną (na przykład instalacje), chcąc zorientować się w najnowszych trendach, odwiedzają kolejne edycje Biennale Sztuki w Wenecji czy Documenta w Cassel, dokąd przez uczelnie artystyczne czy związki twórcze organizowane są nawet specjalne wycieczki.

Twórczość wymaga motywacji, wymaga bodźców, których w życiu codziennym może brakować. Tak

więc podróże, odrywając od rutyny, dodają energii i zapału do pracy, inspirują, pobudzają do aktywności intelektualnej, do poszukiwań. Podróże skłaniają do refleksji nad tym, co się widzi, ale też — a może przede wszystkim — nad samym sobą. Własne myśli i odczucia, własne plany i marzenia, własne nadzieje i tęsknoty nabierają w innym kontekście nowego życia. Wszystko to może się stać istotnym i autentycznym impulsem do aktywności twórczej. Oto, co pisze na ten temat Eugeniusz Geppert we wspomnieniach z podróży i działalności artystycznej *Przeszłość daleka i bliska*: „O ile mogę sądzić o sobie samym, wyjazdy [...] — co wciąż podkreślam i zaznaczam — były dla mnie w konsekwencji bardzo owocne. Jak gdyby odżyłem na nowo i nabrałem sił, odzyskałem świeżość spojrzenia, swobodę decyzji oraz odwagę realizacji, byłem innym, a przecież pozostałem sobą”. Można te słowa traktować jako podsumowanie.

Specjalny charakter mają podróże w poszukiwaniu interesującego pejzażu. Artyści uprawiający malarstwo sztalugowe stosunkowo późno, bo dopiero na początku XIX wieku, zaczęli opuszczać pracownie, by malować czy choćby rysować i szkicować w autentycznym środowisku miejskim czy naturalnym. To z konieczności łączyło się z podróżami. Interesujące motywy znajdowano, malując ulice i zaułki, kościoły i pałace Rzymu i Paryża, Wenecji i Krakowa. Jednak dopiero poszukiwanie pejzażu pozamiejskiego przyczyniło się do wyjazdów na szerszą skalę. Można tu wtrącić, że niektóre z nich (na przykład podróże Davida Robertsa w la-

tach trzydziestych XIX wieku do Egiptu i Palestyny) przyczyniły się do powstania pierwszych dokładniejszych dokumentacji ikonograficznych pewnych miejsc. Przed wynalezieniem i upowszechnieniem fotografii to właśnie rysunki i akwarele czy tworzone na ich podstawie staloryty i litografie były pierwszym sposobem ilustrowania — także w druku — pewnych, nieraz odległych i egzotycznych miejsc. Wszystko to zawdzięczamy oczywiście podróżującym artystom, ale też podróżnikom uprawiającym twórczość amatorsko. Przypomnijmy, że wszak wykształcenie dziewiętnastowieczne obejmowało też opanowanie umiejętności rysowania i malowania na przynajmniej elementarnym poziomie (umiejętności takie przejawiał choćby Johann Wolfgang Goethe podczas swej włoskiej eskapady). Wróćmy jednak do sztuki traktowanej bardziej profesjonalnie.

Jest w Europie kilka miejscowości (i związanych z nimi regionów), które stały się szczególnie ważnymi celami podróży artystów. Należy tu dla przykładu wymienić Barbizon koło Fontainebleau, gdzie w połowie XIX wieku zaczęły się pojawiać pierwsze idee impresjonizmu, zainicjowane między innymi przez przyjeżdżającego tam Théodore'a Rousseau i innych artystów. Także Pont Aven w Bretanii, gdzie w latach 1885–1895 malarze skupieni wokół Paula Gauguina, a wśród nich między innymi Władysław Ślewiński, zaczęli swoiście przełamywać impresjonizm, proponując nowy styl, zwany syntetyzmem. Można również wspomnieć o Arles w Prowansji, gdzie Vincent van Gogh heroicznie wcielał elementy ekspresyjne do swoich obrazów pejzażowych.

Nie od rzeczy będzie tu wspomnieć o artystycznych wyjazdach do polskich miejscowości. Szczególne miejsce zajmowało Zakopane (które już od końca XIX wieku przyciągało wielu artystów, żeby wymienić choćby Wojciecha Gersona, Włodzimierza Tetmajera, Leona Wyczółkowskiego, Stanisława Witkiewicza i wielu, wielu innych). Atrakcyjny stał się także Kazimierz Dolny (do którego zajeżdżał wspomniany już Władysław Ślewiński, ale który stał się znany zwłaszcza dzięki tzw. Bractwu Św. Łukasza z Tadeuszem Pruszkowskim na czele, organizującemu tam w okresie międzywojennym XX wieku częste pobyty plenerowe). To ostatnie miasto i środowisko artystyczne zostały znakomicie sportretowane na tle życia miejscowej ludności w pięknej książce Marii Kuncewiczowej *Dwa księżyce*.

Dawne podróże artystów przyczyniły się współcześnie do ich swoistego echa — do podróży „dla artystów”. Otóż niektórzy bardziej wyrafinowani turyści nie chcą jedynie „zaliczyć” Montmartre’u podczas wycieczki do Paryżu, ale chcą też tam zobaczyć miejsca ważne dla dwudziestowiecznej historii sztuki — jak choćby słynną pracownię Pabla Picassa Bateau-Lavoir. Chcą też zobaczyć wspomniany Pont Aven, Arles czy Kazimierz Dolny właśnie dlatego, że kiedyś przebywali tam przejazdem, krócej lub dłużej, wybitni artyści, których wkład w dzieje sztuki światowej czy krajowej jest znaczący. Niektóre z tych miejsc, niektóre domy, zamieszkiwane kiedyś przez twórców, są dziś opatrzone wymownymi tablicami pamiątkowymi. Oczywiście te współczesne wyjazdy są też wsparte mitologią ar-

tystyczną, którą podtrzymuje kultura masowa oraz — szczególnie skwapliwie — mieszkańcy, lokalne władze oraz miejscowy handel. Dla przykładu można wtrącić, że w Pont Aven, liczącym obecnie około trzech tysięcy mieszkańców jest ponad czterdzieści sprzedażnych galerii sztuki.

Jest jednak coś uroczego w wędrówce po śladach i miejscach zamieszkania wybitnych twórców czy po realnych, domniemanych lub nawet wyobrażonych miejscach powstawania dzieł sztuki lub choćby miejscach, po których poruszali się kiedyś znakomici twórcy. We wspomnianym już Pont Aven, a także w jego okolicach w pewnych miejscach znajdują się specjalnie umieszczone elementy ekspozycyjne, zawierające reprodukcje obrazów przedstawiających te właśnie miejsca, informację, kto i kiedy dany obraz namalował oraz w jakim muzeum się on obecnie znajduje. Zwiedzający ma możliwość porównania tego, co widzi w pejzażu, i tego, co jest namalowane, ma możliwość dostrzeżenia zmian, a przede wszystkim sposobu, w jaki artysta potraktował temat.

Dzisiaj atrakcyjność takich artystycznych miejsc przygasa (albo została przygnieciona) miejscami, w których kręcone były jakieś sceny filmowe albo w których choćby na czas filmowania znaleźli się popularni aktorzy. Władze miejskie opatrują takie miejsca stosownymi tablicami, przewodnicy przyprowadzają ciekawych turystów, których zresztą i tak przywabia tu snobizm. Ale to już inny temat.

Podsumowując: podróż artystyczna jest dla artysty jednocześnie akademią, inspiracją, przeżyciem,

refleksją, wypoczynkiem i pielgrzymką. Jest akademią, bo podczas podróży artysta może wiele zyskać zarówno pod względem warsztatowym, jak i pod względem ukształtowania własnej postawy artystycznej; jest inspiracją, bo podróż, dzięki oderwaniu od dnia codziennego, otwiera oczy na świat i dostarcza nowych bodźców twórczych; jest przeżyciem, bo rodzi reakcje emocjonalne, które zazwyczaj nie są możliwe w rutynie codzienności; jest refleksją, bo pozwala przemyśleć wiele spraw na nowo, a przede wszystkim inaczej, gdyż ujmowane są w innym kontekście; jest wypoczynkiem (zwłaszcza współcześnie), bo pozwala się oderwać od bieżących zobowiązań zawodowych; jest pielgrzymką, gdyż umożliwia zobaczenie dzieł i miejsc, które stały się swoistą świętością w historii kultury.

To były skutki podróży w wymiarze indywidualno-artystycznym. Z innego punktu widzenia — przede wszystkim z punktu widzenia historii sztuki — ważniejsze byłoby jednak opisanie podróży jako czynnika dyfuzji idei artystycznych. Jednak opis tego, jaki był ewentualny wpływ podróży artystycznych na przykład na pojawianie się w Polsce renesansu, baroku, klasycyzmu, romantyzmu, realizmu, impresjonizmu, postimpresjonizmu, secesji, abstrakcjonizmu i ekspresjonizmu, czeka na rzetelną monografię. Tu możemy tylko mniemać, że zapewne mniejszy czy większy wpływ podróże pewnych artystów mogły wywierać — przynajmniej do momentu pojawienia się środków masowego przekazu — kiedy dyfuzja kulturowa (a więc i przepływ idei artystycznych) stała się niezależna od kontaktów bezpośrednich.

Jeżeli nawet podróże artystów nie przyczyniają się zawsze (bo nie mogą) do dyfuzji idei artystycznych, to zazwyczaj przyczyniają się do powstawania nowych dzieł sztuki. Rzymski *Piazza del Popolo* Aleksandra Gierymskiego, *Autoportret w bretońskim kapeluszu* Władysława Ślewińskiego, *Pejzaż z Saint-Tropez* Władysława Pankiewicza, *Tatry* Wojciecha Gersona i wiele, wiele innych są niekwestionowanymi elementami dorobku polskiej kultury — dorobku powstałego pod wpływem podróży.

A że „każdy jest artystą” (jak to kiedyś, może nieco przesadnie, stwierdził Joseph Beuys), każdy podróżujący może gromadzić inspiracje i przeżycia, które czynią go bardziej otwartym na innych, na świat i — co może najważniejsze — na siebie samego. Wielu ludzi, nie będąc artystami, chce żyć kreatywnie. A gdzie, jak nie w podróży i poprzez podróż tę kreatywność rozwijać?

## *Co fotografuje turysta*

S łusznie zwraca się uwagę na współbieżność początków fotografii i początków zorganizowanej turystyki w latach trzydziestych XIX wieku\*. W miarę dalszego rozwoju zarówno fotografii, jak i turystyki ta symbioza się pogłębiała. Dziś nie sposób sobie wyobrazić jednej bez drugiej. Tym bardziej, gdy od czasów nowoczesności w poznawaniu świata dominuje wizualność.

Nie wiadomo, ile jest obecnie na całym świecie używanych aparatów fotograficznych w różnych postaciach — zapewne już miliardy. Nie wiadomo, ile wykonuje się rocznie różnych zdjęć — zapewne dziesiątki, jeżeli nie setki miliardów. Fotografowanie stało się czynnością niemal tak powszechną, jak rozmawianie przez telefon komórkowy, ba, jak oddychanie. Odnosi się wrażenie, jakby cały świat w swoich detalach musiał być sfotografowany, i to wielokrotnie. Fotografuje niemal każdy i przy niemal każdej okazji. Trochę to przy-

\*Tekst ten jest nieco zmienioną wersją artykułu opublikowanego w czasopiśmie „Przestrzeń Społeczna/Social Spce” (2011, nr 1).

pomina konsumencką łapczywość: mieć więcej i więcej — tym chętniej, że „za darmo”. Znaczna część tych zdjęć wykonywana jest podczas wyjazdów turystycznych. Warto się więc zastanowić, co fotografuje typowy turysta. Oczywiście turysta zazwyczaj fotografuje to wszystko, co było ważnym motywem jego wyjazdu: fotografuje obiekty stanowiące o historycznej i kulturowej atrakcyjności miejsca, które wybrał i do którego dojechał. Fotografuje to wszystko niejako z obowiązku — wszak po to tutaj przybył. O specyfice fotografowania turystycznego decyduje jednak kilka innych okoliczności.

„Turyści — nowy gatunek człowieka. Eksplozja ciekawości, przełamanie granic, triumf prowincjałów, mrowie przez wieki więzione w gnojówkach i warsztatach, nuworysze demokratycznych ustrojów, wysokopłatni monterzy i sztygarzy z krótkonogimi żonami, biurokraci z kompleksami hrabiów, demagodzy i sekretarki” — jak trafnie ich scharakteryzowała Maria Kuncewiczowa w *Fantomach*. Do tej charakterystyki musimy też dodać siebie. Niemal wszystkich. I wszyscy fotografujemy. A co fotografujemy?

Turysta fotografuje przede wszystkim samego siebie — i fotografuje tak, by go potem podziwiać na zdjęciach. Nieważne, czy jest chudy czy gruby, ładny czy mniej urodziwy, młody czy stary, turysta prosi kogoś znajdującego się czy przechodzącego obok — żonę, męża, koleżankę, kolegę czy przypadkowego przechodnia — o zrobienie mu zdjęcia. Wręcza własny aparat, krótko instruuje, jak ma wyglądać ujęcie, cofa się do upatrzonego miejsca, przyjmuje odpowiedni

wyraz twarzy i pozę i oczekuje ze zniecierpliwieniem pstryknięcia aparatu. Potem skwapliwie ogląda na wyświetlaczu efekt, a w razie niezadowolenia prosi o powtórzenie zdjęcia. Młodszy wiekiem turysta, nieco bardziej doświadczony fotograf, nie prosi już nikogo o wykonanie zdjęcia, tylko wykonuje je z samowyzwalacza. Starannie kadruje scenę, opierając aparat na jakimś przygodnym murku lub, gdy jest odpowiednio przygotowany, na statywie podróznym. Potem zostawia aparat i podbiega do upatrzonego miejsca, czekając na mignięcie migawki. Jeszcze młodszy turysta wykonuje tzw. *selfi* — zazwyczaj telefonem komórkowym czy tabletem, z wyciągniętej dłoni lub ze specjalnego wysięgnika. Dzisiaj jest to już zachowanie tak powszechne, że stało się niemal obyczajem turystycznym, z którym związany jest kolejny w tej generacji zwyczaj, by swoje *selfi* natychmiast rozpropagować w sieci — głównie na Facebooku. Trudno się więc dziwić, że zazwyczaj muszą to być tzw. *sweet* fotki — tak upozowane, by emanowało z nich pełne szczęście. Tylko czy ktokolwiek oczekuje tu wiernego dokumentu?

Turysta jedzie oglądać mniej lub bardziej odległe i mniej lub bardziej fascynujące miejsca, ale zamiast pominąć siebie samego, zamiast pozostawić swoje ciało na marginesie, umieszcza je w centrum. Ba, ono jest tam najważniejsze! Nie własne oczy, własna wrażliwość czy własne doznania, tylko właśnie ciało. Bo turysta najbardziej interesuje się sobą. Pakuje siebie w kadr, jakby to był jakiś klejnot, który może wszystkich zainteresować. Robi miny, jakby był hollywoodzkim aktorem lub paryską modelką (a gdy turystka poczuje się taką modelką, przyjmuje nie tylko nienaturalne miny,

ale i pozy, które podpatrzyła w programach telewizyjnych czy czasopismach kolorowych). Nikt zwykle nie fotografuje się na co dzień u siebie w domu, nie fotografuje się w miejscu pracy, nie fotografuje się na ulicach miasta, w którym żyje. I nie fotografuje się nie tylko dlatego, że w tych codziennych miejscach nie jest oczywiście turystą. Nie fotografuje się, bo to wszystko wydaje mu się szare i zwykle, banalne i mało interesujące.

Turysta pragnie fotografować się w miejscach niezwykłych, bajecznych, sławnych. I nie jest istotne, czy latami marzył o zobaczeniu miejsca, w którym się sfotografuje, czy też znalazł się tam przypadkiem. Ważny czuje się on tam dla siebie i chce być ważny dla innych. Bo turysta lubi się fotografować w miejscach, którymi może zaimponować znajomym — czy raczej w miejscach, o których sądzi, że im nimi zaimponuje. To że już zaimponował sobie samu, mu nie wystarcza; potrzebny mu jest ten oczekiwany błysk w oczach innych, potrzebne mu jest to domniemane poczucie zazdrości tych wszystkich, którzy tam nie byli i może nigdy nie będą.

Z różnych obiektów turysta wybiera przede wszystkim te, które mają zrobić wrażenie na osobach mających potem oglądać jego zdjęcia. Będzie je pokazywał jak trofea, nie bacząc, że sam jest upolowaną przez siebie zwierzyną, że sam siebie przyszpilił do albumu i pokazuje znudzonym gościom lub wtrynił na Facebook. Patrzcie, podziwiajcie i zachwycajcie się z nami — a może nami? Bo egipskie piramidy, ateński Akropol, indyjski Taj Mahal i paryska Wieża Eiffela przecież imponują. I imponuje bogato zastawiony stół

w restauracji, na którym widać owoce morza i zajądających je turystów. To nic, że zostały oszpecone umieszczoną na pierwszym planie figurą turysty; to nic, że jego głowa zasłania detale fotografowanych obiektów. To nic, że fotografowane obiekty mają robić wrażenie dlatego jedynie, że zostały spopularyzowane przez katalogi biur turystycznych i przewodniki, stając się nie tyle pomnikami kultury, ile ikonami medialnymi. To nic, że ich uroda cierpi na połączeniu z nie zawsze urodziwą i fotogeniczną twarzą turysty.

Dla turysty ważne jest, że wydarzyła się jakaś niemal kosmiczna koincydencja, która połączyła go z tymi miejscami. Jego wiara w niezwykłość tego połączenia została opłacona trudami zarabiania pieniędzy na wycieczkę, trudami podróżowania i skrywanym nieraz poczuciem straconego czasu. Nagrodą jest mniemanie, że wrażenie, jakie wywołał pośród znajomych, jest imponujące, a skala tego zaimponowania jest proporcjonalna do domniemanego odczuwania przez nich zazdrości.

Turysta nie wybiera się w podróż nago. Choć już nie zaopatruje się w hełm korkowy, remingtona czy koraliki dla tubylców, to przecież zazwyczaj kupuje specjalne ubrania podróżne, sandały, torby. I zabiera okulary przeciwsłoneczne. A także — w zależności od osobowości — okulary różowe lub czarne. Temu turystyście, który lubi patrzeć przez okulary różowe, wszystko „na wyjeździe” się podoba; ten który lubi widzieć na czarno, wszędzie dostrzega „brud, smród i ubóstwo”. Przede wszystkim jednak turysta zabiera ze sobą okulary swoich stereotypów.

Wyjeżdżając już wie, co powinien zobaczyć, i wie, jakie będzie to, co zobaczy. Już wie, jakie będą zabytki, jacy będą ludzie, jakie będzie jedzenie. Doskonale też wie, jaki on sam powinien być: nie tylko wie, co powinien widzieć, ale też co powinien czuć, co powinien myśleć i jakie mieć wrażenia. Doskonale też wie, jakich ma użyć słów, by to wszystko opowiedzieć innym. Turysta zabiera ze sobą wszystkie te stereotypy, które przejął z oglądanych filmów, które wyczytał w czasopiśmie ilustrowanych czy które dotarły do niego od innych przez tajemniczą osmozę. One podpowiadają mu, na co powinien zwrócić uwagę i jak to ocenić; one kształtują jego odczucia, myśli i opinie. W jakimś sensie to one podróżują, a turysta jest tylko wiernym bagażowym.

Żadnemu turyście nie jest łatwo uwolnić się od stereotypów podróżniczych — tak jak nie jest łatwo komukolwiek uwolnić się od wszelkich innych stereotypów. Funkcjonujemy z nimi wszyscy: od sprzątaczkę po mędrca. Jak domokrądcy, nie tyle zachodzimy od drzwi do drzwi, ile idziemy od ludzi do ludzi, widząc ich w perspektywie swoich stereotypów. Nie sposób rozróżnić w nich prawdę i złudzenie, fantazję i prawdopodobieństwo, przesady i fakty. Owszem, w jakiś sposób pomagają one ujmować oglądane światy, ale także w jakiś sposób same ujmują za nas te światy. Tak — turysta już przed wyjazdem nie tylko wie, co ma widzieć, ale wie też, jak ma widzieć to, co zobaczy.

Jeżeli turysta pochodzi z kraju zamożniejszego i cywilizacyjnie bardziej prestiżowego niż kraj przez niego zwiedzany, to wyławia wszelkie przejawy jego „zapóźnienia”. Uparcie fotografuje biedne

zabudowania i jeżeli się da, zabiedzonych ludzi (gdym jest bezczelny, to nawet ludzi żebrzących). Fotografuje zabiedzone stragany i skromne witryny sklepów. Fotografuje zniszczone karoserie starych samochodów i podarte ubrania przechodniów. Fotografuje rozwalające się opłotowania i dziury w drogach. Fotografując to wszystko, w jakiś sposób upaja się tymi zabiedzonymi obiektami, a przynajmniej wbija w dumę, że u niego w kraju jest tak wspaniale. Pewnie przy okazji ma zestaw recept, którymi chciałby obdarzyć miejscowych, by „żyło im się lepiej”. Tylko że te „leniuchy i brudasy” jakoś nie chcą tych cudownych wskazań przyjąć. Turysta podaruje więc długopis lub herbatnika żebrzącemu dziecku (a żona turysty sfotografuje ten moment) i odjedzie do swojego wspaniałego świata.

Turysta pochodzący z kraju biedniejszego fotografuje w bogatszym to wszystko, co mu imponuje: błyszczące karoserie samochodów, wyniosłe drapacze chmur, imperialne fasady budowli rządowych. Pewnie szczególnie zwraca uwagę na bogate witryny sklepów, które ogląda z nieukrywanym poczuciem zazdrości. I dziwi się, dlaczego w jego kraju „tak nie może być”.

Trudno powiedzieć, czy zwracanie uwagi na takie czy inne elementy i sytuacje w obcym świecie oparte jest wyłącznie na zasadzie kontrastu w stosunku do własnego kraju. Prawdopodobnie jednak turyści zawsze szukają tego wszystkiego, co potwierdza ich wcześniejsze, przywiezione ze sobą wyobrażenia. Tylko nieliczni mają wystarczająco wiele wrażliwości, odwagi i siły, by je odrzucić — by spojrzeć na oglądany (i fotografowany) świat z czułością, dyskrecją i od-

krywczym zdziwieniem. Gdy tak się stanie i swoje wcześniejsze zapatrywania turysta odrzuci, jego wyjazd okaże się ważną inwestycją intelektualną.

Podróżując nieraz przekraczamy też granice w poszukiwaniu osobliwości, inności i egzotyki. Może to być inna dzielnica naszego miasta, inny region kraju, inny kraj i wreszcie inna cywilizacja. To jeden z motywów turystyki. Turysta jedzie „gdzieś tam”, by spełniły się jego marzenia i wyobrażenia, ale także zaprzeczenia tego, co zna i czego doświadcza u siebie, na co dzień. Fotografuje inne świątynie i innych bogów; fotografuje inaczej modlących się (niestety często bez dyskrecji i delikatności). Szukając egzotycznych strojów, turysta fotografuje inaczej ubranych i inaczej rozebranych. Fotografuje egzotyczne nakrycia głów, kolekcjonując na swoich zdjęciach rozliczne turbany, jarmułki i fezy. Fotografuje dziwne potrawy w restauracjach, dziwne zioła na bazarach i dziwne naczynia. Turysta uwiecznia odmienne instrumenty muzyczne i — gdy ma okazję je zobaczyć — odmienne tańce. Oczywiście turysta na swój sposób dokumentuje też miejscowe budownictwo, którego tradycja i styl odbiegają od tego, co zna u siebie. Słowem, niektórzy fotografujący turyści dopiero wtedy mają pełną satysfakcję, gdy znajdą wiele osobliwości. Im bardziej zaskakujących — zwłaszcza zaskakujących ich samych — tym lepiej. Tyle tylko, że coraz trudniej je znaleźć, gdy wszystko jest na pokaz.

Egzotyka ma wiele wcieleń. Gdyby turysta był na nią całkowicie skazany, pewnie by protestował i odrzucał ją. Jeżeli jednak może ją widzieć z wygodnej pozycji zewnętrznego obserwatora mieszkającego w dobrym

hotelu, zaopatrzonego w dystans i kartę kredytową, a przede wszystkim ujmującego ją w nawias tymczasowości, to egzotyka może być dla niego pociągająca. Kusi go jak coś nieznanego: jak drobny grzeszek, który nie tylko sobie wybaczy, ale który wręcz przyniesie mu uznanie w oczach własnych i znajomych. Szuka więc tej egzotyki nawet tam, gdzie ona ucieka lub gdzie jest na jego potrzeby sztucznie spreparowana przez biura turystyczne (potem w kraju i tak nikt nie będzie przecież dochodził, co było prawdą, a co złudzeniem i mistyfikacją). Taka egzotyka musi być bezpieczna — wszak turysta nie chce niczego ryzykować. Nie chce niczego na stałe i nie chce się niczym zarazić — także kulturowo. To ma być egzotyka nie tylko *instant*, ale i *ad hoc*. A taka najlepiej wychodzi na zdjęciu i do zdjęcia się ogranicza. Jej opis antropologiczny pewnie mało kogo już by zainteresował.

Zdarza się, że fotografujący turysta sam jest egzotyczny dla fotografowanych ludzi. Można zaobserwować takie sytuacje na przykład w Indiach (gdzie już pojawiają się coraz częściej aparaty fotograficzne — choćby w telefonach komórkowych): turysta fotografuje kogoś z miejscowych (skądinąd chętnie zgadzających się na to, a nawet pozujących do zdjęć), równocześnie zaś ktoś z miejscowych fotografuje turystę — zwłaszcza gdy ten ma jasną karnację i jest z wyglądu Europejczykiem. Jak widać, egzotyka ma dwa oblicza w zależności od punktu widzenia. Podobnie dwa oblicza ma swojskość. Wszak często miejscowi dziwią się, co ten turysta ciekawego widzi w ich typowym budynku, ubiorze czy zachowaniu. Turysta szuka autentyczności — którą skądinąd też sobie wcześniej jakoś wy-

obraził. A także oryginalności i rodzimości. I znajduje je w miejscowej architekturze, ubiorach, kulinariach. To nic, że nie zawsze jest to autentyczność prawdziwa. Poszukiwanie autentyczności może rozczarować turystę, który jednak nie chce być rozczarowany i dlatego każdą namiastkę bierze za przejaw autentyczności. A ci którzy żyją z turystyki, szybko się uczą, jakich namiastek turysta oczekuje i jak mu je dostarczać.

Turysta lubi też fotografować „pozerów” (oraz fotografować się z nimi). To określenie jest tu przeze mnie używane w innym znaczeniu niż przyjęte powszechnie. „Pozerzy” to wystylizowani na potrzeby turystów „rzymscy legionści” pod Koloseum, indyjscy „zaklinacze wężów” czy „nosiciele wody” w Maroku. Ale jest ich cała gama: artyści na Montmartre w Paryżu, masajscy wojownicy w Kenii, a nawet azteccy wojownicy w Meksyku. Zazwyczaj przebrani są w stroje z epoki, mają niezbędne akcesoria i robią miny mające przekonać turystów do tego, że dobrze potrafią grać swoje role. Turyści mają chwilę złudzenia, że uwieczniają postać autentyczną. Dobrze, gdy towarzyszy temu przymrużenie oka przy okazji uczestniczenia w spektaklu turystycznym; gorzej, gdy taki „pozer” traktowany jest z całą powagą, jako implant pamięci kulturowej. Oczywiście, samo takie pozowanie należy traktować z wyrozumiałością: jest wszak przejawem drobnej okołoturystycznej przedsiębiorczości turystów utrzymujących się z zawodowego pozowania do zdjęć. A przy okazji jest też sposobem przypomnienia czy ożywienia dawnych strojów, instrumentów, zachowań.

Od kilkunastu lat w miejscach uczęszczanych przez turystów — w centrach wielkich miast, w sąsiedztwie znanych zabytków, na skwerach kurortów — coraz częściej można spotkać tzw. żywe rzeźby. Są zazwyczaj tak przebrane i wymalowane, by przypominać jakąś znaną rzeźbę (faraona, Wenus z Milo, Statuę Wolności) lub rolę (mnicha, sprzedawcy gazet, kominiarza). Stoją nieruchomo (co skądinąd musi budzić uznanie, podobnie jak staranność ich przebrania i makijażu), oczekując, że za zrobione im (lub z nimi) zdjęcie fotografujący turysta zostawi jakiś datek. Jedni tak robią, inni cynicznie odchodzą. W tym ostatnim przypadku niektóre „żywe rzeźby” mają swoje sposoby wyrażenia dezaprobaty. Takich propozycji kreowania „żywych rzeźb” jest coraz więcej i wymagają one coraz większej pomysłowości, by zwrócić na siebie uwagę pośród licznej konkurencji (na przykład na La Ramblie w Barcelonie spotyka ich się niemal co kilkanaście metrów, podobnie na Piazza Navona w Rzymie czy w okolicach Galerii Uffizi we Florencji). Wymyślność kreatorów „żywych rzeźb” jest zadziwiająca: przebierają się za rośliny, zwierzęta, a nawet instrumenty muzyczne. Zawsze są interesującym sztafażem pejzażu miejskiego.

Figury te, mimo że są nieruchome i pozornie obojętne, znakomicie ożywiają i ubarwiają miejskie przestrzenie. Przede wszystkim dlatego, że ich obecność niesie jakieś nadrealistyczne skojarzenia: skąd i dlaczego Statua Wolności znalazła się nagle na rzymskim placu albo posąg Ramzesa na madryckim? Zazwyczaj też ich pomysłowość i stylizacja niosą również komiczne doznania (nawet wtedy kiedy są poprzebierane za

duchy czy wampiry). Dlatego można odnieść wrażenie, że polubili ich nie tylko turyści, ale i mieszkańcy. Swoją drogą, ciekawe byłoby poznać ich właściwe role (czy są to dorabiający studenci czy zawodowcy?), okoliczności tworzenia pomysłu oraz sposoby przygotowywania tych poniekąd teatralnych kreacji i charakteryzacji, a także wzajemne relacje między tymi swoistymi aktorami.

Niektórzy turyści fotografują kwiatki, kotki, pieski, kózki. Większość fotografuje też znajomych. Oczywiście fotografują tych znajomych, z którymi razem podróżują — z nimi fotografują się często i wzajemnie. Ale fotografują też tych, których poznali na wycieczce. Ot, siedzieli razem przy śniadaniu albo przy kawie; rozmawiali przez chwilę przy papierosie albo w oczekiwaniu na przyjazd autokaru. I już się znają nieco lepiej niż z pozostałymi anonimowymi wycieczkowiczami, już uwieczniają się na zdjęciach, choć jest to zazwyczaj bardzo krótka wieczność. Nieraz już po kilku tygodniach, a na pewno po kilku latach nie pamiętają, kim jest ten ktoś uśmiechający się w kadrze. I nie pomaga długie szperanie w pamięci, nie pomaga szukanie wspomnień. Może się nawet pojawić uczucie zażenowania, gdy miała to być (lub choćby mogła być) znajomość na całe życie.

Tacy chwilowi znajomi uwiecznieni na fotografiach niewiele się po latach różnią od wszelkich przypadkowo sfotografowanych osób, gdy w tłumie oblegającym egipskiego Sfinksa w Gizie czy Dziedzińcu Lwów w Alhambrze nie udało się jednak znaleźć wystarczającej luki, by swobodnie zrobić zdjęcie bez

obcych postaci. Z konieczności trzeba było więc zrobić zdjęcie z dobrodziejstwem inwentarza: z wizerunkami innych, nieznanym turystów. Ci „znajomi nieznajomi” także przez lata anonimowo tkwią na fotografiach turystycznych na całym świecie. Inna rzecz, że wyczekiwanie, by w miejscu obleganym przez turystów zrobić zdjęcie całkowicie ich pozbawione, nie wydaje się realne. Taki wypreparowany z turystów obiekt, będący atrakcją turystyczną, byłby wszak w jakiś sposób nieprawdziwy, a przynajmniej niepełny — nie ma przecież współczesnej turystyki bez turystów.

W swoim czasie — w drugiej połowie XX wieku — osławione (i wyszydzane) było fotografowanie z autokarów turystycznych. Mówiło się, że tak właśnie robią zdjęcia Japończycy, którzy nie dość, że zaczęli masowo produkować doskonale lustrzanki, a potem jeszcze bardziej masowo sprawne i wygodne w obsłudze małe aparaty kompaktowe, to jeszcze zaczęli wyjeżdżać na urlopy. Często w ramach takiego krótkiego, na przykład tygodniowego, urlopu chcieli objechać cały kontynent. I podobno z braku czasu, nie wysiadając nawet z autokaru, zza jego szyb fotografowali Luwr w Paryżu, Pałac Buckingham w Londynie czy Panteon w Rzymie. No cóż, pewnie w tych opiniach jest wiele przesady, jednak taki sposób zwiedzania nie należy pewnie i dzisiaj do wyjątków i wcale nie dotyczy jedynie Japończyków. Jednak gdy obecnie obserwuje się turystów z Dalekiego Wschodu, którzy często zwiedzają — zarówno zbiorowo, jak i indywidualnie — różne obiekty turystyczne na całym świecie, to ich wnikliwość może tylko zaimponować. Nie tylko są oni obecni niemal wszędzie, to jeszcze widać, jak skrupulatnie

studiują przewodniki i jak umiejętnie robią zdjęcia — zwłaszcza ci młodszy.

Ale fotografowanie z autokaru nadal pozostaje jedną z najczęściej obśmiewanych czynności turystycznych, a jest wiele uzasadnień tej krytyki: pobieżność, brak kontaktu z fotografowanym obiektem, jego anonimowość, słaba jakość zdjęć. Fotografowanie z okien autokaru słusznie stało się głównym krytycznym hasłem wszystkich przeciwników zbiorowych wycieczek i głównym przywoływanym przykładem na ich bezzasadność. To jest jednak odrębny problem, który tutaj nie musi być podjęty. Warto się jednak zastanowić nad pewnymi pozytywnymi aspektami fotografowania z okien autokaru w pewnych okolicznościach.

W niektórych miejscach świata (w krajach arabskich, w Meksyku, może też w Indiach) lepiej i wygodniej, a także z większym poczuciem bezpieczeństwa starszych osób jest podróżować autokarem. I wtedy nie sposób oprzeć się pokusie fotografowania. Często jest to nawet dyskretna konieczność. Wszak oglądany świat jest bardzo frapujący, a przecież w bezpośrednim kontakcie, z ulicy, nie zawsze można i nie zawsze wypada robić zdjęcia. Z okien autokaru nie dość, że patrzy się nieco z góry — a więc i perspektywa oglądu jest szersza — to jeszcze można fotografować bezpiecznie i bez urażania kogokolwiek. Rodzi się oczywiście wątpliwość etyczna, czy robienie takich zdjęć jest moralnie dopuszczalne. Pewnie każdy z fotografujących rozstrzyga ją po swojemu, można jednak uznać, że gdy takie zdjęcia wykonuje się bez szyderstwa i poczucia wyższości, a przeciwnie, z zainteresowaniem „badawczym”, to takie fotografowanie jest w pełni

uzasadnione. Życie codzienne ludzi w wielu krajach o ciepłym klimacie toczy się na ulicach, tak więc jest wiele okazji do zrobienia interesujących, swoiście socjologicznych czy antropologicznych zdjęć. Może nie wszystkie są udane technicznie (zwłaszcza gdy są poruszone, bo wykonywane podczas jazdy), jednak mogą być wspaniałą dokumentacją widzianego świata — świata oglądanego wszak też na własne oczy. Zdjęcia są wtedy dopełnieniem i zatrzymaniem tego, co samemu się widziało, może nawet tego, co było przejmujące.

Ważne jest nie tylko to, co turysta fotografuje, ale jak. A fotografuje szybko, bezceremonialnie, często też niedelikatnie i nachalnie. Nie przestrzega żadnego tabu, nie ma wycucia ani wrażliwości wobec tego, czego nie powinien fotografować: na przykład bezdomnych, aktów modlenia się czy tego, co jest dla miejscowym *sacrum*.

Niezwykła jest też obecnie pazerność turystów, którzy robią tysiące zdjęć w ciągu kilku, kilkunastu dni. Takiej liczby zdjęć nie sposób intelektualnie i emocjonalnie przetworzyć. Współczesny turysta, wyposażony w aparat cyfrowy i pojemne karty pamięci, fotografuje bez umiaru. W wielu przypadkach tej czynności nie można już nazwać fotografowaniem, lecz pstrykaniem. Gdziekolwiek spojrzy, tam natychmiast za własnym wzrokiem kieruje obiektyw aparatu. Czasem kolejność jest odwrotna: najpierw pstryka, a dopiero potem patrzy. Zdarza się, że nawet już nie ogląda tego, co sfotografował. Zdjęcia wykonuje automatycznie i bezmyślnie. Często, gdy nie wie, co powinien fotografować, naśladuje sąsiadów. Skoro oni zrobili tam zdjęcie,

warto ich gest powtórzyć. A że na wycieczce wszyscy wycieczkowicze są sąsiadami, zdarza się, że wszyscy naśladują wszystkich, co tym bardziej zwiększa liczbę pstryknięć.

Wielu fotografujących w pośpiechu nie myśli o elementarnych warunkach wykonania dobrego czy choćby poprawnego zdjęcia. Nie myśli o właściwym oświetleniu, o odpowiednim skadrowaniu, nie mówiąc już o jakimkolwiek wcześniejszym czy późniejszym zaprzyjaźnieniu się z fotografowanym obiektem. Po co to wszystko? Przecież mądry aparat niemal sam robi zdjęcia. Tak, to prawda, robi je sam, i często odnosi się wrażenie, jakby je robił dla samego siebie.

Bywa też, że zmęczony turysta nie ma sił, czasu ani ochoty, by na bieżąco i choćby wstępnie przejrzeć to, co sfotografował, dokonać jakiejś selekcji, wykasować zdjęcia całkowicie nieudane czy niepotrzebnie powielone. Liczy, że ze spokojem zrobi to wszystko po powrocie do domu. Niestety, jak zwierzają się niektórzy turyści, nic takiego się nie dzieje. Przesyłają zdjęcia na dysk komputera, a tam zalegają one może na zawsze. Nieoglądane, zapomniane, porzucone. I już jakby niechciane. Bo jak tu się uporać z kilkoma tysiącami zdjęć zrobionych podczas wycieczki do Indii, gdy ciągle zalegają nieprzejrzane tysiące z wcześniejszej wycieczki do Chin czy do Tajlandii? Jak zabrać się do jakiegokolwiek selekcji, jakiegokolwiek uporządkowania, gdy się już nawet nie pamięta okoliczności i miejsc, gdzie dane zdjęcie było robione i jaki był impuls do tego, by właśnie tam je zrobić.

Trudno stwierdzić, czy taki sposób fotografowania i przetrzymywania zdjęć frustruje — choć wydaje

się, że może tak być. W końcu nasze fotografie to owe „warstwy przestrzeni i czasu”, które poniekąd są naszymi przedłużeniami. I zamiast być przyjaznym wspomnieniem i multiplikacją przeżyć doznanych „na wyjeździe”, stają się — gdy jest ich zbyt wiele — nieprzyjemną, a nawet bolesną zadrą. To męczący bagaż, o którym chce się raczej zapomnieć, gdy jego wykorzystanie staje się niemożliwe, a mglista pamięć o nim przygniata.

Wiele uwag, które odnosiły się do fotografowania, dotyczy także amatorskiego filmowania. Przejawia się i tu podobna bezceremonialność, nieumiejętność selekcjonowania scen i montażu, a przede wszystkim często brak elementarnych umiejętności operowania kamerą. Główną wadą amatorskich filmów turystycznych jest „nerwowy kadr”, co bierze się tego, że ruchy ręki trzymającej kamerę były powtórzeniem ruchu oczu. Mamy więc wtedy obraz rozedrgany i chaotyczny. Widz nie widzi na obrazie tego, co widział filmujący turysta w realnym świecie. Ba, nie może nawet poskładać sobie niespokojnych, szybkich kadrów w jakąś całość, która nie tylko dałaby mu satysfakcję, ale byłaby dla niego jakąkolwiek informacją o filmowanych miejscach. Życie towarzyskie i YouTube są pełne tego rodzaju filmów. A przecież wystarczy tylko ustabilizować w dłoniach kamerę i spokojnie kroczyć przed siebie. Te proste filmy są najbardziej poszukiwane i najchętniej oglądane w Internecie. Niestety, są w mniejszości.

Ale dość tej demaskatorskiej nuty! Ona też bywa obłudna, bo przecież wszyscy w tym kiepskim teatrze

bierzemy udział: raz jako aktywni uczestnicy, innym razem jako obserwatorzy. Nasze aparaty fotograficzne są tak zaprogramowane, by ich optyka miała nie tylko takie czy inne parametry fizyczne; one są też jakby zaprogramowane, by fotografować to wszystko, co turysta będzie mógł później traktować jako wdzięczne i imponujące trofea. Należy też pamiętać, że mimo tego krytycznego spojrzenia wiele fotografii i filmów turystycznych, jeżeli spełnia choćby tylko wymóg poprawności, może być dobrym dokumentem i swoistym przedłużeniem podróży „po podróży”.

I może nie należy tego turystycznego fotografowania traktować jako śmiesznej przywary. Przeciwnie — aparat fotograficzny (a także kamera filmowa) stał się jednym z istotnych elementów (obok samolotów, autokarów, biur turystycznych, przewodników i hoteli) całego systemu funkcjonowania współczesnej turystyki. Można tylko współczuć podróżnym sprzed epoki fotografii, którzy nie mogli uwiecznić swoich wrażeń — chyba że potrafili rysować czy malować. Dzisiaj taką rolę — bez większych trudności i bez konieczności posiadania jakichś specjalnych umiejętności — pełni fotografia. I nie sposób już sobie bez niej wyobrazić turystyki.

## *Głód autentyzmu*

**P**odróżny łaknie autentyczności — którą skądinąd też sobie wcześniej jakoś wyobraził\*. A także oryginalności i rodzimości tego, co jedzie oglądać. I czasem znajduje je w dawnej lokalnej architekturze, w założeniach urbanistycznych, w trudno nieraz uchwytnym tle kulturowym. Znajduje je też w miejscowych muzeach i skansenach (jeżeli takie tam istnieją) — niezależnie od tego, że umieszczone w nich wytwory kultury zostały wyrwane z autentycznego kontekstu. Podróżny niekiedy pragnie jednak czegoś więcej: pragnie spożywać autentyczne miejscowe dania przygotowane z miejscowych surowców przez autentycznych miejscowych kucharzy. Pragnie kupić autentyczną galabiję czy autentyczne sari uszyte przez autentycznych miejscowych krawców. Pragnie słuchać autentycznej miejscowej muzyki wykonywanej przez autentycznych miejscowych twórców na autentycznych miejscowych instrumentach. Pragnie kupić

\*Tekst ten jest nieco zmienioną wersją artykułu opublikowanego w czasopiśmie „Opuscula Sociologica” (2016, nr 1).

autentyczną i oryginalną rzeźbę, którą wykonał autentyczny miejscowy artysta. No cóż, od oczekiwania czy poszukiwania tej autentyczności nasz turysta może dostać autentycznego zawrotu głowy. A przede wszystkim autentycznego rozczarowania.

Pierwsze pytanie, jakie się w tym kontekście nasuwa, dotyczy tego, co to jest autentyczność i jak można ją pojmować. Pragnę przy tym podkreślić, że określenia „autentyczność” i „autentyzm” traktuję tu równoznacznie.

Przede wszystkim nie bardzo wiemy, w jakich kategoriach to pojęcie umiejscowić, bo mamy uzasadnione poczucie, że nie pasuje ono tylko do jednej. Jest to bez wątpienia kategoria ontologiczna, gdyż przez nią przypisujemy jakieś cechy jednemu rodzajom bytu, a innym ich odmawiamy. Choć oczywiście jednoznaczne go podziału świata na byty autentyczne i pozbawione autentyzmu trudno byłoby dokonać, to już przypisywanie poszczególnym bytom mniejszej czy większej porcji autentyczności byłoby, przynajmniej teoretycznie, możliwe, gdyby ułożyć je w kontinuum. Jasna rzecz, że wcześniej należałoby dysponować jakimiś zelanymi kryteriami odróżniania tego, co autentyczne, od tego, co autentyzmu pozbawione, a o takie jednoznaczne kryteria, jak się za chwilę okaże, wcale nie jest łatwo (oczywiście gdy pominiemy kryterium autentycznej „marki” w wyrobach handlowych, co tutaj, jako problem nieważny pod względem teoretycznym, jest niemal całkowicie pominięte w rozważaniach). Może więc autentyzm/autentyczność to kategoria poznawcza, to sposób rozumienia świata (a może przy okazji

także rozumienia samego siebie), dzięki któremu udaje się nam dostrzegać jego złożoność, jego niejednorodność i niespójność właśnie w kategoriach obecności w nim jakiejś prawdy czy jej braku? A może jest to kategoria estetyczna, wyrosła z przekonania, że wytwory ludzi (bo tylko o nich można mówić w tym kontekście) są mniej lub bardziej piękne ze względu na to, ile w nich autentyczności, a ile pozorów? No i wreszcie można uznać, że jest to kategoria etyczna, bo przejawia się w wartościowaniu rzeczy (ale i ludzi), dostrzeganiu w nich większego lub mniejszego dobra z uwagi na to, ile jest w nich autentyzmu. Pozostając w sferze etyki, należy przypomnieć znaną sugestię Charlesa Taylora, głoszącego, że autentyczność to wierność sobie, to własne spełnienie i samorealizacja, to także swoiste samostanowienie. Ta kwalifikacja z jednej strony nie jest pozbawiona słuszności, choć z drugiej może budzić wielkie wątpliwości, gdyż niejednen bandyta na swą obronę powie, że właśnie jest „wierny sobie”, a jego przestępczy czyn jest „samorealizacją”.

Wszystkie te kategorie można zamknąć w jednej — społeczno-kulturowej — uznając, że samo pojmowanie autentyzmu, jego wyobrażenia, kryteria, które się w odniesieniu do niego przyjmuje, są oczywistym wytworem życia społecznego, edukacji i kultury. Istotnym problemem, jaki z tym się wiąże, jest kwestia tego, czy autentyzm to coś obiektywnego czy jedynie subiektywne wyobrażenie, subiektywny stosunek do rzeczy i ludzi. Zakładając, że jest to wytwór życia społecznego i tym samym wytwór kultury, nie można inaczej sądzić niż uznając jego subiektywność. Jednocześnie nie można zakładać, że jest to jakaś subiektyw-

ność jednostkowa, całkowicie indywidualna. Nie, jest ona w jakimś stopniu upowszechniona w pewnych kręgach społecznych, w pewnych grupach, których skład i genezę można wszak pominąć w analizie.

Próbując odpowiedzieć na pytanie, czym jest autentyczność, nie sposób uniknąć zestawienia tego pojęcia z innymi — domniemanie przeciwstawnymi.

Autentyczność to zaprzeczenie nieprawdy. Czym jednak jest nieprawda? A czym jest prawda? Tutaj każdy, kto choćby odrobinę otarł się o tradycyjny sceptycyzm czy przejął współczesnymi sugestiami postmodernizmu, szybko zamilknie, unikając odpowiedzi. Jeżeli już podejmie się rozważań, to będzie próbował ogólnikowo i wymijająco twierdzić, że prawda to zaprzeczenie fałszu albo inaczej mówiąc, zgodność myśli i rzeczy, albo wewnętrzna spójność jakiegoś twierdzenia, albo zgodność jakiegoś bytu z jego „istotą”. Chcąc uniknąć pisania w tym miejscu obszernego traktatu, należałoby w tym momencie przerwać wywód i poprzestać na prostym spostrzeżeniu, że prawdą jest właśnie autentyczność — czyli można powiedzieć, że także autentyczność jest prawdą. Ciągłe jednak mamy poczucie jakiegoś niedosytu, bo słusznie czujemy, że nie każda prawda musi być autentyczna. Wszak na przykład pomyłka może być autentyczna — zwłaszcza gdy jest szczerą.

A więc autentyczność jest zaprzeczeniem kłamstwa — czyli świadomego, intencjonalnego wprowadzania w błąd. Jeżeli jednak uznamy, że kłamstwo, okłamywanie czy konfabulowanie to jedna z najpowszechniejszych ludzkich sytuacji komunikacyjnych,

a przy okazji jedna z najoczywistszych, choć stosunkowo łagodnych opresji ludzkiej kondycji, to choćby z racji tej powszechności trudno im odmawiać prawa istnienia. Wszak zaprzeczanie kłamstwu czy jego nadmierne krytykowanie byłyby jakimś jego wcieleniem i spełnieniem, pominąwszy fakt, że nie byłyby skuteczne. Trzeba by się też tu zastanowić nad motywami kłamstwa i uznać, że niektóre z nich (na przykład cudze dobro, samoobrona czy żart) są usprawiedliwione, a więc i na swój sposób autentyczne.

Natychmiast nasuwa się przypuszczenie, że autentyczność jest zaprzeczeniem obłudy czy hipokryzji. No tak, taki rodzaj oszukańczego kłamstwa trudno akceptować, bo pewnie zawsze wynika ono z jakichś negatywnych pobudek: próżności, chęci postawienia się w lepszym świetle czy pragnienia zyskania jakichś dóbr w rodzaju uznania, powodzenia, miłości. No i płacze się tu też podejrzenie, że autentyczność nie może żyć w zgodzie z pretensjonalnością, tę zaś można rozumieć jako taki rodzaj obłudy, który ma pomóc w budowaniu własnego prestiżu, mającego na celu podniesienie pozycji w hierarchii społecznej. Czujemy jednak, że autentyczność, choć może być przeciwstawiona obłudzie i pretensjonalności, jakoś nie chce się z nimi spierać, że raczej jest obojętna wobec nich albo przynajmniej udaje, że jej to nie obchodzi. No właśnie. Pojawiło się tu słowo „udawanie”, może więc to jest dobry trop do zrozumienia autentyczności?

Tak, można uznać, że autentyczność jest właśnie zaprzeczeniem udawania i pozorów rzeczy. Co jednak począć, gdy uznamy, że rację mają ci autorzy, którzy dostrzegają we współczesnym świecie tak wiele zjawisk

określanych mianem upozorowania, *simulacrum* czy wręcz swoistych złudzeń, żeby nie powiedzieć halucynacji wywołanych wiarą w przekazy medialne? Upozorowań i złudzeń, które zresztą często przez odbiorców są uznawane za prawdę. Autentyczność słusznie kojarzy się ze szczerością, z brakiem fałszu, problem tkwi jednak w tym, że nie wiadomo, gdzie i w jaki sposób je zidentyfikować. Natychmiast też pojawia się kolejny: o co tu chodzi — o cechy merytoryczne, etyczne czy estetyczne? Czy chodzi o coś, co tkwi w człowieku, czy o coś, co tkwi w wyglądzie rzeczy? Żeby jeszcze bardziej sprawę skomplikować, można zapytać, czy w sposób udawany, przez działania pozorowane można zrealizować autentyczny przedmiot lub odwrotnie — czy człowiek autentyczny może wytwarzać rzeczy sztuczne? Już teraz możemy odpowiedzieć, że oczywiście tak.

To nie koniec długiej listy wzajemnych relacji autentyczności i innych stanów rzeczy, a przy okazji dalszego zawikłania w pojmowaniu autentyczności.

Jak się ma autentyczność wobec nieszczerości? Oczywiście, nie mogą być w zgodzie, gdyż nie sposób sobie wyobrazić, aby to, co uznajemy czy chcemy uznać za autentyczne, nie musiało też być szczere. Ale co to znaczy szczerość? To wiele z tych przejawów, a przynajmniej ich odcieni, o których wyżej wspomniałem. Tu już jednak nie mamy wątpliwości, że chodzi o postawę moralną, w której dostrzegamy zgodność działania człowieka z jego przekonaniami, z jego poglądami na świat, z jego dotychczas głoszonymi zasadami. I to nie tylko głoszonymi, ale i wyznawanymi, odczuwanymi.

No a co z wzajemnymi relacjami między autentycznością a naturalnością? Trzeba by jednak znowu dobrać się do tego, jak pojmowana jest naturalność. Można uznać, że jest to postępowanie zgodne z czystymi, właśnie naturalnymi odruchami. Zgoda, lecz wtedy na przykład odruch agresji musimy uznać za naturalny, a więc i autentyczny, a już świadome powstrzymanie się od tego odruchu, na przykład w imię ładu społecznego, powstrzymanie oczywiście nabyte w procesie wychowania, nie byłoby naturalne. Czy ta linia rozumowania zaprowadzi nas dokądś? Tak, zaprowadzi, lecz na drogi jeszcze bardziej rozstajne niż te, na które dotąd natrafialiśmy.

A trzeba jeszcze zwrócić uwagę na powierzchowność, którą tutaj można rozumieć jako rodzaj politurry, lakieru, może też mistyfikacji, spreparowania. Zakładamy, że „powierzchnia” powinna w jakimś stopniu sygnalizować „zawartość”, i gdy mamy wątpliwości co do ich wzajemnej zgodności, natychmiast powątpiewamy też w autentyczność obiektu. Powierzchnia stiuku przypomina marmur, lecz nim nie jest, podobnie jak powierzchnia jakiegokolwiek przedmiotu z *papier-mâché* czy rzekomo złotego przedmiotu z tombaku. A przecież przedmioty wykonane z tych materiałów nabierają jakiejś własnej tożsamości i autentyczności — pod warunkiem, że znana jest ich budowa i skład.

Ciągle też płącze się nam rozróżnienie kryterium wyglądu (czy oglądu) rzeczy i kryterium jej genezy, pochodzenia, swoistego rodowodu. Wszak oceniamy autentyczność zarówno przez to, co widzimy, jak i przez to, co wiemy o rzeczy, człowieku czy zjawisku. Jedno

przypisanie miary autentyczności wcale nie musi iść w zgodzie z drugim, bo coś może nie sprawiać wrażenia imitacji, a pochodzić „z nieprawego łoża”. I odwrotnie, szlachetny rodowód może nie zapewniać autentycznego efektu. Pomijając zawiłe sytuacje w wielu dynastiach królewskich i książęcych, wiemy, że wiele kopii i falsyfikatów dzieł sztuki uchodziło (i często nadal uchodzi) za oryginalne prace twórców, a te oryginalne niekiedy błakają się gdzieś po strychach i magazynach.

Nie ma też końca poszukiwanie wzajemnych powinowactw między autentyzmem a innymi cechami — na przykład kopiami, podróbkami, replikami, naśladownictwami, implantami kulturowymi itd. Także wszystko to, co sygnalizował Walter Benjamin, zastanawiając się nad sytuacją dzieł sztuki w dobie „reprodukcji technicznej”, musi budzić w nas refleksję. Patrzymy wszak na wydruk reprodukcji obrazu (a tym bardziej czarnej grafiki), na faksymile starej mapy czy jakiegoś dokumentu i wiedząc, że nie są to oryginały, możemy mieć głębsze odczucia i przeżycia w kontakcie z nimi, niż gdybyśmy drżącymi rękoma dotykali autentyku. Kto ma prawo naszym przeżyciom w kontakcie z tymi replikami odmówić miana autentyczności? Kupujemy produkt, który nie jest markowy, lecz wygląda identycznie jak markowy i ma takie same cechy, ba — mógł zostać nawet wykonany w tej samej chińskiej fabryce przez tych samych pracowników. I co? Jest on gorszy od markowego, a jeżeli tak, to w czym? Oczywiście, odmienne tu będą punkty widzenia właściciela marki i użytkownika.

Jak łatwo zauważyć, teoretyczne rozumienie autentyzmu/autentyczności sprawia wiele kłopotów. Będzie ich jeszcze więcej, gdy zwrócimy uwagę na konkretne przykłady.

Interesującym przypadkiem może być choćby stojący na rzymskim Kapitolu ogromny spiżowy konny pomnik Marka Aureliusza, dzisiaj podziwiany przez miliony turystów, którzy chętnie się obok niego fotografują. Pominąwszy fakt, że pomnik ten tylko dlatego się ostał z czasów antycznych, że kiedyś władze kościelne sądziły, iż jest to pomnik zasłużonego dla chrześcijaństwa cesarza Konstantyna, dzięki czemu nie został przetopiony, zauważmy, że obiekt podziwiany przez turystów jest kopią. Oryginał znajduje się kilkadziesiąt metrów dalej, wewnątrz Muzeów Kapitolinińskich w Palazzo dei Conservatori, i gdy mu się dobrze przyjrzeć, zauważy się w nim pewne skazy powstałe wskutek upływu czasu — czego oczywiście nie widać w kopii stojącej na zewnątrz. Takich obiektów jest znacznie więcej: choćby słynny posąg *Darwida* dłuta Michała Anioła na Piazza della Signoria we Florencji. Ten który podziwiają turyści, jest kopią — oryginał od 1873 roku znajduje się w zbiorach Galleria dell'Accademia. Podobnie piękna marmurowa fontanna *Fonte Gaia* na Piazza del Campo w Sienie, której oryginał z początku XV wieku jest schowany, a my, w większości nieświadomi, podziwiamy dziewiętnastowieczną kopię. Jak widać, autentyczność jako kategoria poznawcza czy raczej dostrzeganie autentyczności lub jej braku wymagają pewnej wiedzy i kompetencji, a ta jest cechą z zupełnie innego już zestawu.

Za wyraz, wręcz symbol tego, co bardzo autentyczne, uchodzi fotografia. Rzeczywiście, często jest traktowana wręcz jak dokument — zwłaszcza w stosunku do obrazu malarskiego czy rysunku. Tymczasem od samego początku istnienia fotografii możliwości jej retuszowania, stylizowania czy mistyfikowania zaprzeczały tej rzekomo dokumentalnej właściwości — tym bardziej gdy okazało się, że nawet najbardziej znane zdjęcia (jak choćby osławiony *Padający żołnierz* Roberta Capy) są efektem manipulacji. Epoka cyfrowego photo shopu dokonała pełnej destrukcji pojmowania fotografii jako autentycznego dokumentu.

To, co z jednego punktu widzenia może uchodzić za nieautentyczne, z innego może być nader autentyczne. I odwrotnie.

Spróbujmy przyjąć jakieś konkluzje dotyczące pojmowania autentyczności. Jak widać, jest to pojęcie nader mgliste, a poszukiwanie jego znaczenia przypomina poszukiwanie ścieżek na piaszczystej pustyni. Niby każda może być właściwa, jednak żadnej dobrze nie widać, nie mówiąc już o tym, że każda może też być szybko zawiana piaskiem. Nie sposób stwierdzić jednoznacznie, że wiemy, czym jest autentyczność, a jednocześnie — mimo tej niepewności — nie możemy odrzucić tego pojęcia, tak jak nie możemy uznać, że pewne przedmioty (a może i ludzie) przejawiają jakąś porcję autentyzmu lub, przeciwnie, że są go pozbawione. Ta cecha nie jest jednoznacznie widoczna, raczej przypomina migotanie blików świetlnych na listowiu poruszonym wiatrem: raz jest widoczna, a za chwilę nie. Jest trudna do uchwycenia, jak energia bądź masa

w kwancie. Czujemy, że autentyzmowi/autentyczności zaprzecza nieprawda, kłamstwo, obłuda i pretensjonalność, udawanie i pozór, nieszczerłość i nienaturalność, podrabianie i kopiowanie. Jednocześnie złapać to wszystko na gorącym uczynku jest bardzo trudno. A jeszcze trudniej udowodnić winę.

Można uznać, może nawet trzeba uznać, że wszystko, co istnieje, jest na swój sposób autentyczne. Nawet nieprawda, udawanie i pozór. Bo co to jest „prawdziwe” istnienie jako ewentualne zasadnicze odniesienie autentyczności? Trzeba przyjąć, że w pewnych warunkach nieprawda, kłamstwo, obłuda, udawanie, fałsz i nieszczerłość, nienaturalność stają się na swój sposób autentyczne. Co jest czynnikiem sankcjonującym autentyczność? Czy może nasza wiedza? A może przyjemność, jakiej dostarcza nam to coś, co kwalifikujemy jako autentyczne właśnie? A może funkcjonalność i użyteczność, których przekorne gry sprawiają, że samo pojęcie autentyczności tak nam filuternie migocze?

Przede wszystkim należy stwierdzić, że nie w każdych okolicznościach i nie w każdych warunkach człowiek rozważa istnienie autentyczności *versus* nieautentyczności i poszukuje ich. Te uwarunkowania i sytuacje są raczej szczególne i przypuszczalnie mają stosunkowo niedawny rodowód.

Słusznie zwracają uwagę niektórzy autorzy (na przykład Anna Wiczorkiewicz), że autentyczność to pojęcie istotne dla świata nowoczesnego, kiedy to uświadomiono sobie zarówno brak autentyczności, jak i nieco przekorne pożądanie i poszukiwanie jej. To

w nowoczesności rozpaddingły się takie procesy, jak mobilność, zmiany kulturowe, odrywanie wytworów kultury od rodzimego podłoża i od natury. Przyczyniają się one do poczucia, że z jednej strony to pojęcie traci sens, skoro procesy zmian kulturowych, dyfuzyjnych zapożyczeń są tak silne i tak powszechne, że niewiele już jest wytworów w pełni autentycznych i oryginalnych, z drugiej zaś strony pojawił się tak wyraźny głód autentyczności. Prawdę mówiąc, aby spotkać „autentyczną autentyczność”, należałoby pewnie dotrzeć do człowieka jaskiniowego. Tymczasem większość wytworów kulturowych jest jedynie mniej lub bardziej stylizowana, mniej lub bardziej zgodna z jakąś tradycją, a przy tym zawiera liczne zapożyczenia i naśladownictwa. Oczywiście, poszukiwanie tego, co jest bardziej zgodne z tradycją, co może być bardziej oryginalne, jest nader zasadne, jednakże docieranie do tego, co rzekomo jest „prawdziwie autentyczne”, okazuje się albo nader trudne, albo złudne. I tego złudzenia nie zmieniają, a jedynie utrwalą zawodowi podróżnicy, prezentujący się w telewizji z zapewnieniami, że je znaleźli. Jedynym dobrym ubocznym skutkiem tych poszukiwań autentyczności jest przypomnienie i ożywienie miejscowych wzorów odtwarzanych i produkowanych na potrzeby turystów — wzorów, które bez tych mechanizmów niejednokrotnie uległyby pełnemu zatraceniu.

Kolejny problem dotyczy tego, dlaczego ludzie z obszaru cywilizacji zachodniej — bo to oni wszak głównie są dziś turystami — tak łakną owej autentyczności. Paradoksalnie, cywilizacja, która w wyjątkowo pospiesznym w ostatnich dwóch stuleciach ciągu zmian doprowadziła u siebie do zagubienia

i zapomnienia tego, co autentyczne, zaczęła ostatnio stymulować i inspirować jej wyławianie gdzie indziej. A tymczasem już od ponad stu lat trudno znaleźć cokolwiek autentycznego także „gdzie indziej”, niemal wszystko zostało bowiem odnalezione, przyswojone i oswojone, a także swoiście zmiksowane. I przywiezione do Europy i Ameryki w formie trofeów muzealnych lub przetworzone zgodnie z wymogami masowej kultury medialnej.

Może jest też tu jakaś paradoksalna prawidłowość, że najmniej autentyczni ludzie najbardziej pragną autentyczności i najbardziej skwapliwie poszukują jej domniemanych przejawów? I skwapliwie fotografują tę odnalezioną rzekomą autentyczność, a przede wszystkim siebie z nią czy obok niej. Na koniec rodzi się wątpliwość, czy w tych zabiegach jest cokolwiek autentycznego, a przede wszystkim, czy autentyczne jest samo pragnienie znalezienia autentyczności. Na marginesie można zauważyć, że jeżeli podróżny ma dużo szczęścia, to może jednak znaleźć autentyczność prawdziwie autentyczną, choć głęboko ukrytą w nim samym. Nie jest ona jednak ani łatwa do odkrycia, ani zbyt fotogeniczna.

Można się pokusić o tezę, że we współczesnym świecie, w jego życiu społeczno-kulturowym przejawia się coraz mniej spontaniczności w powstawaniu wytworów kulturowych, a przede wszystkim w ich upowszechnianiu. Mechanizmy rynkowe sprzyjają „społeczeństwu spektaklu” (żeby przywołać głośne określenie zaproponowane przez Guy Deborda) w lansowaniu tego, co upozorowane. Mimo przypisywania wielkiej roli wolności, mimo nawet jej fetyszyzowania, w kul-

turze współczesnej, zwłaszcza w kulturze medialnej (a wiadomo, że ta dominuje), więcej jest sterowania i manipulowania niż spontaniczności i uczciwości wobec wartości artystycznych, estetycznych czy intelektualnych, także wobec prawdy. Marketing kultury, jak wszelki inny marketing, rzadko kiedy ma inne intencje niż zysk.

Zawodowi podróżnicy w telewizyjnych opowieściach i książkach, które skądinąd bardziej przypominają komiksy, gdyż więcej w nich fotografii (zresztą zazwyczaj doskonałych pod względem technicznym) niż tekstu, przekonują, jak to dotarli do autentycznych kultur, kuchni, religii. Także do autentycznych ludzi. I tylko to ostatnie jest w miarę prawdziwe, gdyż w końcu każdego człowieka trzeba uznać za osobę autentyczną (może z wyjątkiem zawodowego podróżnika). Aby to przekonanie było rzeczywiście przekonujące, w tych opowieściach o doznanych przygodach i doświadczeniach w podróży mnożą się przymiotniki typu: „pierwotny”, „prymitywny”, „surowy”, „prawdziwy”, „niezwykły”, „niebezpieczny”, „egzotyczny”, „tajemniczy”, „zaskakujący”. Podróżnicze audycje telewizyjne muszą też obiecywać (a przy okazji ewokować) to, co będzie „ciekawe”, „wspaniałe”, „nieprawdopodobne”, „zdumiewające” oraz „odmienne niż u nas”.

Ale też mitologie turystów prywatnych i ich opowieści często zawierają obietnicę „autentyczności” i głęboką wiarę w nią. W nich też tkwią przekonania, że podróżny gdzieś tam dotarł właśnie do świata „prawdziwego”, „starego” i „niezdeprawowanego” przez cywilizację: przedmioty, które tam nabył, to autentyczne „swojskie rękodzieło”, dania, których

spróbował, to niepowtarzalna „miejskowa kuchnia”, a rozmowy, które z miejscowymi prowadził, dostarczyły mu wzniosłych i niebanalnych prawd o świecie. Jak słusznie napisał w latach trzydziestych XX wieku Graham Greene w *Podróży bez map*, „mało jest dziewiczości w świecie, więc kiedy zostaje odkryta, nie można jej nie kochać”. Tyle tylko, że współcześnie albo owa „dziewiczość” jest pozorna, albo bardzo szybko, może nawet natychmiast po odkryciu, zostaje zagospodarowana, często jako atrakcja turystyczna, i staje się swoim przeciwieństwem.

Wszyscy podróżnicy — zarówno zawodowi, jak i amatorzy — starają się dowieść, że ich podróże przebiegały „poza utartymi szlakami”, że nie przemierzali się jak „zwykli turyści”, lecz w sposób indywidualny i wyjątkowy, i że tego, co oni widzieli, „nie zobaczy się na kolorowych pocztówkach”. Przeżyli, przekonują, także zadziwiająco i „autentyczne” przygody.

Pomijając ewentualne osobiste satysfakcje podróżnych, można zadać pytanie, jakiego rodzaju gratyfikacje otrzymują podróżujący z tytułu epatowania widzów czy słuchaczy mitologią autentyzmu. Dla zawodowych podróżników ta gratyfikacja jest oczywista: to wzrost nakładów książek, lepsze godziny oglądalności ich reportaży w telewizji, może też kontrakty na dłuższe cykle audycji. Słowem: rzekomy autentyzm przekłada się na prawdziwe pieniądze, bo to w końcu biznes. Natomiast gdy amator przekonuje znajomych, że maska kupiona przez niego w Kenii jest autentyczna, podobnie jak posążek Buddy kupiony w Tajlandii, to chce albo poprawić sobie samopoczucie tą mistyfikacją, albo zyskać podziw kolegów,

którzy tam nie byli, a świat znają raczej tylko z telewizji.

Słusznie się podkreśla, że w natrętnym poszukiwaniu tego, co niby jest autentyczne, a przede wszystkim w zarzutach wobec tego, co rzekomo takie nie jest, tkwi wiele pretensjonalności, protekcyjności i paternalizmu. Ta postawa zawiera jednocześnie poczucie wyższości i wyniosłości, wszechwiedzy oraz skłonności do pouczania. Dziwne jest to nader natrętne poszukiwanie, a przede wszystkim niby dostrzeganie i akcentowanie rzekomych czy wyimaginowanych cech autentyzmu w świecie skądinąd niemal zupełnie sztucznym i upozorowanym.

W poszukiwaniu autentyzmu można się też dopatrzeć nastawienia kolekcjonerskiego. Ale jednocześnie można się dopatrzeć nastawienia konsumpcyjnego. Jest to wszak postawa klienta-nabywcy, który chodzi po jarmarku i sprawdza towar, który chciałby kupić. Obmacuje, bierze w zęby, rozciąga i wygina, by sprawdzić, czy nie ma do czynienia z podróbką. I takie nastawienie można zrozumieć, usprawiedliwić, tylko nie wiadomo, czy nabywca sam płaci za ów towar prawdziwymi czy podrobionymi pieniędzmi.

Dean MacCannell (w nawiązaniu do Ervinga Goffmana) słusznie zwrócił uwagę, że autentyczność i jej brak w jakiś sposób łączą się z podziałem na scenę i kulisy. Z kolei inni autorzy zauważają, że rozdział sfery publicznej i prywatnej nastąpił właśnie w nowoczesności. Trudno stwierdzić, czy tak naprawdę się dzieje i czy to nastąpiło właśnie wtedy. Ważniejsze jest, że to, co jawi się na scenie, to, co jest prezentowane

w sferze publicznej, jest także zazwyczaj nieautentyczne: jest udawane, kreowane, spreparowane. Tym bardziej że na tej scenie bierze się udział w spektaklu, a wszak każda gra sceniczna z natury rzeczy jest udawaniem, które samo w sobie nie tylko może być lepsze lub gorsze, ale i pod pewnymi warunkami, paradoksalnie, może się nam wydawać mniej lub bardziej autentyczne — niezależnie od tego, że zazwyczaj bywa też nader tandetne.

Ktoś mógłby dowodzić, i miałby w swej przekorze wiele racji, że z pewnego punktu widzenia turystyka wcale nie jest autentycznym ludzkim zachowaniem. Jest nim praca, trud, posiłki, ubieranie się, wychowywanie dzieci — lecz nie turystyka. Tak, w nowoczesnym świecie pojawił się swoisty „dystans egzystencjalny” — czyli pewien odstęp między realnym życiem, jego uwarunkowaniami i jego możliwościami a zmitologizowanymi jego wersjami medialnymi. Znalezienie rzekomego autentyzmu ma pożywiać nasze przekonanie, że tego dystansu wcale nie ma.

## *Uroda ruin*

O bejrzałem wiele ruin: Forum Romanum i Pompeje; Delfy i Akropol ateński; Agrigento i Selinunt na Sycylii; Petrę w Jordanii i Angkor w Kambodży; Troję na terenie dzisiejszej Turcji i Mur Chiński; pałac Dioklecjana w Splicie i zamek Krzyżtopór w Ujeździe w województwie świętokrzyskim. I wiele, wiele innych. Dziś mało pamiętam ich szczegóły: nie pamiętam, jaka kolumna była dorycka, a jaka jońska, jakiemu bóstwu poświęcona była ta czy inna świątynia i kiedy legła w gruzach. Pamiętam tylko, że będąc przy nich, zawsze odczuwałem mieszaninę podniosłości, podziwu i smutku. Były ni-  
by pomniki nieistnienia, a jednocześnie mówiły coś do mnie na podobieństwo starych, zapomnianych baśni.

Świat jest usiany ruinami. Jedne są znane i wyniosłe, inne dyskretne i schowane; niby śpią, lecz jednak czasem się budzą; są smutne, lecz jednak niekiedy na swój sposób wprawiają nas w dobry nastrój. Niemal każda stara kultura, a tym bardziej rozległa cywilizacja pozostawiły po sobie ruiny budowli obronnych, religijnych czy mieszkalnych: od

prehistorycznych megalitów poprzez antyczne świątynie i średniowieczne zamki do współczesnych obiektów postindustrialnych. Przynajmniej od kilku wieków jeździmy po świecie między innymi po to, by je zobaczyć. Wiele bardziej lub mniej znanych ruin jest celem naszych podróży. Zastanawiające jest więc, od jak dawna możemy obserwować to zaciekawienie i co nas do ruin wabi.

Trudno stwierdzić, od kiedy zaczęło się kulturowe zainteresowanie ruinami — bo traktowanie ich jako materiału rozbiórkowego jest pewnie tak stare, jak samo budownictwo. Ileż to antycznych amfiteatrów, świątyń, akweduktów stanowiło rodzaj darmowych kamieniołomów, z których pozyskiwano już obrobiony materiał do budowy nowych zamków, murów obronnych czy domów mieszkalnych. Na przykład z jednej z najwspanialszych ongiś antycznych świątyń — Herkulesa w Agrigento — pozostało zaledwie osiem kolumn różnej wysokości, które skądinąd zostały ustawione w pionie dopiero w 1924 roku; reszta w ciągu wieków została wykorzystana w okolicznych budowlach.

Współczesnych prób względnego restytuowania ruin, a zwłaszcza pionizowania starożytnych kolumn (czyli tzw. anastyłazy), które z natury rzeczy mają tendencję do przewracania się, jest bardzo wiele. Samo w sobie dałoby się to udokumentować, podobnie jak dałoby się napisać historię zainteresowania ruinami jako obiektami budzącymi zaciekawienie poznawcze. W świecie islamu to zainteresowanie jest już widoczne w połowie XIV wieku. Około 1340 roku podróż-

nik Ibn Battuta w opisach zatytułowanych po polsku *Osobliwości miast i dziwne podróży* tak pisze o pewnym mieście, które spotkał w swojej podróży: „Jest ono całkowicie zrujnowane i jeno nieznaczna część jego ocalała. Miasto ma łagodny klimat i jest nad wyraz piękne dzięki owym ruinom wspaniałych budowli”.

W Europie to zainteresowanie przypuszczalnie zaczęło się w okresie Odrodzenia, kiedy to choćby w poszukiwaniu przedmiotów do licznych nowo tworzonych wówczas prywatnych kolekcji i mniej licznych jeszcze publicznych zbiorów muzealnych penetrowano antyczne ruiny. Nie miejsce tu na pisanie dziejów nowożytnej archeologii, lecz należy przynajmniej wspomnieć, że poznawcze impulsy Oświecenia dały nowe ku temu inspiracje, a wzrastające możliwości podróżowania, jakie przyniosła nowoczesność, stały się istotnym czynnikiem dopełniającym realizację tego zainteresowania. No i pewnie rozpoczęcie wykopalisk archeologicznych w Pompejach i Herkulanum w 1748 roku stało się znaczącym i znanym symbolem tego zaciekawienia ruinami. Takie znaczenie miało także rozpoczęcie w połowie XVIII wieku wykopalisk na rzymskim Forum Romanum, które dotąd było zamulone i zasypane gromadzącym się przez stulecia pyłem, tak że ponad powierzchnię gruntu nieznacznie wystawały jedynie wierzchołki kolumn i niektórych budowli. Odkrycia egipskie zainspirowane przez wyprawę Napoleona Bonaparte do Egiptu czy późniejsze sławne i sensacyjne odkrycia ruin Myken i Troi dokonane przez Heinricha Schliemanna były zaakcentowaniem, choć nie końcem owego nowożytnego poszukiwania antycznych ruin. Także inne,

spektakularne dziewiętnastowieczne odkrycia imponującej Petry w Jordanii czy zespołów świątynnych Angkor w Kambodży, a także dwudziestowieczne w Knossos na Krecie stały się potwierdzeniem i dopełnieniem tego zainteresowania.

Jednak jeszcze w XIX wieku postawy wobec ruin były ambiwalentne. Z jednej strony mamy świadectwo znakomitego pisarza François-René de Chateaubrianda, który podczas podróży do Włoch poszukiwał antycznych ruin: „Wielką dla mnie przyjemnością było zobaczenie ruin rzymskich” — pisał w 1822 roku w *Pamiętnikach z zą grobu*. W innym dziele, w *Opisie podróży z Paryża do Jerozolimy*, dokumentował, jak skwapliwie poszukiwał ruin greckich, jak dociekał, gdzie i co mogło się znajdować w starożytnej Sparcie i w innych napotykanym po drodze miastach. Z drugiej strony nieco później podróżujący po Francji Hans Christian Andersen zapisał w *Dzienniku* w 1846 roku następujące odczucia z pobytu w Nîmes (jak wiadomo, bogatego w budowle pochodzące z czasów rzymskich): „Tu [...] jest przecież dużo interesujących rzeczy, rzymskie ruiny, a jednak [...] ruiny i antyki są wprawdzie w porządku, ale człowiek potrzebuje też trochę zabawy, a gapienie się na taki stary mur w gruncie rzeczy wcale zabawne nie jest”. Do dziś jest zresztą sporo ludzi, którym ruiny są obojętne: ot, „kupa kamieni” — jak niekiedy mówią z lekceważeniem.

Generalnie jednak przeważało pozytywne nastawienie ówczesnych podróżników, w tym artystów i pisarzy wobec ruin. Świadectwem tego są niezliczone obrazy, rysunki ryciny, jakie powstawały w XVIII i XIX wieku — od baroku i rokoka do romantyzmu

i realizmu — takich artystów, jak Nicolas Poussin, Claude Lorrain, Hubert Robert, Claude Joseph Vernet, Pierre Patel, Jean Baptist Weenix, Caspar David Friedrich i wielu innych. Także w niderlandzkim malarstwie realistycznym z XVI wieku i europejskim drugiej połowy XIX, przedstawiającym wieś, znajdujemy wiele obrazów, na których widać ruiny (w Polsce choćby u Aleksandra Kotsisa czy Wojciecha Gersona). Zazwyczaj nie mają one jednak charakteru fantazyjnego, lecz bardziej dokumentalny. Zainteresowanie ruinami wzmogła też twórczość Giovanniego Battisty Piranesiego, którego realistyczne i oniryczne ryciny nie tylko ilustrowały, ale może przede wszystkim animowały swoistą metafizykę ruin. Do zainteresowania ruinami i prezentującymi je obrazami bez wątpienia przyczyniała się też instytucja *grand tour*, jaką bogaci ludzie północy musieli wówczas odbyć na południe, zwłaszcza do Włoch, z których to wyjazdów musieli też przywieźć do domu pamiątki w postaci malowniczych przedstawień pejzaży właśnie z ruinami w tle. Malarskie zainteresowanie ruinami nie wygasło jeszcze w XX wieku — wszak swoiste nawiązanie do ruin znajdujemy też w metafizycznych obrazach choćby Giorgia de Chirico.

Dawne zainteresowanie ruinami dzisiaj samo w sobie wywołuje zaniepokojenie. Otóż zastanawiające jest, jak sobie radzili z ich odnajdywaniem ówczesni podróżnicy, pozbawieni map, dokumentacji historycznych, opisów, przewodników turystycznych. A przecież opierając się zazwyczaj na tekstach antycznych, rzadziej na ówczesnych opisach, gdyż tych nie było wiele, jakoś do nich docierali, sprawdzali

je, analizowali i w ten sposób poszerzali naszą wiedzę. Dużą rolę odgrywali też miejscowi, samozwańcy zazwyczaj przewodnicy, którzy potrafili przynajmniej doprowadzić podróżnego do takiego czy innego zespołu ruin położonych często z dala od ludzkich siedzib.

Czy ruiny są tak oczywistym rodzajem obiektów, że nie trzeba się namyślać nad tym, jak je zdefiniować? Nie jestem tego pewien. Otóż niepewność co do ich pojmowania zaczyna się choćby w momencie kwalifikacji. Mówimy „ruiny”, nie zawsze zastanawiając się też nad tym, czy wszystkie stanowią jedną kategorię. Czym innym są ruiny zamku, a czym innym świątyni; czym innym domu mieszkalnego, a czym innym muru obronnego; czym innym fabryki, a czym innym chłopskiej chałupy. Różna jest też forma ruin — a przy okazji różna też ich poetyka. Są ruiny jako strzaskane kolumny, jako porzucone kapitele, jako fasady bez swoich budowli, jako arkady bez dachu, jako gołe fundamenty i nieraz nawet jako zwykły gruz. Są ruiny całkowicie porzucone i zapomniane, a są też takie, w których tętni autentyczne życie (jak choćby tureckie turystyczne miasto Side). Do jakiego stopnia refleksję nad nimi można uogólnić?

Tych wątpliwości jest więcej. Czy katakumby są też ruinami? Wszak pochodzą zazwyczaj z odległej starożytności, a przy tym w większości są dobrze zachowane, tak więc pewnie nie zmieniły w sposób zasadniczy swojego wyglądu od wielu wieków. Owszem, zmieniła się ich funkcja, przeznaczenie, sposób wykorzystania, lecz ich charakter wizualny — oprócz wprowadzenia oświetlenia elektrycznego — pozostał taki sam. Czy lapidaria uznamy za ruiny? Wszak są to za-

zwyczaj *post factum* zgromadzone zestawy fragmentów architektury, rzeźb i wyposażenia budowli, które pełnią funkcję raczej zbiorów muzealnych. Czy skanse-ny to ruiny? Wszak powstały w większości z porzuconych i rozwalających się wiejskich chałup i zabudowań gospodarskich, które po przeniesieniu do skansen-uwymagały remontu. Czy dawne obiekty, choć nie są obecnie używane zgodnie z przeznaczeniem, lecz pozostały dobrze zachowane (jak chociażby liczne bunkry pozostałe z czasów Envera Hodży w Albanii), zaliczamy do ruin? Czy nieużytkowane już cmentarze — jak choćby żydowskie kirkuty — zaliczać do ruin? Czy zamieszkiwane na co dzień nader zrujnowane budynki w biedniejszych krajach arabskich czy w Indiach, których mieszkańcy prawdopodobnie z biedy czy zaniedbania wcale nie remontują (choć też nie wiemy, jak je sami postrzegają), my, przybysze z zewnątrz możemy traktować jako ruiny? Czy współczesna, choć nieczynna, bo porzucona fabryka sprzed kilkudziesięciu lat może być uznana za ruinę? Takich nieczynnych fabryk jest wiele w zindustrializowanych rejonach Stanów Zjednoczonych, a także w Rosji i innych krajach byłego realnego socjalizmu. Czy znajdujące się poza studium pozostałości scenografii filmowej to ruiny? Jak widać, tych wątpliwości jest wiele.

Mamy przy tym poczucie, że ruiny mogą być tylko z kamienia, marmuru, piaskowca, ewentualnie z cegły czy betonu. Może też z gliny — jak choćby na Bliskim Wschodzie czy w północnej Afryce. Niewiele jest ruin z drewna czy trzciny — między innymi dlatego, że nie pozostały, gdyż uległy pożarom, erozji, zgniciu.

Wiadomo, że żadna definicja nie zdoła jednoznacznie uregulować pojmowania jakichkolwiek zjawisk, także definicja ruin. Możemy jednak przyjąć, że ruiny to fizyczne pozostałości budowli z przeszłości, których pierwotne przeznaczenie i wykorzystanie uległo przerwaniu wskutek zająć historycznych, a które ponownie zyskały zainteresowanie, pełniąc funkcje poznawcze i emocjonalne wobec przeszłości. Można powiedzieć, że ruiny swoiście zmartwychwstały, gdyż przeszły z jednego życia poprzez śmierć zapomnienia do nowego. Ruiny to skruszona wspaniałość jednej epoki, która staje się poezją dla innej epoki. Czyżby to było świadectwo swoistego zuchwalstwa ruin? Może też i naszego zuchwalstwa, gdy na podstawie takich szczątków usiłujemy sobie w wyobraźni zrekonstruować oblicza dawnych cywilizacji. Tak, ruiny zawsze coś mówią o swojej zapomnianej przeszłości: czasem melancholijnie, czasem złowrogo; niekiedy podniosłe, a niekiedy szeptem — zazwyczaj jednak poetycko.

Łatwo zauważyć przedziwną grę, jaka toczy się między kulturą a naturą, także między historią a współczesnością w kulisach ruin. Jak zauważył Georg Simmel w szkicu pt. *Ruina. Próba estetyczna*: „Ruina budowli jest znakiem, że w szczątkach dzieła sztuki poczęły działać inne, pochodzące od natury procesy i formy, a w rezultacie to, co w ruinie jeszcze żyje ze sztuki, i to, co już żyje w niej z natury, staje się nową całością, tworzy pełną charakteru jedność. [...] Inaczej mówiąc, urok ruiny polega na tym, że dzieło ludzkie odbierane jest jak twór czysto naturalny”. Choć ruiny nie zawsze powstały wskutek oddziaływania procesów

naturalnych, to procesy te przez wieki na nie wpływały. Powodowały erozję kamienia czy cegły, ich zapadanie się w ziemię, porastanie mchem itd. W ten sposób ruiny wtapiały się w otoczenie, a nawet na swój sposób upodabniały się do niego (co mogło sprawiać, że przez wieki były niezauważalne i potem trzeba było je „odkrywać”).

Ale ten związek natury i ruin bywa też bardziej liryczny. Chateaubriand, wspominając w 1829 roku, jak zbierał kwiaty na wspaniałym antycznym grobowcu Cecylii Metelli na Via Appia Antica w Rzymie, kokieteryjnie dodawał: „z wiosną wszystkie ruiny zdają się odmłodzone: ja także”. W połowie XIX wieku Józef Kremer pisał w *Podróży do Włoch*: „Wśród tych wytworów smętnych, cmentarnych [...], wśród tej roślinności dziecięcej, niewinnej, co otula i pieści te stare głazy, wśród tych eterycznych śpiewów światła i cieni, i barw, wśród tej samotności a niemego opuszczenia, spoczywając na opoche zwalonej dumasz i myślisz”. Blisko sto lat później podobne odczucia miał Albert Camus, spacerując po rzymskich ruinach w Algierii: „W tym małżeństwie ruin i wiosny ruiny stały się znów kamieniami, i tracąc gładkość narzuconą przez człowieka, powróciły do natury. A ona nie żałowała kwiatów na powrót tych marnotrawnych dzieci. Między płytami forum wysuwa okrągłe główki heliotrop, a czerwone geranium leje krew na to, co niegdyś było domem, świątynią i placem publicznym. [...] Ileż godzin spędzonych na rozgniataniu piołunów, pieśzcotliwym dotykaniu ruin” — pisał w *Zaślubinach*. Sam chwytam się na tym, że podczas moich podróży w spękaniach starych murów, między zwalonymi kolumnami

czy w szczelinach starych amfiteatrów zauważam małeńkie kwiatki. Nierzadko je fotografuję, jakbym czuł ich tajemniczy związek z oglądanymi ruinami i moimi wrażeniami, choć dobrze wiem, że te drobne rośliny są w tych miejscach posłańcami z innego świata.

Niektóre miasta czują się, jakby były nobilitowane przez ruiny, które znajdują się w ich obrębie. Może kiedyś były one utrapieniem, gdyż żyli w nich bezdomni czy dzikie zwierzęta, może czasem też przestępcy mieli w nich kryjówki, lecz teraz ruiny są powodem do chwały. Przyciągają turystów, niekiedy uzyskują dotacje rządowe do ich utrzymania, a na pewno, gdy są unikatowe, przyczyniają się do stworzenia, a przynajmniej wzbogacenia tożsamości miast. Podobnie jak rody ludzkie szukające odległych genealogii, tak i miasta starają się udowodnić swoje długie istnienie nie tylko czasem nadania praw miejskich, ale właśnie tym, że posiadają jakieś antyczne ruiny — im starsze, tym lepiej; także im ruiny są bardziej okazałe i dobrze zachowane, tym herb dawności jest trudniejszy do zbagatelizowania. Gdy brakuje znaczących i przekonujących ruin i pozostałości dawnych budowli, szuka się choćby jakiegoś mizernego fundamentu; gdy nie ma starego akweduktu, pokazuje się choćby jakąś dawną kamienną rynną czy koryto. A gdy i tego nie ma, buduje się jakiś implant — czyli wtórne i *post factum* wykreowane budowle, które bywają rekonstrukcjami, restytucjami tego, co mogło kiedyś naprawdę istnieć, ale są też zmistyfikowanymi inscenizacjami i konfabulacjami.

O tym, że ruiny są ważnym obiektem kulturowym, świadczy ich symboliczne wykorzystanie. To za-

gadnienie znowu wymagałoby rozwlekłego wywodu historycznego. Wystarczy jednak wspomnieć choćby o zainteresowaniu średniowieczem i ruinami w okresie romantyzmu. Wszak gdy zabrakło prawdziwych, budowano też wtedy sztuczne ruiny — czego przykładem jest choćby Świątynia Filozofów zbudowana w 1776 roku przez René-Louisa de Girardin w Ermenonville czy Arkadia nieborowska założona przez Helenę Radziwiłłową w 1778 roku i rozbudowywana do 1821. Mamy tam i sztuczny akwedukt, i łuk kamienny, także „domek gotycki” i wiele innych podobnych w charakterze obiektów.

Symboliczne wykorzystanie ruin dostrzegalne jest także w architekturze postmodernistycznej — choćby w projektach Jamesa Winesa i grupy SITE, tworzących nowoczesne budynki, które pękają, z których odpada tynk, sypią się cegły, a ściany rozstępują. Jest w tych projektach dość oczywiste odwołanie do entropii architektury i tego, że ludzki świat nie jest stabilny, a przy tym przekora i swoista „czystość” przekazu czynią z nich prawdziwe dzieła sztuki.

Dzisiejsza uroda ruin poprzedzona jest dramatami i tragediami dawnych ludzi, którzy kiedyś mieszkali w tych obiektach, którzy je użytkowali i którzy przeżyli napaść, pożogę, trzęsienie ziemi czy inne kataklizmy historyczne lub naturalne. Wszak przechodzenie od stanu normalności do stanu zrujnowania rzadko kiedy dokonuje się w spokoju. Mało mamy na ten temat materiałów historycznych, bo choćby opis tragedii bodaj najśłynniejszego zespołu ruin na świecie — Pompejów — dokonany przez Pliniusza

jest dość lakoniczny i, co tu dużo mówić, bez bliższego, bezpośredniego udziału autora. Inne kataklizmy nawet takiego szczęścia nie miały. Przejmujący i wymowny jest za to opis ruin Warszawy po powstaniu warszawskim, dokonany przez naocznego świadka — Zofię Nałkowską w *Dziennikach*. Takich świadectw jest jednak mało, możemy więc jedynie sobie wyobrażać to wszystko, co mogli przeżywać mieszkańcy, gdy życie ich społeczności ulegało zagładzie, a ich miasto obracało się w perzynę. Jednak zazwyczaj podczas zwiedzania nie myślimy o tym. Raczej patrzymy na dzisiejsze ruiny, nie mając świadomości, że jesteśmy pieszczochami losu — obserwatorami, którzy przyjechali wygodnymi autokarami między śniadaniem a obiadowokolacją i którzy w mniej lub bardziej wymyślnych pozach fotografują się na tle ruin. Nic z dawniejszej udręki, nic z koszmaru, który mogli tu przeżywać (a często nie przeżyć) dawni mieszkańcy.

I budowniczym. Ryszard Kapuściński w *Podróżach z Herodotem* snuje taką refleksję: „Zawsze ilekroć ogląda się martwe już świątynie, pałace, miasta, rodzi się pytanie o los ich budowniczych. O ich ból, połamane kręgosłupy, oczy wybite odpryskami kamienia, reumatyzm. O ich nieszcześnie życie. Ich cierpienie. I wtedy rodzi się pytanie następne — czy te cuda mogłyby powstać bez owego cierpienia? Bez bata dozorczy? Bez strachu, który jest w niewolniku? Bez pychy, która jest we władcy? Słowem, czy wielkiej sztuki przeszłości nie stworzyło to, co jest w człowieku negatywne i złe?”. Tak, historia zapamiętuje władców i wodzów, rzadziej projektantów budowli, natomiast zwykli wykonawcy

— rzemieślnicy i robotnicy — przepadają w oceanie anonimowości.

Istnienie ruin, ich zachowywanie, nowożytna troska o nie i konserwacja są oczywiście w pełni uzasadnione. Fernando Pessoa w *Księżdzie niepokoju* stwierdził, że piękno ruin tkwi w tym, że już niczemu nie służą. A jednak czemuś służą. Naukowe, poznawcze ich znaczenie jest nie do przecenienia — zarówno wtedy, kiedy z danej epoki nie pozostały inne świadectwa, jak i wtedy, kiedy poznawanie ruin jest dopełnione dokumentami pisanymi. Mnie tu jednak interesują funkcje ruin pełnione wobec podróżnych, którzy nie są profesjonalistami z zakresu archeologii czy historii kultury. Jaką funkcję może mieć dla nich oglądanie ruin? Jak już stwierdziłem, mamy poczucie, że „prawdziwe” ruiny muszą być z kamienia, piaskowca, ewentualnie cegły czy betonu. Kamienne ruiny, bardziej niż cokolwiek, przypominają o nietrwałości rzeczy, o ich tymczasowości. Te budowle miały być tak trwałe, że niemal wieczne, a oto leży przed nami sterta kamieni. Patrzymy na kapitel pięknej i imponującej kiedyś kolumny w sycylijskim Agrigento, dotykamy go czule palcami lub mniej czule czubkiem buta i myślimy: „wszystko przemija, wszystko przepada”. I tylko ten niewielki kapitel czy fragment starego gzymsu, na które przez chwilę spoglądamy, pozwalają na pojawienie się nieśmiałej i niepewnej myśli, że może jednak nie wszystko.

Są ruiny oczywistym świadectwem przeszłości, często jedynym, które zachowało się mimo wypadków dziejowych i kataklizmów. Ale są też świadomie

pozostawionym symbolem, jak choćby znajdujące się w centrum Lizbony ruiny gotyckiego zespołu klasztornego i świątyni Convento do Carmo, które mają przypominać o tragicznym trzęsieniu ziemi, które spotkało miasto w 1755 roku. Taką rolę pełnią także w Hiroszimie ruiny Pawilonu Promocji Przemysłowej, mające upamiętniać zrzucenie bomby atomowej na to miasto 6 sierpnia 1945 roku, kiedy to zginęło osiemdziesiąt tysięcy mieszkańców, a miasto stało się morzem gruzu.

Dziwne, że nie wiemy, z czego wynika urok i uroda ruin, nie wiemy, z czego bierze się wszelka ich wymowa. Z nich samych czy z ich ikonograficznych przedstawień? A może z wiedzy o tym, czym kiedyś były obiekty, których nędzne pozostałości teraz oglądamy?

Nie można wymagać od wszystkich ruin, by były urodziwe. Dla mnie najsmutniejszymi ruinami są ledwo wystające z ziemi zarysy fundamentów dawnych budowli. Wydaje mi się, jakby zostały wydarte z ziemi już w nazbyt skwapliwym akcie desperacji. Nie wszystkie ruiny da się też lubić. Trawestując myśl Chateaubrianda pochodzącą z jego opisu podróży do Jerozolimy, można powiedzieć, że nieszczęścia kraju czy miasta pomnażają ruiny — a przynajmniej o nich przypominają. Trudno lubić ruiny miast powstałe po trzęsieniach ziemi. Także dawne złowrogie przeznaczenie budowli nie przysparza jej dzisiaj sympatii. Osobiście nie lubię na przykład jednej z najbardziej osławionych ruin — czyli rzymskiego Teatru Flawiuszów — tzw. Colosseum. Owszem, z daleka lubię popatrzeć na harmonijną, imponującą bryłę, jednak wewnątrz odczuwam zgrozę, gdy wyobrażę sobie tę rzekę krwi nie-

winnych ludzi i zwierząt, którą ku rozrywce starożytnych Rzymian tutaj przelewano. Tak więc omijam tę budowlę szerokim łukiem i zawsze z odczuciem niechęci. Skoro jesteśmy w Rzymie, to wspomnę, że nie lubię też ruin na Palatynie — miejscu zamieszkania wielu cesarzy rzymskich. Nie wiem, czy bardziej razi mnie stara rzymska cegła, z jakiej te budowle zostały stworzone, czy po prostu owa imperialna aura, która z nich emanuje. Pewnie jednak powody niechęci trzeba by było przełożyć na jakieś kryteria estetyczne, do których jednakowoż trudno teraz dotrzeć.

Nie wszystkie ruiny nadają się do podziwiania także z innych powodów. Są wszak i takie, w których kiedyś kryli się rozbójnicy, a dziś mieszkają bezdomni, albo w których zbierają się przygodni pijacy czy narkomani, albo w których załatwiane są potrzeby fizjologiczne. Takie ruiny bardziej straszą niż przyciągają zainteresowanych turystów, historyków, a tym bardziej estetów. Może zresztą większość ruin musiała przejść taki etap degrengolady społecznej, by po spełnieniu pewnych warunków oczyszczenia i nobilitacji stać się obiektami podziwu, żeby nie powiedzieć adoracji.

Tak, ruiny nie zawsze są ładne i nie zawsze wywołują sentymentalne wrażenia. Podróż przez Bałkany przynosi wiele przejmujących widoków zniszczonych domów mieszkalnych, z wypalonymi oknami, zawalonymi dachami i pustymi obejściami. To są w Chorwacji domy Serbów, którzy tu kiedyś, przed wojną bałkańską z lat 1991–1992, mieszkali, a potem albo zostali wypędzeni, albo sami uciekli. To są także podobne opuszczone domy Chorwatów z tej samej wojny na terenie Serbii. I takich ruin spowodowanych wojnami

— zarówno domowymi, jak i wywoływanymi polityką imperialną — niestety niemal bez przerwy przybywało w naszych czasach: Groznyj w Czeczenii, Belgrad w Serbii, Irak, Libia, a teraz trwające konflikty we wschodniej Ukrainie czy wojna w Syrii. Wszystkie te ruiny ciągle krzyczą.

Nie wszystkie ruiny miały choćby tyle szczęścia, by przetrwać i świadczyć o przeszłości. Nie ma na przykład nawet drobnych pozostałości po Kartaginie — tak skrupulatnie zniszczyli ją półtora wieku przed naszą erą w swej nienawiści po wojnach punickich Rzymianie. Brak ruin to tak, jakby historii został wyrwany język. A do tego dochodzi niekiedy jeszcze bardziej złowrogie „rujnowanie ruin”. Kilkanaście lat temu dochodziły informacje o bezmyślnych aktach wandalizmu w irackich zabytkach z okresu mezopotamskiego. Niedawno media donosiły o zniszczeniach dokonywanych przez ISIS w syryjskiej Palmirze. Nie znamy stopnia tych zniszczeń, lecz jeśli nawet pozostawione zostaną główne ruiny: teatr, kolumny i bramy, to mogą zniknąć detale architektoniczne czy rzeźbiarskie — jak choćby przedstawienia twarzy ludzkich. Świadome niszczenie zabytkowych ruin, nawet gdy te są świadectwem obcej kultury, jest równie haniebane, jak bezczeszczenie ludzkich zwłok.

Kończąc można powiedzieć, że zainteresowanie ruinami łączy różne, może nawet sprzeczne uczucia: zachwyty, ale i zadumy, nostalgicznego poczucia znikomości i przemijania, ale i arkadyjskiej szczęśliwości, poczucia błogiej łączności z kulturą i naturą, ale i melancholijnej samotności, kojącego westchnienia,

ale też poszukującego pragnienia. Są one nie tylko śladem wiodącym od przeszłości ku teraźniejszości, ale i tropem prowadzącym do nowych poszukiwań. Jeszcze raz przywołajmy Józefa Kremera, który w połowie XIX wieku pisał z właściwą sobie emfazą: „cóż dopiero dzieje się w duszy naszej, gdy się zatrzymamy wobec grobowców całego umarłego świata, który już z dawna stanął przed sądem ostatecznym historii, a żył w dziejach ziemskich przez długi, długi stuleci szereg, łamiąc się, pasując, by krwawą pracą zgotował mimo własnej wiedzy drogi dla ludzkości przyszłej, dla pokoleń, dla pokoleń, które dopiero kiedyś — kiedyś rodzić się miały”. Tak, na szczęście z ruin nie zawsze i niezupełnie „uchodzi życie”, jakby się mogło wydawać. Słusznie, choć zastanawiająco przekornie napisał Georg Simmel: „ruina to siedziba życia, którą życie opuściło”.

Dzisiaj znane ruiny są symbolem nie tyle rozpadu, dekadencji, zniszczenia, ile ich zatrzymania i próby nadania im nowej postaci trwania. Można wierzyć, że ruiny jakoś żyją, póki przychodzą do nich ludzie. Ktoś porównał ruiny do kości dawno zmarłych zwierząt. To zastanawiające porównanie nie jest jednak trafne. Kości zwierząt są jedynie symbolem śmierci, a tymczasem ruiny na swój sposób ciągle żyją. Często nabierają nowego życia, nowego impulsu trwania. Tak, ruiny są bardzo przekorne, nawet paradoksalne w swej wymowie. To oczywiste, że przypominają zarówno o wspańiałości, jak i o zniszczeniu, zarówno o przemijaniu, jak i o trwaniu. O dziwo, ruiny są też metaforą niespodzianki: przypominają o meandrach historii, lecz nie chcą powiedzieć o tym, co może z niej pozostać, a co musi bezpowrotnie przepaść.

## *Między małą ojczyzną a kosmopolityzmem*

**P**odróż zaczyna się od opuszczenia wygodnego fotela, własnego pokoju, własnego domu. Także najbliższej okolicy. Oczywiście są ludzie, którzy całe życie spędzili, nie opuszczając niewielkiego terytorium: wsi, miasteczka, niedalekiej okolicy czy regionu. Podobno jeszcze w połowie XX wieku znaczna część mieszkańców Paryża nigdy w życiu nie zawitała do innej dzielnicy miasta. Co tam patrzeć na Paryż. Sam pamiętam ludzi z mojego dzieciństwa, sąsiadów czy krewnych, którzy nigdy w życiu nie byli dalej niż w promieniu dziesięciu kilometrów od miejsca, w którym się urodzili, mieszkali i umarli. Nie tylko nie byli, lecz nawet nie wiedzieli, po co mieliby się nadmiernie oddalać od własnego miejsca, które zazwyczaj dobrze znali, a przy tym jedynie dość mgliście wyobrażali sobie resztę świata. Trudno odpowiedzieć na pytanie, co jest bardziej oczywiste dla człowieka: życie w małej ojczyźnie czy daleki wyjazd? Człowiekowi osiadłemu jakakolwiek nieco dłuższa podróż może się wydawać czymś nienormalnym. Dawnemu nomadzie, może też współczesnemu nałogowemu turyście to ży-

cie osiadłe wydaje się mniej naturalne, a także pewnie mniej interesujące.

Jedna i druga sytuacja, podobnie jak jedna i druga postawa wobec przestrzeni — lokalna i globalna — są nieco zmitologizowane. Byłoby to szczególnie widoczne, gdyby brać pod uwagę nader jednostronne, skrajne ich formy. Trzeba się więc umówić, że tutaj ich przeciwstawienie ma jedynie retoryczny charakter, na szczęście w realnym życiu można bowiem dostrzec łagodne kontinuum postaw od umiłowania małej ojczyzny i zamykania się w niej po silny emocjonalny związek z całym światem.

Czym jest mała ojczyzna? Choć dla każdego ma ona osobiste treści i pewnie każdy może mieć z nią indywidualne skojarzenia, to da się w niej dostrzec pewne cechy uniwersalne, takie jak bliskość przestrzenna i emocjonalny z nią związek, także oswojenie i poczucie bezpieczeństwa, dobra znajomość i poczucie, że jest to swoisty środek świata, z którym szczególnie się utożsamiamy. Nie musi to być sielska wioska położona w pięknym krajobrazie; może to być blok, kamienica czy dzielnica wielkomiejska. Ich symboliczne znaczenie i pozytywny do nich stosunek są bardzo ważne dla dobrego samopoczucia człowieka. Mała ojczyzna istnieje gdzieś między domem a krajem, między najbliższym otoczeniem a całym światem. Wywołuje zazwyczaj silny patriotyzm lokalny, lecz można wierzyć, że mała ojczyzna nie musi się kojarzyć z egoizmem, z obskurantyzmem czy z jakimkolwiek szowinizmem, choć oczywiście z natury rzeczy jest chroniona i broniona w sytuacji zagrożenia. Nie należy przy tym sądzić, że

mała ojczyzna jest bytem w pełni samoistnym, samowystarczalnym, autarkicznym. Niestety, albo na szczęście, od dawna już tak nie jest w większości przestrzeni świata.

Małą ojczyznę możemy przemierzyć pieszo. W małej ojczyźnie znamy każdą ścieżkę, każdy strumień i każdy mostek. Znamy też każdego człowieka. Nic tutaj nie ma dla nas tajemnic lub wydaje się nam, że ich nie ma. Jesteśmy nie tylko wrośnięci w to miejsce, ale tak przyzwyczajeni do niego, że możemy całkowicie się w nim zmieścić. Niektórym ludziom wydaje się, że reszta świata jest im wręcz niepotrzebna, że nie muszą jej znać. Jedni tłumaczą to brakiem odpowiednich warunków (pieniędzy, czasu, zdrowia); inni brakiem potrzeb („koty wszędzie chodzą boso”). Może się też boją, że w tym dalszym świecie się zatracą, a tymczasem poniekąd zatracają się w tym własnym, bliskim — choć nie zawsze to czują. Tymczasem poznanie tego dalszego świata i skonfrontowanie go z naszym bliskim umożliwiają postawienie tego bliskiego w zwierciadle dalekiego. To oczywiście umożliwia lepsze poznanie i zrozumienie siebie i własnego środowiska — lepsze, a przynajmniej pełniejsze zadomowienie się we własnej małej ojczyźnie.

Mała ojczyzna jest wielkim dobrem — dobrem, które jednak nie jest każdemu dane. Tak jak nie każdy ma swój dom, tak nie każdy oczywiście ma swoją małą ojczyznę. To po pierwsze. A po drugie nie zawsze można lubić swoją małą ojczyznę i identyfikować się z nią. Dlatego od zawsze są emigranci, uchodźcy i bezpaństwowcy na świecie. Albo źle czuli się w swo-

jej małej (i dużej) ojczyźnie, albo czuli się dobrze, lecz ktoś inny, silniejszy, miał apetyt na to, by czuć się tam jeszcze lepiej. Nie zawsze musi się to łączyć z wojnami i zbrojnymi konfliktami etnicznymi; nie zawsze ma to też związek z poszukiwaniem lepszych ekonomicznych warunków życia; często ma to po prostu charakter zwykłego, choć często zdecydowanego i brutalnego wypierania słabszych przez silniejszych. Ludzie opuszczają swoje dotychczasowe środowiska społeczne i fizyczne i szukają nowego miejsca na ziemi. Bywa, że im się to udaje, i po latach czują, że znaleźli prawdziwą małą ojczyznę. Ale zdarza się też, że są rozczarowani i w tęsknotach myślą o miejscu, które opuścili, jako o swojej utraconej małej ojczyźnie, często zresztą we wspomnieniach idealizowanej. I nie można powiedzieć, że przypadkowo stali się kosmopolitami z przymusu. Nie, oni nie mają zazwyczaj ani małej ojczyzny, ani, tym bardziej, całego świata.

Kto był pierwszym kosmopolitą? Ryszard Kapuściński sugeruje w *Podróżach z Herodotem*, że mógł nim być właśnie Herodot, gdyż był on „pierwszym, który odkrywa wielokulturową naturę świata. Pierwszym, który przekonuje, że każda kultura wymaga akceptacji i zrozumienia. I aby ją pojąć, trzeba ją najpierw poznać”. W istocie, Herodot nigdy nie potępiał inności kulturowej, nie oburzał się na nią, lecz usiłował ją zrozumieć i opisać — czego świadectwem są jego *Dzieje* pisane w V wieku p.n.e.

Czym jest kosmopolityzm? Już stoicy w III wieku p.n.e., przejmując po cynikach pewne ideały kosmopolityczne, pisali, że człowiek żyje w różnych

kręgach: od własnego ciała poprzez bliskich ludzi, naród do całej ludzkości. I właśnie chyba jako pierwsi ten związek z ludzkością wyraźnie podkreślali. Także we wczesnym chrześcijaństwie pojawiły się takie sugestie, jak choćby św. Pawła w liście do Galatów, by nie różnicować ludzi na żydów czy pogan, niewolników czy wolnych, lecz widzieć ludzkość. Później nowoczesność stopniowo otwierała wszelkie horyzonty, zarówno te umysłowe, jak i te dosłowne — przestrzenne. Wielu myślicieli oświeceniowych (jak choćby Wolter, Immanuel Kant czy Christoph Martin Wieland) wyraźnie dostrzegało globalną współzależność i sugerowało obowiązek zrozumienia tych wszystkich ludzi, z którymi współżyjemy na naszej planecie. Stopniowo rozszerzało się nie tylko wyobrażenie świata, ale i pojmowanie tego, czym on jest dla człowieka. „Czuję, że cały świat jest moim domem i będę, muszę się po domu kręcić” — napisał w 1831 roku w *Dzienniku* Hans Christian Andersen.

Przez następne dziesiątki lat to poczucie narastało, a przynajmniej powinno było narastać. Choć wspólnota losu ludzkiego może nie jest jeszcze dla wszystkich przekonująca, to przynajmniej przekonujące powinno być wyobrażenie, że ten los dokonuje się we wzajemnym silnym spleceniu ludzi żyjących na tej planecie. Nasze przestrzenne przebywanie na ziemi rozciąga się na skali od czegoś bliskiego do wymiarów transkontynentalnych, od umiłowania małej ojczyzny (cokolwiek by nią było) do kosmopolityzmu i poczucia, że choć może cały świat nie jest naszą własnością, to przynajmniej jest naszym powiernictwem. Nie zakładam, że kosmopolityzm nie uznaje tej pierwszej, że obywa się

bez niej lub że się jej przeciwstawia. Nie chcę też przyjmować, że kosmopolityzm musi być z założenia przeciwny patriotyzmowi. Wierzę nie tylko w konieczność, ale i w możliwość wielu patriotyzmów, przejawiających się w różnych skalach: tej dotyczącej małej ojczyzny, tej dotyczącej kraju, własnej cywilizacji, jak i tej dotyczącej dużej ziemi-ojczyzny, jak ją określił Edgar Morin, czy „republiki globu” — jak pisał już w okresie międzywojennym Jerzy Kuncewicz. Problem nie tkwi bowiem w samym patriotyzmie, ale w jego formie i przejawach, w sposobach manifestowania, w stosunku do innych ludzi z ich własnymi postawami patriotycznymi.

Kosmopolityzm nie zawsze dobrze się kojarzył — zwłaszcza tym którzy przejawiali u siebie wyraźne nastroje nacjonalistyczne. Wtedy albo nie ufali, albo na wszelki wypadek krytykowali tych, którzy z jakiegoś powodu nie manifestowali jednoznacznej przynależności do jakiegoś narodu czy kraju. Pomijając fakt, że niektórzy ich nie mieli, a inni nie czuli się w obowiązku, aby takie przywiązanie demonstrować, można powiedzieć, że niekiedy obraz kosmopolity mógł być po prostu wygodną dla krytyki figurą retoryczną. Ludzie, którzy nie lubią opuszczać własnej małej ojczyzny, traktują kosmopolitów, jeśli nie jak wrogów, to przynajmniej jak dziwaków.

Nie chcę tutaj specjalnie roztrząsać, czym jest kosmopolityzm — bo przypuszczalnie ma on wiele oblicz. Wolę się zastanowić, czym on może być albo też — lepiej powiedzieć — jak można czy jak się powinno go pojmować. Tym bardziej że ciągle należy go traktować raczej jako projekt niż jako powszechnie przyjmowaną rzeczywistość. V.S. Naipaul w *Podróży*

*Karaibskiej* zwraca uwagę na postawę, którą nazywa „kosmopolityzmem mieszkańców Trynidadu” jako ludzi tworzących niezwykłą mieszankę rasową i kulturową: „Obywatel Trynidadu jest elastyczny, jest cyniczny, a ponieważ nie ma własnych sztywnych konwencji społecznych, śmieszą go konwencje innych. Jest naturalnym anarchistą, który nigdy nie był zdolny cenić uznanych sław według ich własnych ocen. Jest naturalnym ekscentrykiem, jeśli przez ekscentryczność rozumie się wyrażanie własnej osobowości nieskrępowane strachem przed śmiesznością lub nakazem grupy”.

Można jednak wypunktować też inne, równie ważne, a przy tym może bardziej powszechne cechy kosmopolityzmu: zaciekawienie, otwartość, podróżowanie, tolerancja, troska. Rację ma tedy Kwame Anthony Appiah, który pisze: „Kosmopolita wie, że ludzie są różni i że wiele można się nauczyć z naszych różnic”. I słusznie dodaje: „Kosmopolityzm jest przygodą i ideałem”. Trudno się też dziwić, że próbował tę kategorię uczynić wspólną ramą teoretyczną dla wszystkich problemów etycznych związanych z funkcjonowaniem wielokulturowości.

Kosmopolityzm ma pewne uwarunkowania. Zwraca się niekiedy uwagę (czyni tak na przykład Steven Lukes) na współzależności kosmopolityzmu i uniwersalizmu. Jeżeli ten ostatni będziemy rozumieć jako ogólną koncepcję pojmowania człowieka jako ludzkiej istoty mającej przynajmniej w jakimś stopniu pewną wspólną naturę o pewnych ponadkulturowych i ponadhistorycznych cechach odróżniających nas od innych istot i jeżeli ponadto będziemy z tą koncepcją wią-

zać przekonanie, że istoty ludzkie mają równy status (a przynajmniej winny dążyć do równego statusu), to oczywiście łatwo dostrzeżemy, że kosmopolityzm albo jest komplementarny wobec uniwersalizmu, albo jest wręcz jego wcieleniem, wyrażającym się w stylu życia, w postawach manifestowanych wobec wszystkich ludzi z osobna i całego ludzkiego świata. Spojrzenie uniwersalne przypomina o istnieniu we wszystkich kulturach podobnych praktyk, takich jak pochówki, sztuka, etyka, gościnność, rodzina. Oczywiście zestaw uniwersaliów jest zawsze dyskusyjny, tak jak wymowne mogą być różnice kulturowe w ich formach, lokalnych przejawach i funkcjach.

Jak wiadomo, niejednen spór toczyli zwolennicy uniwersalizmu ze zwolennikami relatywizmu. Tymczasem w odniesieniu do kosmopolityzmu można sobie wyobrazić kompromis w tym sporze. Otóż kosmopolityzm musi być wsparty zarówno przekonaniem o istnieniu wartości uniwersalnych, jak i przekonaniem, że te cechy i wytwory kulturowe, które nie mają powszechnego charakteru, muszą być traktowane jako względnie równorzędne, że nie mogą być wyśmiewane, wyszydzane, deprecjonowane. Przeciwnie — winny być traktowane z empatią. W wielu sytuacjach zwłaszcza wartości religijne bywają zarzewiem ostrych antagonizmów, mogą także być przeszkodą w zachowaniu stosownego dystansu do innych, wyznających odmienne wierzenia. Można stąd wnosić, że kosmopolityzmowi sprzyja świeckość, a przynajmniej pewna doza agnostycyzmu. Jednocześnie kosmopolita winien wykazywać pewną delikatność, wrażliwość, a nawet czułość wobec wartości religijnych innych ludzi, nawet

jeżeli osobiście ich nie podziela. I nie tylko religijnych: także estetycznych, artystycznych czy moralnych.

Łatwo zauważyć, że nowoczesność i globalizacja przyniosły nie tylko negatywne skutki; dały także w prezencie sporo pozytywnych przejawów i warunków funkcjonowania człowieka. Już samo uzmysłowienie sobie skali życia planetarnego i gęstej, splątanej sieci wzajemnych powiązań jest warunkiem nowej świadomości globalnej. Ale to także takie zjawiska, jak choćby funkcjonowanie międzynarodowego systemu bankowego, umożliwiającego bezpieczne korzystanie z własnych pieniędzy w niemal każdym miejscu na świecie. To również funkcjonowanie sieci międzynarodowego transportu, która spowodowała, że zamiast podróży „w osiemdziesiąt dni dookoła świata”, co było sukcesem w połowie XIX wieku, można obecnie odbyć taką podróż w czasie krótszym niż osiemdziesiąt godzin.

Nie wiemy, czy są jakieś społeczno-kulturowe i psychiczne predyspozycje do bycia kosmopolitą. Można jednak zakładać, że urodzenie i wychowanie w rodzinie, w której rodzice, a może i dziadkowie reprezentują różne narody czy grupy etniczne, wpływają dodatnio na otwarcie na świat, choć pewnie nie musi to być uwarunkowaniem przesądzającym. Można wszak sobie wyobrazić kogoś, kto był wychowany w jednorodnej rodzinie i jednorodnym środowisku, a w jakiś sposób wytworzyła się w nim potrzeba zainteresowania światem. Nowoczesność przez książki i prasę, a potem przez inne media inspirowała, nieraz bardzo skutecznie, do poznawania świata. No i nie można pominąć milczeniem zamożności jako warunku kosmopo-

lityzmu. Życie „na wyjeździe” jest zazwyczaj bardziej kosztowne niż życie osiadłe i kiedyś mogli sobie na wyjazdy pozwolić jedynie najbogatsi. A przy tym, aby spokojnie „lubić świat”, pewnie nie można się martwić o codzienność. Inna rzecz, że obecnie finansowe warunki kosmopolitycznych wędrówek są nieporównywalnie mniej wymagające w porównaniu z przeszłością. Potwierdzają to liczni młodzi turyści plecakowi, relatywnie tanim kosztem wędrujący po całym świecie.

I jeszcze jedno: kosmopolityzm (na co zwraca uwagę Zbigniew Bokszański) musi jakoś łączyć się z indywidualizmem. Choć ten ostatni nie jest rozumiany jednoznacznie, to takie jego aspekty, jak emancypacja, autonomia, wolność, poczucie odrębności, bez wątpienia sprzyjają postawom kosmopolitycznym.

Jest jednak pewien warunek bezwzględny wobec możliwości kosmopolityzmu: to warunek bezpieczeństwa. Kosmopolita kocha świat, lecz świat nie zawsze kocha kosmopolitę. Wszystko, co zaprzecza elementarnemu pokojowi i spokojowi — a więc konflikty, wojny, rebelie — jest trudną do pokonania przeszkodą. Niestety, zazwyczaj jest na świecie kilka mniejszych czy większych konfliktów militarnych, a małych bitew kulturowych i cywilizacyjnych jest bez liku. Kosmopolita zapewne nie czuje się nigdzie obco, może jednak odczuwać niebezpieczeństwo, przy tym przypuszczalnie niebezpieczeństwa nie demonizuje. Pewnie zawsze przejawia jednak zdziwienie, gdyż jest ono zarówno przyczyną, jak i skutkiem zainteresowania innością.

I jeszcze jedno: kosmopolityzm nie łączy się dobrze z błogością, wygodnictwem, a tym bardziej z lenistwem. Wymaga aktywności i wysiłku. Także

tego który umożliwia chęć poznawania i pozostawiania otwartym i tolerancyjnym. Kosmopolita może być w tym nienasycony. Jak zauważył Ryszard Kapuściński w *Podróżach z Herodotem*, tacy ludzie „tak na dobre do niczego się nie przywiązują, nie zapuszczają głęboko korzeni. Ich empatia jest szczerą, ale powierzchowną. Pytanie, który ze znanych krajów najbardziej im się podoba, wprawia ich w zakłopotanie — nie wiedzą, co odpowiedzieć. Który? W jakiś sposób — wszystkie”.

Kosmopolityzm umożliwia nie tylko zainteresowanie innymi kulturami i ich poznawanie przez książki i filmy, nie tylko podróżowanie i bywanie w różnych kulturach, ale i próby mniej lub bardziej pełnego uczestnictwa w tych odmiennych kulturach, jeżeli nie na prawach tubylca, bo to pewnie byłoby zarówno niemożliwe, jak i niewłaściwe, to przynajmniej na prawach życzliwego gościa. Kosmopolityzm to oczywiście także konsumowanie innej kultury w dosłownym znaczeniu: to spożywanie miejscowych produktów, to korzystanie w razie potrzeby z miejscowych instytucji, to — w przypadku dłuższego pobytu — kupowanie miejscowych ubrań. Rasowy kosmopolita nie tylko poznaje inne kultury i gości w nich. On także uczy się miejscowego języka i na pewien czas zamieszkuje w wybranych miejscach. Stara się, choćby na krótko, być nie tylko zwiedzającym, lecz i uczestnikiem codzienności — nawet jeśli jest to jedynie krótki epizod w jego życiu.

Kosmopolityzm jest też czynnikiem dyfuzji kulturowej w skali prywatnej. Gdy kosmopolita wraca do swojego mieszkania w swojej prywatnej ojczyźnie (a może ma ich kilka w różnych miejscach na świe-

cie<sup>2</sup>), zazwyczaj przywozi jakieś pamiątki, które potem sąsiadują ze sobą w pełnej harmonii: figurka Wisznu stoi obok figurki bogini etruskiej, a posążek Buddy obok figurki egipskiego Horusa; menora czuje się dobrze obok islamskiej dłoni Fatimy, a kopia *Mysłiciela* Rodina nie protestuje, gdy sąsiaduje z kopią wojownika z terakotowej armii z Tsien. Obok siebie mogą też drzemać płyty CD z muzyką etniczną: arabski oud może dobrze się czuć w pobliżu kenijskiej marimby, a hinduski sitar obok chińskiego guzhengu.

Słusznie jednak zwraca się też uwagę (między innymi czyni to John Urry) nie tylko na możliwości i swoiste uprawnienia kosmopolity, ale i na pewne jego zobowiązania wynikające z faktu, że wskutek globalizacji czuje się on pełniej zintegrowany ze światem. W tej postawie troski winna być zawarta wiedza i refleksja o stanie globu, o jego problemach ekologicznych, politycznych, gospodarczych i społecznych. Te zobowiązania to postępowanie etyczne w tych miejscach, do których kosmopolita zawitał: to wspomniana wyżej delikatność, ale też dyskrecja, wyrozumiałość, brak poczucia wszechwiedzy. To także dążenie do zrozumienia zarówno tego małego świata, który się odwiecza, jak i całego świata jako ściśle powiązanej mozaiki fragmentów. Zobowiązanie wobec całego globu winno się też łączyć z dążeniem do działania na rzecz interesów tej całości — czyli z takim poczuciem dobra zbiorowego, które ma skalę planetarną.

Tak więc w prawdziwym kosmopolityzmie nie powinno być odrobiny poczucia wyższości, nie mówiąc już o arogancji wobec innych ludzi i ich kultur. Chęć ich poznawania winna iść w parze z chęcią rozumienia,

niekiedy współczucia, gdy są zdominowane czy zagrożone, a także działania, gdy zachodzi potrzeba przeciwstawienia się temu zagrożeniu.

Kosmopolita z natury rzeczy może się więc martwić wszelkimi stratami i szkodami wyrządzanymi dobrom kulturowym czy to z powodu wojen i rewolucji, czy z powodu rabunku, czy też z przyczyn naturalnych, takich jak trzęsienia ziemi lub tsunami. Dla kosmopolity wszystkie wytwory kulturowe składają się na jedną, ogólnoludzką kulturę i każdy ubytek traktuje on jakby sam został czegoś pozbawiony. W tym znaczeniu pojęcie własności kulturowej nabiera nieco innej wymowy. Możemy bowiem uznać, że wszystko, co stworzył człowiek we wszystkich epokach i kulturach, składa się na światowe dziedzictwo ludzkości — jasne, że nawet to, co nie jest wpisane na oficjalne listy tego dziedzictwa. Także to, co niestety nie jest chwalebne, jak broń, narzędzia tortur czy destrukcyjne obyczaje.

Kosmopolityzm to postawa aprobująca pluralizm — i to we wszelkich postaciach. W przyjmowanym tu obrazie kosmopolityzmu zakłada się, że kosmopolita lubi różnice i odmienności — w tym wypadku głównie różnice kulturowe. Tym samym kosmopolita nie jest zadowolony, gdy te różnice zanikają w procesie homogenizacji kultury; nie aprobuje tego, że coraz więcej ludzi w różnych miejscach na świecie ubiera się na modłę europejską, gdy zanikają lokalne języki, sposoby budowania i kuchnie.

Oczywiście trudno sobie wyobrazić cały świat. Owszem, można oglądać mapy czy globusy, można oglądać zdjęcia satelitarne, można śledzić informa-

cje pochodzące z różnych zasobów statystycznych czy z różnych stacji medialnych, jednak uzyskany obraz i tak będzie zawsze niepełny i mglisty. Świat możemy poznawać jedynie punktowo, a każdy wyjazd, każdy pobyt w takich czy innych jego miejscach są jedynie zagęszczeniem sieci tych punktów. Kosmopolityzm jest wiarą, że wszystkie te punkty — czy będzie to Paryż czy Pekin, Rzym czy Mombasa — mają równorzędne znaczenie. Wszystkie dopełniają się wzajemnie, tworząc prywatną mapę doznań. Zainteresowanie innymi kulturami i chęć ich poznawania wcale nie muszą iść w parze z brakiem krytycyzmu — wszak nie wszystkie obce nam wartości kulturowe musimy obowiązkowo lubić. Jednak samo ich odkrywanie, poznawanie i obserwowanie, a także swoiste próbowanie i smakowanie są już ciekawym, często fascynującym doświadczeniem.

Czy kosmopolita może być wszędzie, a jednocześnie nigdzie? Czy może mieć poczucie braku jakiegokolwiek przynależności? Pewnie tak, choć zawsze może odpowiedzieć, że przynależy do całego świata, a świat należy do niego.

Prawdziwy kosmopolita potrafi wobec każdego człowieka na świecie, a przede wszystkim wobec jego kultury czuć to, co czuje wobec swoich bliskich, a nawet wobec samego siebie. Choć oczywiście lubi swoją małą ojczyznę, resztę świata lubi tak samo jak ją, bo tak samo ten świat traktuje. Wobec małej ojczyzny może mieć więcej sentymentu, natomiast wobec reszty świata więcej uznania i aprobaty, ale obydwie uczucia są równie pozytywne. Ba, wobec małej ojczyzny może mieć nawet więcej krytycyzmu niż wobec innych, gdyż

pragnie poprawić jej los i kondycję przez dążenie do usunięcia jej ewentualnych wad i przywar.

Może przedstawiony w tych rozważaniach obraz kosmopolityzmu i kosmopolity jest nieco przesłodzony, a przynajmniej uwznioślony i wyidealizowany. Łatwo byłoby odmitologizować tę postawę — tylko po co? Może też nie jest do końca prawdziwe wyobrażenie codziennego funkcjonowania kogoś takiego, żyjącego w trudnych i nieraz bardzo obcych warunkach. Takie życie może wszak nieść wiele przykrości i dyskomfortów, a doświadczanie choćby brudu, niepunktualności, chorób czy innych problemów może powodować rozczarowanie wobec takiego stylu życia i postawy wobec świata. Gdy doświadczenie dalekiego świata dokuczy albo zmęczy, kosmopolita pewnie pragnie wrócić na jakiś czas do swojej małej ojczyzny i odpocząć. Gdy z kolei ta go znudzi swoim błogim spokojem, kosmopolita może pragnąć wyruszyć w świat.

Zresztą może wszelkie negatywne lokalne doświadczenia, zarówno bliskie, jak i dalekie, jakoś dają się neutralizować pozytywnymi i składają na ogólny dodatni obraz świata, który w całości jest aprobowany, a nawet lubiany. Wydaje się, że kosmopolita lubi myśleć, że wszędzie ludzie są raczej życzliwi, przyjaźni i gościnni. Trudno stwierdzić, czy przypisanie tej postawy kosmopolicie nie jest kolejnym aktem jego idealizowania; jest jednak z pewnością wyrazem wiary, że tak być powinno.

Pojawia się tu wątpliwość, czy kosmopolityzm nie jest górnolotnym poszukiwaniem doznań pięknodu-

chów, którzy dysponując nadmiarem pieniędzy i wolnego czasu, spełniają w ten sposób swoje pretensjonalne potrzeby. Owszem, pewnie może być i tak, lecz w końcu nie jest to najgorszy styl życia. I jeszcze jedno: czy jest to postawa, która zdoła się przeciwstawić złu na świecie? Te wątpliwości są o tyle słuszne, że pewnie rację miał Honoriusz Balzac, który gdzieś napisał: „ten przywilej — być wszędzie u siebie — przysługuje jedynie królom, ulicznicom i złodziejom”. Tak, obecnie często kosmopolitami są też bankierzy, agenci wywiadu, mafiosi i hochsztaplerzy.

Przeciwieństwem kosmopolityzmu nie jest umiłowanie jakiegokolwiek małej ojczyzny, lecz postawa fundamentalistyczna i szowinistyczna, połączona ze skrajną ksenofobią. Kosmopolita, jak każdy relatywny relatywista (nawiązując do określenia zaproponowanego kiedyś przez Leszka Kołakowskiego), aprobeuje świat, lecz nie może tolerować tego, co jest pełnym zaprzeczeniem jego otwartej postawy. Inna rzecz, że nawet jeśli można sobie wyobrazić zagrożenie kosmopolityzmu ze strony fundamentalizmu, to już odwrotnego zagrożenia — nie. Nie bardzo wierzę, by kosmopolita mógł czynnie kogokolwiek atakować.

Kiedyś było w użyciu w języku polskim określenie „światowiec”, które obecnie jest raczej w zaniku. Przypisywano je osobie, która dużo podróżowała — przynajmniej na tle innych ludzi, rzadko się z domu ruszających — i która z tego tytułu brylowała w towarzystwie, co przed erą kultury medialnej musiało robić wrażenie. Taki światowiec pełnił nie tylko rolę *arbiter elegantiarum*, lecz mógł też być sędzią w wielu innych

sprawach. Wszak to on znał świat (tak przynajmniej myślano), to on doświadczył różnych sytuacji, przeżył różne opresje, z których zawsze wychodził obronną ręką, i to on teraz, w życiu towarzyskim, mógł wszystkim utrzyć nosa, gdy mieli inne zdanie.

Jest jeszcze wiele innych określeń, jak choćby „obywatel świata”, które tak naprawdę jest polskim synonimem kosmopolity, a z racji tego, że swojsko brzmi, może być bardziej swojsko kojarzone. I jeszcze obieżyświat, globtroter czy wagabunda. Nie da się tu dokonać ich precyzyjnej analizy i poczynić subtelnych między nimi rozróżnień. Wystarczy powiedzieć, że w pewnym stopniu nakładają się one na pojęcie kosmopolity, lecz się z nim nie pokrywają. Kosmopolita może być obieżyświatem, lecz obieżyświat, globtroter czy wagabunda nie muszą być kosmopolitami. Nie muszą być otwarci na cały świat, nie muszą go lubić, a podróżują po nim dlatego, że nie bardzo potrafią sobie znaleźć miejsca gdziekolwiek. Mogą też podróżować dlatego, że czują się niespełnieni w innych sferach zawodowych czy osobistych i intensywne podróżowanie jest dla nich rodzajem substytutu, zadośćuczynienia.

Jesteśmy zawsze „tu”, a czasem możemy być „tam”, i to jest powszechna praktyka znacznej części ludzi, którzy różnią się jedynie częstotliwością, zakresem przestrzennym i intensywnością przenoszenia się z „tu” do „tam” i charakterem powrotów z „tam” do „tu”. Sam chwytam się wielokroć na tym, że spacerując polną drogą po moim „tutaj”, myślami — wspomnieniami, wyobrażeniami, planami — przenoszę się gdzieś daleko. I odwrotnie, będąc „na wyjeździe”, po pewnym

czasie zaczynam myśleć o tutejszych miejscach i tęsknić do nich. Pełen kosmopolita jest zawsze „tu” i „tam” jednocześnie, a przy tym adaptuje te miejsca do siebie i siebie adaptuje do tych miejsc. Nie czyni mu więc różnicy, gdzie przebywa, choć przypuszczalnie jest to w dużym stopniu zależne od zakresu wolności wyboru, jaki miał czy jaki wyobrażał sobie, że ma, udając się w takie czy inne miejsce.

Kosmopolita to jednak nie ślimak, który wszędzie i zawsze przenosi swój dom na grzbiecie na podobieństwo dawnych monarchów, a nawet co bogatszych arystokratów, którzy podróżowali wielkimi taborami, z wielkim dworem służby, z namiotami, z własną kuchnią. Podróżowali tak, jakby wcale nie chcieli opuścić swojej stałej siedziby, swojej kultury, swoich przyzwyczajeń, dając przy okazji do zrozumienia, że nigdzie, gdzie goszczą, nic ich nie zadowoli. Dystansując się wobec miejsc, w których bywali, tak naprawdę przebywali jedynie w tych innych miejscach połowicznie, częściowo. Kosmopolita natomiast czuje się, a przynajmniej powinien się czuć wszędzie jak w domu. To nic, że są tam inne zwyczaje, inny język, inna kuchnia — przecież dla niego dobrze, że takie są.

Kosmopolita jest obywatelem świata, całego świata, i można wierzyć, że wszystkim się interesuje, wszystko akceptuje, gdyż uznaje niejako, że to wszystko jest też po części jego. Przejawia nie tylko zainteresowanie odmiennością i aprobatę dla niej, ale nawet jakiś entuzjazm, który sprawia, że nie tylko pozytywnie otwiera się na inność, ale też z cierpliwością i zrozumieniem znosi ewentualne niewygody czy dyskomforty w podróżach, a przy tym na swój sposób troszczy

się o kondycję świata. Oczywiście, żaden kosmopolita nigdy nie będzie mitycznym Atlaseм i nie weźmie na swoje barki całego świata — choćby dlatego że nie zdoła. Może jednak inspirować innych ludzi do tego, by wspólnie to uczynić. Uważam, że tak jak kosmopolicie potrzebny jest świat, tak światu potrzebny jest kosmopolita. Choćby po to, by ocalić tysiące małych ojczyzn.



OFICYNA NAUKOWA

00-533 Warszawa, ul. Mokotowska 65/3

tel. 22 622 02 41

e-mail: [oficina.naukowa@data.pl](mailto:oficina.naukowa@data.pl)

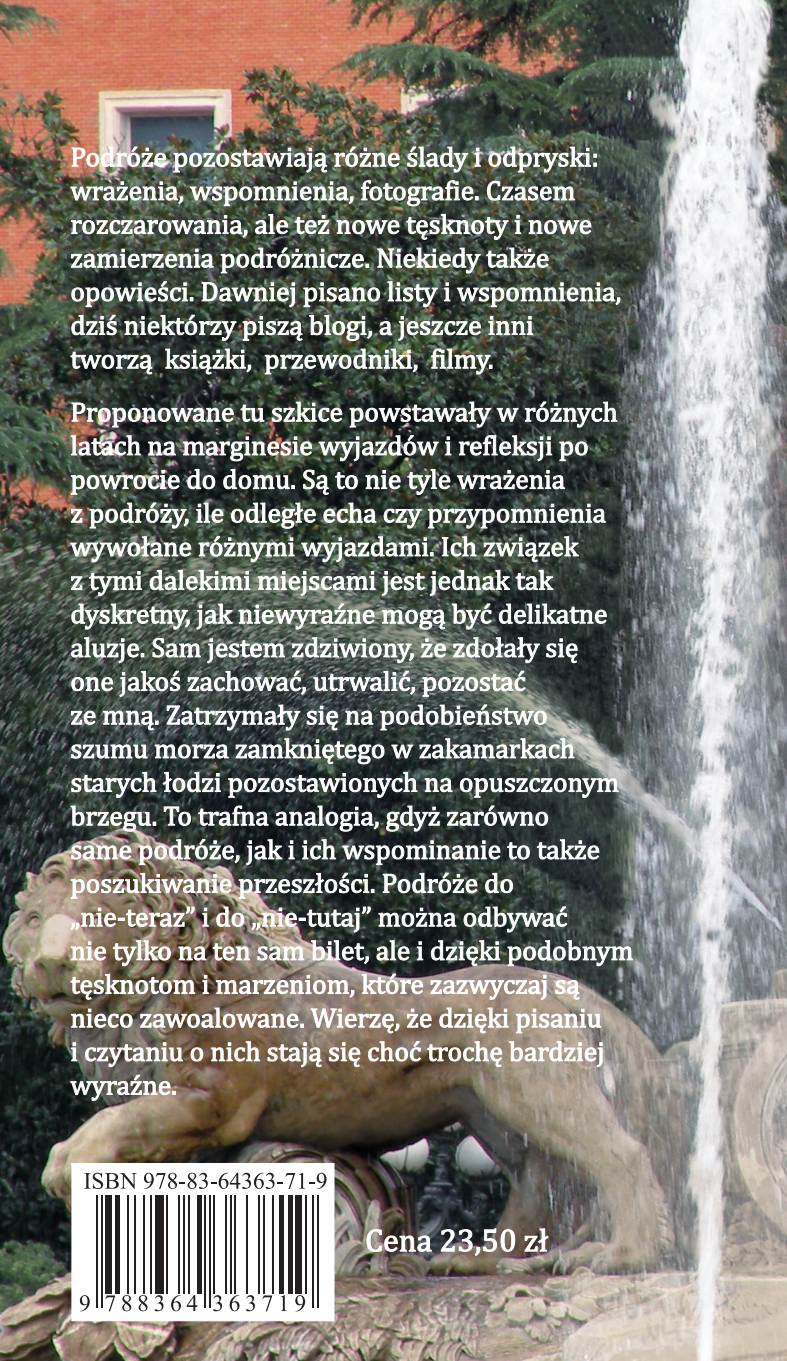
księgarnia internetowa: [www.oficina-naukowa.com.pl](http://www.oficina-naukowa.com.pl)

Wydanie pierwsze, Warszawa 2016

Skład: Michał Swianiewicz

Druk i oprawa: Totem, Inowrocław



A stone lion sculpture is the central focus in the foreground, positioned on the left side. It is a detailed carving of a lion in a walking or standing pose. In the background, a tall, narrow waterfall cascades down on the right side. The scene is set in a park-like environment with green foliage and a brick building with a window visible in the upper left.

Podróże pozostawiają różne ślady i odpryski: wrażenia, wspomnienia, fotografie. Czasem rozczarowania, ale też nowe tęsknoty i nowe zamierzenia podróżnicze. Niekiedy także opowieści. Dawniej pisano listy i wspomnienia, dziś niektórzy piszą blogi, a jeszcze inni tworzą książki, przewodniki, filmy.

Proponowane tu szkice powstawały w różnych latach na marginesie wyjazdów i refleksji po powrocie do domu. Są to nie tyle wrażenia z podróży, ile odległe echa czy przypomnienia wywołane różnymi wyjazdami. Ich związek z tymi dalekimi miejscami jest jednak tak dyskretny, jak niewyraźne mogą być delikatne aluzje. Sam jestem zdziwiony, że zdołały się one jakoś zachować, utrwalić, pozostać ze mną. Zatrzymały się na podobieństwo szumu morza zamkniętego w zakamarkach starych łodzi pozostawionych na opuszczonym brzegu. To trafna analogia, gdyż zarówno same podróże, jak i ich wspomnianie to także poszukiwanie przeszłości. Podróże do „nie-teraz” i do „nie-tutaj” można odbywać nie tylko na ten sam bilet, ale i dzięki podobnym tęsknotom i marzeniom, które zazwyczaj są nieco zawoalowane. Wierzę, że dzięki pisaniu i czytaniu o nich stają się choć trochę bardziej wyraźne.

ISBN 978-83-64363-71-9



Cena 23,50 zł